



DZIELA.

III

ANALOGON ADI...
DZIEŁA

SEWERYNA

GOSZCZYŃSKIEGO.

—
TOM III.



—
W WROCŁAWIU,
NAKŁADEM ZYGMUNTA SCHLETTERA.

—
1852.



CZYTELNIA KSIĄZEK

8h1.16h.1-1

POWIEŚCI WIERSZEM.

SOBÓTKA.

ZAMEK KANIOWSKI.

ANNA Z NABRZEŻA.



Sobótka. ¹⁾

Pół słońca pała na nieba sklepieniu,
A pół zagasło w polskich puszcach błękitach.
Czerwcowy wieczór, na smereków cieniu,
Po wzniosłej Wyżni osuwa się szczycie ²⁾.
Z niebios podhalskich uchodzi ulewa ³⁾,
Jak nieprzyjazne wojsko z pół pogromu;
Sztandarem tęczy od Pienin ⁴⁾ powiewa,
I coraz bledziej wypuści strzał gromu.
Podhalska ziemia, zdyszana po burzy,
Kiedy-niekiedy grzmotem z głębi runie,
Kiedy-niekiedy z lasów mgłą zakurzy
I jak westchnienie po górach ją sunie.
Na wszystkie strony uciekają chmurki
Łódkami wiatru, przez lasy i wzgórczki;
Milczkiem wypełzną, przemykają rączko,
I z wodzem-burzą na wschodzie się łączą.
Wolniej potok, co przed chwilą szalał,
Las rżęsno płacze kroplami dżdżowemi,
A cały przestwór, od nieba do ziemi,

Jasny, jak żebyś kryształem go nalał.
 Luby góralom ten wieczór czerwcowy!
 Na piersiach Wyżni spleonie stos Sobótki.
 Brzmia długie trąby, przygrywają dudki,
 Krociami dzwoneków igrają parowy;
 Pod biciem siekier jęczą ciemne lasy;
 Pod trupem jodeł wzgórze się wzdrygają:
 Nuca juhaski, hukają juhasy⁵⁾;
 Wszystko wre gwarem i góralów zgrają.
 Drogi góralom ten wieczór czerwcowy!
 Na piersiach Wyżni, nad przejrzystą wodą,
 Wzniosą stos wielki dwunasto-jodłowy,
 I roczną ucztę do ranka zawiodą.
 Święty góralom ten wieczór czerwcowy!
 I Wyżnia święta góralską ponętą:
 Góra nad góry, na Sobótki święto.
 Wyżnia podstawą Kluczek⁶⁾ nie dosięga,
 Wyżnia w obłokach głową nie ustrzęga;
 Ale na Wyżni półokrętym lonie
 Wabiąca woda lustrem nieba płonie,
 A z jasnych skroni las płynie stu-wzory:
 Tu brzozy puszcza, jak włosy dziewicze,
 I, jak włos, Wyżni ocienia oblicze;
 Tam na pierś lekkie zarzuca ubiory,
 Lub z niskich krzewin, lub drzew jasno-listych,
 A z piersi spada puszcza gęstą, czarną,
 Jak pełne fałdy strojów uroczystych.
 Do Wyżni zewsząd potoki się garną,

I, wiecznym szumem, grają u podnóża;
 Do Wyżni zewsząd zbiegają się wzgórze,
 I wiszą w koło, zasłony łańcuchem,
 By wiatr zimowym nie wiał na nią dmuchem,
 By wschód zawczesny nie drażnił jej oczu.
 Wyżnia, jak pani, patrzy ze stolicy
 Na gród olbrzymi, olbrzymki-Łomnicy⁷⁾,
 Co błękitnieje w południa przezroczu.
 Pomiędzy Wyżnią a nawalnic miastem,
 Pod wałem z głazów, gdzie puszcze są chwastem,
 Pod wieżycami, gdzie z granitu dachy,
 Osada z gromów, a z orłów szyldwachy,
 Lśni nowotarskiej-doliny opona⁸⁾,
 W srebrnych potoków węże zapleciona,
 Tatrańskich borów cieniem narzucona.
 Wysłana lasem głęboka dolina,
 Po której stopniach nurt Łopusznej schodzi⁹⁾,
 Cały ten widok w jeden promień spina,
 I do nóg Wyżni w holdzie go przywodzi.

Jeszcze ot! jedna chmurka przeleciała:
 Las ciemny przejrzał, wystrzeliła skała;
 Na skale jodła, i pięciu leżało.
 Leniwy tuman oblał im podnóże,
 Oni leżeli widziadłami w chmurze,
 Jakby w powietrzu, z jodłą i ze skałą.
 Brodate twarze, odzież ich jednaka:
 Czerwono szyta guńka na opaszki;

Rzęsno jarzące szkielka u kołpaka;
 Kolczan na plecach, sążniowe wataszki,
 Szerokie pasy, za pasem topory.
 Włos pokręcony w obfite kędziory,
 Tu wisiał, w krasne wstążeczki ujęty,
 Tam w skrzydła wiatru płątał swoje skręty.
 Jak orle skrzydła, gdy za łupem świszczą,
 Jak orle oczy, gdy nad łupem błyszczą;
 Tak groźne, bystre i twarze i oczy
 Gości, co Wyżnię śpiegują z uboczy.
 Rozbójnik Janosz spoczywał za niemi,
 Głazem, co z wieków wjada się w pierś ziemi,
 Najgłębiej skryty w jodłowém zacieniu.
 Znać go po wzroście, znać go po wejrzeniu.
 Żaden mu góral w niczém nie zrównywa;
 Słynie jak Krywan! o nim Ludek śpiewa¹⁰⁾:

Janoszu! dzielny góralu!
 Zkąd ty wziął się na Podhalu,
 Taki rosły, taki wdzięczny,
 Taki silny, taki zręczny?

Ty wysoki, jak Łomnica,
 Jak lawina, twa prawica,
 Jako Tatry, twoje barki,
 Jak lot gwiazdy, bieg twój szparki.

Zatrzymasz orła w obłoku,
 Gdy mu utkwisz oko w oku;

Ty obejmiesz ten buk w borze,
 Co go objąć trzech nie może.

Janoszu! dzielny góralu!
 Zkąd ty wziął się na Podhalu?
 Nie kobieta, ale skała
 Zrodzić nam ciebie musiała.

A dziś dnie jego życiem zbójców płyną;
 Lód i przepaście jego dziś dziedziną.
 Po ciemnych jamach z puhaczami mieszka,
 Trop dzikięj kozy zwykła mu dziś ścieżka.
 Co o nim prawią, w głowie się nie mieści,
 Jak o straszędzie krążą o nim wieści.
 Tutaj ze mgłami spada na doliny,
 Tu duchem zbiega nietknięte wyżyny;
 Tutaj, od strzelców odważnych naparty,
 Znika w szczelinie tak wąsko rozdartęj,
 Że się zaledwo gadzina prześliznie.
 Z wierzchów, gdzie kamień na proch się rozbryźnie,
 On żywo zleci, jakby skrzydłem ptaka,
 Albo jak koziół hušta się u krzaka.
 Głos ludu twierdzi, że kochanka jego,
 Którą jak stracił, nikt wiedzieć nie może,
 Przeobrażona w ducha niedobrego,
 Tajemnie nad nim czuwa w każdej porze.
 Bo trudno wierzyć, ażeby tak młody
 Przebył bez duchów tak wielkie przygody,

I jedno imię wdział, jak nawalnicę
 Grzmiącą a ciemną, na całą ziemicę.
 Ten sam dziś przyległ lodem do kamienia,
 I wbił przed siebie żrenicę zmartwiałą.
 Pojrzyj mu w oczy, a w głębi spojrzenia,
 Masz jego sławę, jego duszę całą.

„Oj biada, biada! tym górom, tej głowie!“
 Wstrząśł wreszcie głową i ze skargą powie:
 „Jakże tu wszystko poszło na pustkowie!
 Wiecie? to pole gdzie młodzież zebrana
 On stos buduje, one stawy jasne,
 On bór świerkowy — to moja polana¹¹⁾!
 Kiejsi to wszystko było moje własne.
 W górę, na lewo, niedaleko wody,
 Między brzózkami stały me chałupy;
 Dziś, na ich miejscu, przegorzałe słupy.
 W prawo od chałup leżały zagrody.
 On staw był kiejsi czysty jak krynica,
 Jedyna kąpiel i ryby bez miary.
 Statku nie mogły pomieścić koszary¹²⁾.
 Wszem smakowały mój sэр i żętyca¹³⁾.
 Największy płomień jarzał z mój bacówki¹⁴⁾,
 Najgorsze kondle strzegły mojej trzody.
 Janosz był pieśnią na podhalskie ludy.
 Kasia najradniej szła tu na borówki¹⁵⁾.
 Na prost za wodą, gdzie tam owa brzózka,
 Pierwszegom dostał od Kasi całuska,

I tak mi serce schwyił ten całunek,
 Żem odtąd przy niej, jak przy owcy dzwónek,
 A ona przy mnie; odtąd trzódki nasze
 Razem do koszar, razem szły na paszę.
 Ona śpiewaczka, jam gracz niepośledni,
 Co zaśpiewała jam wygrał na flecie.
 Długo, ach! długo żyli my tak w świecie,
 Jakby my w świecie żyli tylko sami.
 Raz my nad wieczór rozbiegli się biedni:
 Kasia coś rwała pomiędzy świerkami,
 A ja usiadłem u owego buka,
 Co tam na prawo, a pod nim zdroj pływie.
 Ja gram i śpię, Kasia ku mnie huka;
 W tэм przeraźliwie wrzasnęło w gęstwinie.
 A już się znacznie zgęścił mrok wieczoru;
 Błada ze strachu, leci Kasia z boru:
 Mnich! mnich! krzyknęła; serduszko jój bije¹⁶⁾,
 Drzy, jak blask w stawie, a ścisła mi szyję.
 Żle! pomyślałem, ałem ją pocieszał;
 Mówilem śmiało, a język się mieszał.
 Dobrzem ja wiedział, że nigdy daremno
 Mnich nie nastraszy. A tymczasem ciemno,
 Kasi do domu wypadła droga;
 Nielza już było puszczać pod noc samęj,
 Więc się potokiem razem przebieramy,
 Aż pod wieś prawie, do Dziwo-żon jamy¹⁷⁾.
 Pocałowała mię jeszcze nieboga
 Kiedym odchodził, prawi że bezpieczna,

I że nazajutrz znowu zemną będzie.
 Nazajutrz czekam, doczekać nie mogę.
 Com się nie pytał, com nie szukał wszędzie,
 Przepadła z wieścią; tajemnica wieczna,
 Skradła bez śladu wszystko moje drogie,
 Najdroższe w życiu. Ach! jakim ją kochał!
 Bliskie już były nasze zaślubiny.
 Jakem ja bolał dla jednej dziewczyny!
 Na jej wspomnienie, jak dziecię, ja słochał.
 Stwardniałem wreszcie, i płakać przestałem;
 Wszakżem już nie mógł być czém byłem przódy.
 Nic się nie wiodło w gospodarstwie całém.
 Owies nie rodził, wymierały trzody,
 Grad łąki trzepał, w gumna bił grom boży.
 I coraz gorzej, coraz było gorzej.
 Gdzim się nawinał, nie przeszło bez zwady,
 Tak, zem już nie śmiał wyjrzyć między żywe.
 Cóż było robić? nie znalazłem rady,
 Tylko porzucić miejsca nieszczęśliwe.
 Więc resztę statku puściłem na wolę,
 Na wieczny odlóg przekląłem to pole,
 Spaliłem chatę, zwałem szałas,
 I, tak jak stałem, puściłem się w lasy.
 Myślałem sobie: ha jak zbójca, może
 Między hałami głową gdzie nałożę.
 A jednak żyję! a po co? o Boże!
 Tak się rozwodził Janosz w słowach rzewnych,
 Złamane ręce sparłszy na kolana:

»Ode dni kilku jakaś w duszy zmiana,
 A w sercu ulga; jakaś chęć do krewnych,
 Do ojcowizny. Idź, idź na Sobótkę!
 Ciągłe coś szepce; pójdę na Sobótkę,
 Rzekłem: Haj! pójdę! zobaczę raz jeszcze¹⁸⁾
 Swoją polanę, zręby swojej budki,
 Może Bóg dobry chce skończyć te smutki,
 Może tam Kasię znajdę i popieszczę.
 Teraz Bóg tylko świadom, co mię czeka,
 Czy bliskie szczęście, czy śmierć niedaleka!«

Zachód mdlęj coraz śniegi hał pozłaca,
 Ostatni odblask z cichych wód ucieka,
 Spada na ziemię wieczoru powieka;
 Ale na Wyzni rośnie gwar i praca,
 Pnie się ku górze święty stos wspaniały.
 Dwanaście jodeł z gałęzi odartych,
 Zetkniętych wierzchem, spodem rozpostartych,
 Spiczastą wieżą ku niebu powstały.
 We wnętrzu jego jeży się chróst suchy,
 Czterech górali głównie rozzarzyli,
 Rozkolysali, chróstem upowili,
 Podęli razem silnemi podmuchy.
 Grają płomyki, jak żądła wężowe,
 Wyrzą co chwila z ogniska paszczęki;
 Nagle rozjadły ogień wznosi głowę,
 Rzuca się błyskiem na sterczące sęki,
 Na niższych z razu czepia swe sztandary,

Oblata kłody, wyziera przez szpary,
 A jad pod korę zapuszcza tymczasem;
 Aż gdy zranione drzewa zapiszczały,
 I w jasnych gwiazdach smolną krew polały,
 Ogień wzdłuż stosu posunął z hałasem,
 Chwyta się szczytu, siada na stolicy,
 Wyrzuca na świat setne dymu kręgi,
 Potrząsa w niebo płomieniste wstęgi,
 I już panuje całej okolicy.

Radośna wrzawa i huczne oklaski
 Przyjęły zewsząd pierwsze ognia blaski,
 Na bór, daleko, spadła ćmów zasłona;
 Młodzież góralska, od płomieni pędzsa,
 Stoi już, w koła tańczące spleciona,
 Jak obraz z cieni urodzony wnętrza.
 Dziewice w kwiatach, chłopcy z długim włosom,
 Gęśle i kobzy, fujarki i dudki¹⁹⁾,
 Wszystko to naraz uderzyło głosem,
 I grzmotnym krokiem do tańca Sobótki.
 Zalśniły widzom źrenice ciekawsze,
 Ciekawszy Janosz wychylił się z cienia;
 Westchnął, podumał, i rzecze z westchnienia:
 »Hej! hej! dla czegoż ja nie ten sam zawsze?
 Ażebym dzisiaj, o moja rodzinę!
 I ja ze swoją wystąpił piosenką.«
 Zgrzytnął: »o bodaj wieczną cierpiał męką,
 Kto potępienia mego jest przyczyną.

Niech wieczne wieki piekło łzami gasi,
 I nigdy łaski niebieskiej nie zyska,
 Jak ja nie mogę, bez méj lubéj Kasi,
 Do góralskiego przysiąść się ogniska!
 Żal tak łający, gorzki był jak piekła;
 Zaświadczy jemu łza, co z ocz pocięła.
 Lecz towarzysze skarg tych nie słyszeli;
 A choć słyszeli, to nie zrozumieli,
 Jakby to można, przez jedną dziewczynę,
 Za życie zbójcy, oddać swą dziedzinę,
 I jednym smutkiem, smutkiem po kobiecie,
 Struć swoje szczęście, zabić całe życie.
 Jak rozkochani w stos patrzali oni;
 I Janosz, gorzką łzę z lica otarłszy,
 Za tancerzami weselszy wzrok goni.

Szérzój i jaśniej, płaszcz ognia monarszy,
 Przejrzyste poły w okolo rozkłada.
 W osobnym tłumie zebrali się starce;
 Głos ich poważny, roztropna biesiada;
 A oczy żywsze przy brzęczącej czarce.
 Z nimi matrony i dzieci zasiadły,
 I czujne kondle przy nich się układły.
 Do koła stosu mniejsze ognie świecą,
 A każdy nową uciechę rozpala,
 A każdy głośną opasany zgrają.
 Pół-widne kształty za kształtami lecą;
 To ćmą, to blaskiem, jak płynąca fala.

Plączą się koła, ogniska mrugają,
Połyska w ogniu topór tanecznika;
I zręczny skoczek ogniem się przemyska.

A w tém od starców głos o posłuchanie.
Kiczora mówi; głowa dawno siwa;
Zamożny gazda na wielkiej polanie²⁰),
Co ku wschodowi w piękne niwy splywa,
Z góry przezwanęj mianem jego rodu²¹).
We czci on wielkiej u swego narodu.
Na jego okrzyk błysnie, mówią ludzie,
Więcej watażek niż ma owiec w trzódzie²²).
Dzisiaj już tańczą jego praszczurzęta.
A chociaż sprawy odwieczne pamięta,
Jednak, nikt dotąd nie postawi śmiało
Swojego barku przed jego dłoń wprawną.
Raz Janoszowi tylko się udało
Rozbroić starca, gdy ten z butą dawną
Przysiągł oczyścić góry od téj zgrozy,
Napałł go w lesie, i chciał wziąć w powrozy.
„Dzieci!“ zawołał: „taniec ja wasz chwale,
Chwałę te pieśni; ależ wy górale,
Wy dzieci Tatrów, co u wszystkich w sławie,
Wstyd zapominać swéj ziemi w zabawie.
Znam wiele świata; widział ja za młodu
Nie mało ludzi, nie jedną opokę,
Kiedym przemierzał ślak do Carogrodu²³),
Gdzie się już morze zaczyna głębokie;

Lecz niéma nigdzie gór, jak nasze hale,
Ani góralów, jak nasi górale.
Owóz o halach zaśpiewajcie dzieci,
Na nutę co to od skał nazad leci.
A swemu kiedyś nasze plemię powie
To, co wam wasi śpiewali ojcowie.“
Roztropnym słowom radzi wszyscy prawie,
I chętnie skłonni ku cichszej zabawie,
I ci i owi zbiegli się w gromadę,
I coby śpiewać złożyli naradę.
Po krótkim gwarze rozwarło się koło:
Wyszły trzy dziewczki, ze wstydu rumieńcem;
Kobzy i dudki obległy je wieńcem,
Kobzy i dudki przegrały wesoło;
A gdy skończyły niedługą przegrywkę,
Dziewki z kolei zawiodły tę śpiwękę²⁴):

Strzeżcie się o matki!
Tulcie wasze dziatki.
Pod okienkiem mara,
O zdobycz się stara;
Czapeczka czerwona,
Kosa rozpuszczona,
Ach! to Dziwo-żona.

Jako śmierć złośliwa,
A, jak wiatr, pierzchliwa,
Podsunie się skrycie,

Ukradnie wam dziecię,
I zniknie zdradziecko.
O matko! strzeż dziecko,
Czycha Dziwo-żona.

Góralko nadobna!
Nie biegaj z osobna,
W zarosłej ustroni,
Strach stracha tam goni.
Czapeczka czerwona,
Kosa rozpuszczona,
Ach! to Dziwo-żona!

Jako śmierć, złośliwa,
A; jak wiatr, pierzchliwa;
Pochwyci cię w lesie,
Pod ziemię zaniesie;
Bez Tatrów, bez słońca,
Zostaniesz do końca,
Jako Dziwo-żona.

Niebogo! Sieroto!
Włosy ci rozplotą,
Czapeczkę nasadzą,
Słodyczkę jeść dadzą²⁵);
Dla twego serduszka,
Za drużkę, za drużka,
Będą Dziwo-żony.

Dziwczę, biada tobie!
Ty przed śmiercią w grobie.
Tańczą z tobą mary,
Twe hale, pieczary;
Jak Krywan wysoki,
Tak twój świat głęboki,
Skoroś Dziwo-żoną.

Ucichły kobzy, ucichły i dudki,
A ledwo skonał dźwięk ostatniej zwrótki,
Gęś zadzwoniła, i śpiewanie dzikie
Złało się w cichszą i miłszą muzykę.

Szczęśliwe oczy, szczęśliwe kroki,
Co świat Dziwo-żon nawidzieć mogą.
Alabastrowe wszystkie opoki,
Najdroższy kamień leży pod nogą.

Wszystkie tam wody płyną kryształem;
Każda kropelka spada perelką;
Mosty ze złota w państwie ich całém,
A z dyamentu każde światelko.

Wielkie, pod niebo, są nasze skały;
Perłami, rosy toczą się nasze,
Nasze potoki, jako kryształy;
A, jak noc, świeże bory i pasze.

Bo u Dziwo-zon nasz się kraj kluje;
 Bo u nich każdy zdroj się poczyna,
 Bo je wypieszczą, bo im wartuje,
 Dzika, podziemna, lecz hal rodzina.

„Słyszycie?“ Janosz rzekł do towarzyszy:
 „Jaką tam gędźbę wyprawują dziwy²⁶⁾?
 Słyszycie bracia?“ powtórzył strwożony.
 I miał przyczynę; bo we wdzięcznej ciszy,
 Która śpiew pieści, podniosły się wrony,
 I rozpuściły nagle krzyk chrapliwy;
 Gacki pisnęły, w gwałt huknęły sowy²⁷⁾;
 Ponurych wilków rozległo się wycie;
 Ciężkich gałęzi kołatnęło bicie,
 Jak żeby wichur przeleciał zimowy,
 I echem śpiące szczeknęły parowy.
 Janosz rozgląda, słucha, duchem trwoży,
 A nie zmiarkuje co ma trzymać o tém.
 Słuch to do drzewa, to na głaz położy;
 Drzewo brzmi w głębi, skała drga łoskotem,
 Jakby gdzieś końskie kowało kopyto.
 Nie rad ze słuchu, oka w pomoc wzywa;
 Chce powstać z miejsca, ale nagle siada,
 I już nie słucha, nie słucha, nie bada,
 Tylko zdumiały wpatruje się w dziwa,
 Które nie zawsze, nie wszystkim odkryto.
 W cieniach zarośli, na granicach blasku,
 Jakby na ramach jasnego obrazku,

Żyjących twarzy, głosów mile brzmiących,
 Skał zrumienionych, jezior pałających.
 I ugwieżdżony ogniami polany,
 Powstaje w koło widok pół-podziemny;
 Duch tam, lub człowiek mignie na przemiany,
 To duch pół-jasny, to człowiek pół-ciemny.
 Między pnie świerków, między cienia smugi,
 Snują się gęsto postacie kobiece;
 Czapki na głowach, w nieładzie włos długi,
 Rozwiana odzież, okopciałe lice;
 U czapek sterczą bezkwietne paprocie;
 A oczy świecą, jak w ciemnościach kocie.
 Czasem się skupią, czasem się rozbiegą;
 I tu, i owdzie badają ciekawie,
 Niby nierade, i rade zabawie;
 W ich niepokoju coś dziwnie straszego.
 Wilki pod krzami czują się gromadą;
 A w gęstwie wyższej nocnych ptaków stado.
 I wszyscy w płomień wpatrują się święty,
 Jakby go w oczy na cały rok brali;
 Opodał węzów różno-barwe skręty.
 Świeci odbłaskiem zwierciadlanej stali,
 Większy nad inne, i cudnej piękności,
 Wąż, co ma grzebień złocistej jasności;
 Królem on węzów, znany u górali²⁸⁾.
 A w większym mroku, widziadła człowiecze,
 Na widmach końskich, mkną się lasem chyżo;
 Strzały na plecach, u bioder ich miecze,



Czasem nad brzegi lasu się przybliżą,
 I groźnym wzrokiem strzelą przez drzew śpilki.
 Oko ich wąskie, jako ślad iskierki.
 I pierś i głowa, jak w owcy kołtunach.
 Gdzie się przybliżą, odezwią się wilki,
 Sowa ciekawie zaziera przez świerki,
 I wrony krążą w śmiertelnych całunach.
 Tu się pokażą, tu nikną w mrok głuchy;
 A zawsze szybko i cicho, jak duchy.
 Nieżywa głowa skacze w ślad za niemi²⁹):
 Z okiem rozwartém, z ustami ściętymi,
 Zdaje się ciągle śpiegować ich ruchy.
 To długie włosy, jak skrzydła roztoczy,
 I bystrym ptakiem zagwizdże w gęstwinie,
 To znowu w skrzele długie włosy zwinie,
 I rybą idzie w podziemne głębinie,
 Aż znów z podziemi jak z wody wyskoczy.
 Ależ-bo w ów czas, ziemio staroświecka!
 Dzisiejsze dziwy, dziwami nie były:
 Grały widomie niewidome siły,
 I pilnowały człowieka, jak dziecka.
 W powietrzu, w drzewach, w kamieniu, pod wodą,
 Krewne spół-czucie ludzie znajdowali;
 Bo nie gardzili na ów czas przyrodą;
 Bo ją jak matkę znali i kochali.

Ścichła powoli dziwnych głosów walka;
 A koło stosu powstał okrzyk: „Salka!

Salka nam teraz zaśpiewać powinna.“
 Na to wołanie wybiegła góralka,
 Smukła jak jodła, niby sarna zwinna;
 Żywe jój oko gra nurtem płomienia;
 Śpiew jój słowicy dzwoni od niechcenia,
 A jednak skały zdaje się przesywać,
 A jednak światłem zdaje się rozlewać.
 Cóż gdy dla śpiewu strun gęśli poruszy?
 W ten czas myśl pieśni, smutna, czy wesola,
 Wylała kształtem czarta lub anioła,
 Porywa serce i tańczy po duszy.
 Salka gęśl wzięła; przygrywek jój krótki;
 Siada przy starcach, pojrzy po drużynie:
 „Cóż wam zaśpiewam? o chmurnej dolinie³⁰!“
 I tak zaczęła, bez kobzy i dudki:

Roskoszna, jedyna,
 Pochmurna dolina,
 Dla całych Tatrów ponęta;
 Lecz lasy i skały
 W krąg ją opasały,
 I brama z głązów zamknięta.

Roskoszna, jedyna,
 Pochmurna dolina;
 Od całych Tatrów kochana,
 Lecz na nią mgły gęste,
 I deszcze w nią częste.
 Dolina często splakana.

Bo w skalnej siedzibie
 W Dunajca kolébie,
 Panuje straszny duch-potwór.
 Zgrzybiały zazdrośnik,
 Dunajca miłośnik,
 Wciąż patrzy za nim przez otwór

Poczwara złośliwa,
 Szaleje do dziwa,
 Jak tylko weźmiesz mu wody.
 Za kroplę złąd biedną,
 Piekielne bezedno
 Potopem wre niepogody.

Siedziba szatana,
 Skarbami zapchana;
 W niej srebro, złoto, jak śmiecie;
 Nie złota duch patrzy.
 Od złota skarb rzadszy
 Tam leży — wieczne tam życie.

Kto dosyć wytrwały,
 Aż w głębią pójść skały,
 I na strach mocną ma głowę,
 Ten, za swoją dzielność,
 Ma tam nieśmiertelność,
 I bierze skarbów połowę.

Lecz ducha złość wściekła,
 Zatrząsie dnem piekła,
 Jak tylko drzesz się pod skałę;
 Opada uléwa,
 Wiatr lasy wyrывa,
 Głaz pęka, Tatry drzą całe.

Cudnie śpiew dzwonił w zasłuchaném gronie;
 Cudnie się błakał echem rozbudzoném.
 Same niebiosa przychyłały skronie,
 Rzęśniej gorzały licem ugwieżdżoném.
 Ogień Sobótki, jak południe, pała;
 Na szczycie nieba północna drzy zorza;
 Rozdźwięk strun zagasił, spoczęła młodź hoża;
 Poważnych starców rozmowa ustała;
 I było chwilę, jakby śmierć powiała,
 Jakby świat dumał pół-nocną modlitwą.
 Tylko Janosza spojrzzenie się rwało,
 Duszą, w spojrzeniu, w niepokoju cała;
 Rwało, na duchów tajemniczą bitwą.
 Kędy pod lasem, w przymroczonej łunie
 Król wężów świetnie złoty grzebień jeży,
 Tam, głębiej, potwór na konia się sunie.
 Stanał, przez chwilę śledzi okiem węża,
 Potém łuk bierze, naciąga i mierzy.
 Wąż się podnosi, łeb w górę wypręża,
 Połyska wieńcem i groźnie zasyczy.
 A w tém u luka struna zaskowyczy,

Strzała zniknęła, dumny wąż upada,
 Padając świsnął: od onego świstu,
 Z drzew przelęknionych leci chmura listu,
 A zewsząd węzów i gadzin gromada,
 Z liści z pod liści wysuwa się błyskiem,
 Pnie się na konia, ze sykiem i piskiem,
 Dosięga jeźdźca, chwytą w sto obręczy,
 I wszystko razem w dół się obaliło.

Krótko koń wierzga, krótko jeździec jęczy:
 Zniknęli oba pod węzów mogiłą.
 Pisk, jęk, gwizd, łoskot! przykra to muzyka,
 Dla ciszy, którą dźwięki strun wypieszczą;
 Dziewicze koło ciałniej się zamyka,
 Wstrzęśli się może mimowolną dreszczą;
 Popłoch po wszystkich obleciał widomie.
 Cyt! po gęstwinie znowu się coś łomie;
 Niepewne oczy w gęstwinę patrzyły:
 Szelest się zbliża, z gęstwy trzej wybiegli;
 Każdy na szczudle, jakie czasem służy
 Tutejszym ludziom do prędszej podróży.
 Radośnie kłasił ci, co ich postrzegli:
 »To Ludek, Ludek! długo nam żądany.«
 »Haj! haj!« zawołał Ludek, syn Michała,
 Z rodu Garoszów; pierwszy gdzie są tany;
 Rej wszem pieśniarzom, Podhalanom chwała,
 A młody dziedzic na miłą polaną,
 Gdzie skały, zamkiem zakopańskim zwane³¹⁾

Wieść o nim biega, że przy wody szumie,
 W którym się hušta Dunajec maleńki,
 Znalazł dźwięk, i myśl do pierwszej piosenki;
 Dziś setne śpiewać i sam składać umie.
 Piszczalkę jego słychać śród tysiąca,
 Piosenka jego tak w serce idąca,
 Że starce nawet z łzami myślą o niej,
 Że samo echo przeciąglęj nią dzwoni.
 Każdy rad, każdy słucha go ciekawie,
 I on też chętnie przytomny zabawie,
 Kędy za stare dzieje odśpiewane,
 Łzy i oklaski może wziąć w zamianę.
 Wszyscy w głos wielki witali go radzi:
 »Cóż Ludek powie? z kąd ich Bóg prowadzi³²⁾?«
 Niepokój biega w spojrzeniach pieśniarza:
 »Niech wam Bóg szczęści!« pomieszany powie:
 »Ja wraz z Maniowój. Licho nam zagraża³³⁾;
 Tatar na nasze następuje zdrowie.
 Bądźcie baczniymi. Na mocnym Czorstynie,
 Ode dni kilku, przez rozkaz starosty,
 Kazano czuwać zamkowej drużynie;
 Zawarto wszystkim i bramy i mosty!«
 Starzy dumali; lecz młodzi górale,
 Toporki w górę cisnęli zuchwale,
 I zawołali: »Co? w halach Tatarzy?
 Któż to na nasze hale się odważy?
 Kto się odważy na te bory, głązy,
 Na te topory, bodaj na te razy?«

I groźnie wstrzęśli zaciśnione pięście.
 Ale Kiczora, co rzecz widzi zdrowo,
 Do serc gorących to powiedział słowo:
 »Powoli dzieci! wielkie to nieszczęście,
 Ten dziki Tatar, brzydszy od szarańczy.
 Już on nie dzisiaj, jak świat wielki, tańczy.
 Kiedy z państw przegnał Knigę świątobliwą²⁴⁾,
 To i przez nasze wąwozy przejść zdoła!
 — »A czy z nich wyjdzie?« odparła młodź żywo;
 »Bawmy się lepiej!« wołano do koła;
 »Ludek też naszej pomoże ochocie.
 Przy ich śpiewaniu zapomnim' o trwodze.
 Ludku śpiewajcie!« Pieśniarz był w kłopotcie,
 Przysłał nakoniec: »spieszno ja przechodzę;
 Ale, co mogę, zostawię po drodze.
 Strachem was witam, w strachu was porzuć,
 O mnichu, bracia! o mnichu zanuć:«

 Gaśnie zachód na obłokach;
 Gwiazdy łamią się w potokach;
 Kwiaty zroszone do snu opadły;
 Lasy ziemniałe dumać zasiały;
 Drzymie ziemia cicha,
 Nic nie uśpi mnicha.

Przez sen mówią śpiące góry;
 Lśni księżycem głaz ponury.
 Próchno się ogniem umarłym błyszczy,
 Sowy hukają, nietopérz piszczy;

Ślepa ćma się snuje,
 Wszystko mnicha czuje.

Mnich posuwa lotem kozy,
 Po przepaściach przez wąwozy;
 Na sam szczyt drzewa śmignie wiewiórką;
 Krzaki najgęstsze przemknie jaszczórką;
 Z głazu, mchem wysłiznie,
 Z wód, łososiem bryźnie.

Na wyżynie, na głębinie,
 W wąskiej, jak włos, rozpadlinie,
 W promyku rosy, w fijołka woni,
 Wytryśnie widmo, wiatrem pogoni:
 Gdzie nie pomyśl zajdzie;
 Gdzie się nie skryj znajdzie.

Nie pamięta żaden żywy,
 Kiedy wszczęły się te dziwy.
 Kiedy się skończą, któż zgadnąć może?
 Potłum to lichu, prosimy, Boże!
 Mocą krzyża swego
 Zasłoń nas od niego.

»Oj dzieci! z mnichem nie trzeba żartować!«
 Rzekła Plewina, staruszka ostrożna:
 »Kogo przydybie ta mara pobożna,
 Lepiejby temu zmiję pocałować.

Spotkanie mnicha tego narobiło,
 Że Janosz żyje Bóg wie po jakimu!
 — »Jakże to było? jakże to tam było?
 Powiedzcie, matko; będziem radzi temu.
 Tój całej sprawy nie jeden z nas nie wie.«
 — »Ludek nam powie!« rzecze Salka żywa,
 »Oni go nieraz spominają w śpiewie,
 Oni to znają. Niech Ludek zaśpiewa.«
 Na błagające spojrzenia dziewczyny,
 Na zaklinanie skupionej drużyny,
 Ludek rad nie rad ku ognisku wrócił,
 I z wtórem kobzy tak znowu zanucił:

Ranna jaskółka na juhasów woła,
 Pstrokacieją Wyżni boki.
 Czego Wyżnia tak pstrokata?
 Czy jaki wicher dmie w Gewont wysoki³⁵⁾
 I na sztuki go rozmiata?
 To Janosz swój statek rozpuścił do koła.
 Dzwoni fujara, i śpiewek na drzewa,
 Idzie górami w sto śpiewek;
 Któż te cudne pieśni składa?
 Czy za górami sto góralskich dziewek,
 Stu góralom odpowiada?....

Tu pieśniarz uciął; pod palcem kobziarza,
 Pękły z dalekim jękiem wszystkie druty.
 Ze środka lasu wypadł wicher luty:

Wrywa jodły, słupem liści tarza;
 Płomienie stosu kręci wiru śrubą;
 Mroczy polaną chmurą dymu grubą....
 Każdy się tulił, wszyscy się pytali:
 »Czém struny pękły? zkąd ten wicher luty?
 Czyście słyszeli, jak coś jękło w dali?
 Byłóż to echo kiedy pękły druty?«
 Wszysey pytają, a nikt nie odgadnie.
 Lepiej to widzi Janosz ze swojemi:
 Zaledwie wicher z pod lasu wypadnie,
 Jak przed gadziną skoczył on od ziemi,
 Wrzasł przykrym jękiem, zbiegł na brzeg opoki,
 Wyciągnął palec, rozwarł wzrok szeroki:
 »Czy wy widzicie, widzicie w kapturze?«
 Opryszki milczkiem spojrzeli mu w oczy,
 Potém po sobie z uśmiechem spojrzeli:
 Bo nie widzieli, tylko wielką burzę,
 Tylko słup wichru, co liściami toczy,
 To nie ma dziwu, że się w duchu śmieli.
 Janosz umilkła; drzały w piersiach słowa;
 Oczy w słup stały, zawsze w jedną stronę:
 Widziadło stąpa liściami otulone;
 Pod wielki kaptur całą głowę chowa;
 Na piersiach leży długa broda siwa,
 A trupia głowa siedzi na ramieniu,
 Widziadło wichrem stąpa ku płomieniu:
 Głowa z ramienia ptakiem się porzywa,
 Leci ćmą w ogień, uderza piorunem,

I stos rozwała; widziało brodacza
 Stos rozburzony poważnie przekracza,
 Wlecze za sobą dym i skry całunem,
 I burzą coraz dalszą w lasach znika.
 Wszystko ucichło, Janosz się odeyka,
 Jak po śnie straszonym; przeciera powiekę,
 Niepewnie w okrąg poziera i słucha,
 I sam do siebie przemawia po cichu:
 »Czyż to ty byłeś? ty, nieszczęsny mnichu?
 Ciebież widziałem? haj widziałem ducha.
 Nieszczęście niesie! bliskie czy dalekie!
 Biada nam! komu? mnie czy im? pobiege,
 Polecę do nich, zawołam, ostrzege,
 Niech do dom idą, niech będą gotowi.
 A będąż wierzyć? komu? opryszkowi?
 Bajce o strachu? hej Janoszu! w drogę,
 Tu niebezpieczno. Czekajcie! nie mogę,
 Nie mogę odejść! ich tutaj coś spotka,
 A spólna dola, zawsze, zawsze słodka!«
 Usiadł i czeka, niechaj co chce będzie.

Popłoch górali przewiał w burzy pędzie.
 Straszny to wicher, ale wzdry przeminął.
 Stos gore znowu. Gdzież to Ludek zginął?
 Czy nie ze sobą burza go porwała?
 »Gdzież tam!« ktoś woła, »gracz to syn Michała.
 On rad że wreszcie od was się wywinął.
 Zaledwo wicher ognisko rozmiotał;

On się na szczudłach co żywiej wydzwigał,
 Aż zatrzeszczało tak dalej pośmigiał,
 Zawołał: »reta« a pewno chichotał.«³⁶⁾
 — »Niech sobie lecą na szyi złamanie;
 Jakoś i bez nich będziem mieć śpiwanie!«
 Zawoła Salka: »niechaj lecą sobie,
 Ja wam na oko, jak tam było, zrobię.
 Wy też Magiera świadom rzeczy całej.
 Ja będę Kasią, i wedle tej skały,
 Będę zawodzić, i jagody zrywać,
 A wy Magiera pod bukiem usiądźcie,
 Będziem sobie wzajem przyspiwywać.
 A wy Nasieka starym mnichem bądźcie.
 Skryjcie się w gąszczu, i jak strach na Kasię,
 Wpadnijcie na mnie; ja powiem o czasie.
 No pamiętajcież!« I w zaroślach ginie.
 Antosz Nasieka w gunię się ubiera,
 Jak w kaptur mniszy, i siada w gęstwinie,
 A z pod buczyny tak nuci Magiera:

Cobym ja dał! cobym ja dał!
 Żebym we dnie i we mroku,
 O zachodzie i o świcie,
 Żebym całe, całe życie
 Miał cię Kasiu przy swym boku.
 Poł méj trzody jabym dał!

Magiera przestał i dudą wygrywa,
 A za drzewami dziewczę się odzywa:

Miej dla siebie trzody swoje,
O bydło nie stoje.

Cobym ja dał! cobym ja dał!
Żebyś twoje piersi białe,
Jako wzgórkę, uśnieżone,
A, jak puszek, wypieszczone,
Mógł dotykać życie całe.
Jabym ci polanę dał!

Śpiewak znów ucichł, i przygrywa w dudy.
A dziewczę z gęstwiny nuci jako wprzód:

Miej dla siebie łąki swoje,
O trawę nie stoje.

Cobym ja dał! cobym ja dał!
Żebyś u tego zarzewia,
Na to łóżko jak kolébkę,
Złożyć chciała ciało gibkie,
Jako pręcik kozodrzewia²⁷.
Jabym siebie tobie dał!

Długo śpiew krąży, po przestworzu cichém,
Aż od gęstwiny leci głos ze śmiechem:

Nie chcę trzody, nie chcę pola,
A twoja bądź wola.

Pieśń się skończyła; starzy lubowali;
Młodzież to piosnkę to pieśniarkę chwali;
Wszyscy czekają co nastąpi dalej.
Oh! i mnich wreszcie podnosi się, mruczy.
Nagle do koła, zatętni, zahuczy;
Salka wypada, krzyczy, co tchu staje,
Utraca siły, i mdleje śród drogi.
»Dobrze udaje!« krzyczą; »jak udaje!«
Ale wnet radość wrzasła gwarem trwogi:
Stęknęły głazy, trzasnęły konary,
I jezdne zewsząd suną się poczwary;
Suną się błyskiem, zawodzą ponuro,
I nakrywają góralów strzał chmurą.
»Tatarzy, przebóg!« zagrział głos Kiczory.
Watażki w rękę! do góry topory!
»Górale do mnie! kto zdolny na opór.
Za mnie tu! za mnie kobiety i starzy!«
Wystąpił naprzód, trzykrotnie zaśwista,
Wypuści w górę, jak głównię, swój topór.
Półkołem obok staje młodź barczysta,
A naprzód lecą i wrzeszczą Tatarzy.
Po owczych kudłach, otuleni nocą,
A ognie stosu po szablach migocą.

Przypisy do Sobótki.

1.

Sobótka. Uroczystość ludów słowiańskich, znana w różnych plemionach pod różnemi nazwami. Sięga najdawniejszych czasów, a w niektórych stronach trwa dotąd. Przypadała 24. Czerwca. Mieszkańcy jednej lub kilku osad, gromadzili się w pewne miejsce, nakładali wielki ogień, tańczyli około niego, śpiewali, czynili rozmaite wróżby, to skacząc przez płomień, to wianki na wodę puszczając. Były to istne słowiańskie igrzyska, lub święto ognia odziane uroczą tajemniczością religii, i całym urokiem poezyi. Pojąłem ją w tym duchu, i wystawiłem w niniejszej poezyi. O Sobótce wspominają nasi kronikarze; z powodu Sobótki są pieśni Jana Kochanowskiego, które jednak przez naśladownictwo cudzoziemskiej literatury, nie dają o niej żadnego wyobrażenia. Jeszcze jedna uwaga względem Sobótki nie będzie zbyteczna. Zdaje się, że Sobótka,

2.

Po wzniosłej Wyźni osuwa się szczycie.

Wyźnia góra w paśmie leżącym nad Nowotar-ską doliną, równolegle do skalistych, najwyższych Tatrów. Stoi ona na gruntach wsi Łopusznej. Jej obraz w powieści wiernie jest wzięty z przyrody.

3.

Z niebios podhalskich uchodzi ulewa.

Tatry najwyższe, co są na granicy Węgier i Galicyi, noszą u mieszkańców tamecznych nazwisko hal, od hal, czyli pastwisk znajdujących się między nimi; dla tego podnóże Tatrów zowie się podhalem, a jego mieszkańcy podhalanami. Nazwisko to odnosi się do niewielu wsi, leżących pod samemi Tatrami.

4.

Sztandarem tęczy od Pienin powiewa.

Pieniny najwyższa góra skalista. W témże paśmie, co Wyźnia. Leży nad samym Dunajcem. Słynie jako przytułek św. Kunegundy w czasie tatarskich wojen, oraz szczątkami jej zamku.

5.

Nucą juhaski, hukają juhasy.

Nazwisko pasterzy u tatrańskich Słowian.

6.

Wyżnia postawą Kluczek nie dosięga.

Kluczki góra na granicach łopuszańskich, najwyższa w swoim paśmie po Pieninach. Niepospolitej rozległości widok ją otacza. Na dniu pogodnym można z niej widzieć Kraków o mil jedenaście oddalony.

7.

Na gród olbrzymi olbrzymki-Łomnicy.

Łomnica najwyższa w Tatrach góra. Widać ją w całej okazałości od strony Węgier.

8.

Łśni Nowotarskiej doliny opona.

Nowotarską doliną, zowie się kilkonastomilowa przestrzeń pomiędzy Tatrami; od leżącego na niej miasteczka Nowego-targu.

9.

Po której stopniach nurt Łopusznej zchodzi.

Łopuszna, jest to właściwie potok, utworzony z kilkudziesięciu mniejszych; źródło jego na szczycie Kluczek, a ujście w Dunajcu pod wsią Łopuszną.

10.

Słynie jak Krywan. —

Krywan, znajomy nam mniej więcej, po Łomnicy najwyższy szczyt w Tatrach. W Galicyi widać go tylko ode wsi Suchy-ząb zwanęj.

11.

To moja polana.

Każda łąka w górach między lasami.

12.

Statku nie mogły pomieścić koszary.

Górale tatrańscy, choć najwięcej do Krakowików zbliżeni, mają przecież mnóstwo oddzielnych, właściwych sobie wyrazów. Między innemi było zowie się u nich statkiem: rogata, gruby statek; nierogata, drobny statek; domowe ptastwo, gądźina i t. p.

13.

Wszem smakowały mój sér i żętyca.

Góry Karpackie w ogólności słyną z tego nazwiska serwatki. Jest-to właściwie mléko wszelkiego rodzaju, pomieszane i zwarzone przy ogniu.

14.

Największy płomień jarzał z mój bacówki.

Bacówka, buda pasterska w górach.

15.

Kasia najradniej szła tu na borówki.

Jagody leśne na drobnych krzewinach, zwane gdzie indziej czernicami.

16.

Mnich! mnich! krzyknęła.

Widziadło mnicha grające w tej powieści znaczną rolę, objawiało się w samej rzeczy w tych okolicach przed laty jeszcze kilkudziesiąt. Powsta-

walo najczęściej z wody. Inne o niém szczegóły zawarte są w samėje powieści.

17.

Aż pod wieś prawie, do Dziwo-żon jamy.

O Dziwo-żonach sama powieść obszernie mówi, a zawsze na podstawie podania. Widziałem pod Łopuszną ich pieczarę od lat kilkunastu zawaloną kamieniami.

18.

Rzekłem: haj! pójdę —

Haj! u góralów słowo twierdzenia: Tak, tak jest!

19.

Kobzy i gęśle, fujarki i dudki.

Niektóre z tych narzędzi, dotąd się znajdują między góralami, innych używanie przeminęło; alem je wprowadził, bo myślałem o wieku XIII; a wprowadziłem je, podług ich opisu z dawniejszych czasów; i tak: dudami zwała się wprawiona dudka w skórzany mieszek, który dla wydania głosu przyciskał się pod pachą. Kobza, rodzaj gitary, z kilką drucianemi strunami; fujarka, piszczałka pasterska, flet, dmie się w otwór u wierzchu, fletnia, z boku; gęśl tylko pozwoliłem sobie wyobrazić taką, jak ją dziś widzujemy.

20.

Zamożny gazda na wielkiej polanie.

Gazda w dyalekcie góralskim to samo, co u nas gospodarz, kmieć.

21.

Z góry przezwanej mianem jego rodu.

Kiczora, góra łącząca Wyżnię z Kluczkami; pośrednia między obiema, co do wysokości, zowie się inaczej Ciaski.

22.

Więcej wataszek niż ma owiec w trzodzie.

Wataszka, siekiérka góralska, na długim drzewcu osadzona, służy razem do podpierania się; zowią ją także ciupaga.

23.

Kiedym przemierzał ślak do Carogrodu.

Przemysł i handel zawodzi górali w dalekie kraje.

24.

Dziewki z kolei zawiodyły tę spiéwkę.

Powinienem raz na zawsze upewnić czytelników, że wszelkie podania, wyłożone w powieści, są wiernym przekładem podań krążących pod Tatrami.

25.

Słodczkę jeść dadzą.

Jakie-to ziele, które Dziwo-żony bardzo lubią? o tém przekonać się nie mogłem.

26.

Jaką tam gęźbę wyprawują dziwy.

Gęźba, stary wyraz, to samo, co dziś muzyka.

27.

Gacki pisnęły, w gwałt huknęły sowy.

Gacek, nietopérz.

28.

Królem on wężów, zwany u górali.

Podług górali, wąż ten istnie rzeczywiście. Ma mieć barwę nadzwyczajnej piękności, a na głowie grzebyk do korony podobny. Napastowany wydaje gwizd donośny, a tysiące wężów przybywa mu na pomoc.

29.

Nieżywa głowa skacze w ślad za niemi.

Ta głowa bez reszty ciała, obrośla bardzo długimi włosami, błąka się do dziś dnia po łopuszańskich polach.

30.

Cóż wam zaśpiewam? o chmurnej dolinie.

Kościeliska dolina, ma dzisiejsze nazwisko dopiero od porażki Tatarów, wprzód więc inne mieć musiała; dowolnie nadałem jej miano: pochmurna, z przyczyn w pieśni wyłożonych. Ze źródła o którym pieśń spomina wypływa Dunajec czarny.

31.

Gdzie skały, zamkiem zakopańskim zwane.

Nie raz można między górami trafić na masę opok, wyobrażających w całości swojej obwarowane miejsce. Do rzędu takich zjawisk należą

skały w Zakopaném, i z tego powodu zamkiem zakopańskim nazwane. U ich podnóza wytryska w kształcie kilku-sażniowego wodospadu źródło białego Dunajca.

32.

Cóż Judek powie? z kąd ich Bóg prowadzi.

U wielkiej części pokoleń słowiańskich, zaimiek użyły w trzeciej osobie liczby mnogiej, znaczy uszanowanie dla tego, do kogo się odnosi. Górale służą za przykład tego.

33.

Ja wraz z Maniowój —

Ogromny garb tego nazwiska, w témże paśmie co Kluczki i Pieniny. Wieś Maniowa leży nie daleko téj góry na drodze z Czorstyna do Nowogotargu.

34.

Kiedy z państw przegnał Knige świętobliwą.

Jest tu mowa o św. Kunegundzie, uciekającej przed Tatarami do Węgier.

35.

Czy jaki wicher dmie w Gewont wysoki.

Gewont góra uderzająca kształtem nagięj ściany, leży między Zakopaném, a Kościeliskiem.

36.

Zawolał: reta! a pewno chichotał.

Reta, to samo, co gwałtu, wyraz ludu polskiego.

37.

*Złożyć chciała ciałko gibkie,
Jako pręcik kozo-drzewia.*

Kozo-drzew', rodzaj karczystej sosny. Rośnie w najwyższych roślinnych strefach. Ściele się po ziemi tak gęsto, prętami tak giętкими, że jak w sieć można się weń uwikłać.

ZAMEK KANIOWSKI.

POWIEŚĆ.

Część pierwsza.**1.**

Wspaniałe zamku Kaniowskiego wieże
Wnoszą się w chmury jak olbrzyma ramię;
A dzielnej ziemi powiewa z nich znamię,
A wielkich granic twarda ich pierś strzeże.
Kaniów, po jarach, górach, rozpierzchnięty,
Igra, jak dzieci pod piastunki okiem;
Dumne że płyną pod olbrzyma bokiem,
Poważnie kipią Dnieprowych wód męty;
A lasy, świeże jak powab nietknięty,
Po górach, dzikich jak rozpaczy czoło,
Rozległe brzegi obsiadły w około.

2.

Wietrzna jesienna zawyła noc z dala.
Warzą się wiry w zamąconém łożu;
Wre chmur kłębami i niebo, jak fala;
Złośliwy obłęd¹⁾ igra po rozdrożu.

Podróżny z cichém szeptaniem pacierza
 Mija rozdoły świstające trzcina;
 W skrwawionych szponach zgłodniałego zwierzca
 Dławione bydlę poryka doliną.
 Pod szturmem wiatru, co silnie dmie górą,
 Słysząc skrzypanie głównej szubienicy:
 Trup się kołysze, pies wyje ponuro,
 Śmierć snu osiadła w zamku okolicy.
 Szablą, czasami, pobrząkując krzywą,
 Szydłwach wisielca, wzdłuż płaskiego wzgórza,
 Zwijając wąsy, przechadza się żywo:
 To cisza nocy w myślach go ponurza,
 To szubienicy skrzypnienie ocuci;
 A on wzrok błędny to na trupa rzuci,
 Niby się jego zatrwożył wskrzeszenia, —
 To, jak po śmiałość, kieruje spojrzenia,
 Gdzie baszt zamkowych opiekuńcza gwiazda,
 Strażniczy ogień czuwa z wierzchu wieży.
 Szelest po krzakach. Czy ptak pierzchnął z gniazda?
 Coś majaczeje²⁾, coś po drodze bieży.
 Tfu! W imię Ojca.... To tumany djable.
 Po cieniach nocy wszystko się rozsiało.
 Kozak opatrzył janczarkę³⁾ i szablę,
 I dawną drogą chodził dalej śmiało.

3.

W świetle księżycy, co wyrzły czasami,
 Mignął ktoś bielą, i zagasł tam w krzaku:

I śpiew dziewiczy przeleciał z wiatrami;
 Ten śpiew, znajomy, budzi dreszcz w kozaku.
 Alboż to dziwno że słowa dziewczyny
 (Poznać ją można po jej miłej nucie),
 W burzliwém sercu syna Ukrainy,
 Ocknęły nagle burzliwe uczucie.
 Oho! już niema kozaka u wzgórza.
 A księżyc znowu mgłami się zachmurza;
 I noc mokremi tumanami bije,
 I szubienica skrzypi, i pies wyje,
 I po rozdrożu igrają bałwany,
 I wichler, z jękiem, dmie w zamkowe ściany.

4.

Luba puszczyka siedzi naperzona⁴⁾.
 W szczelinie wieży dawno jęczy ona:
 Że miesiąc ściemniał, wiatry na nią wyły,
 I na tak długo odleciał jej miły.
 Wszak-to lot jego usłyszała w górze?
 Nie; to dziewczyna przychodzi pod wieżę,
 Błądzącą ręką za mury się bierze,
 Płątane nogi pośród nocy stawia,
 »Czyś tu, Nebabo?« z cichutka przemawia.
 »Tu, tu, Orliko!« szepnął głos przy murze.
 »O jakżem rada żem wreszcie przy tobie!«
 Głośniej i śmieliej dziewczyna wyrzekła.
 »Jakże tu ciemno, jak straszno! jak w grobie.

Chętniebym jednak, za każdą zręcznością,
 I do samego uciekała piekła
 Przed tego Lacha obrzydłą miłością.
 Jakże tu wietrzno, i straszno, i ciemno!
 Ale mnie dobrze skoro jesteś ze mną!
 Kozak tymczasem uchylił swój burki
 I utuloną do boku przycisnął;
 Bo przykry wicher pośród murów świsnął,
 I mgliste jęły podnosić się chmurki.

5.

Resztę rozmowy utaja milczeniem.
 A i na wieży miłe posiedzenie,
 Gdy rozkochane zleca się puszczyki.

Puszczyk pierwszy.

Zkąd ci ten pośpiech i wesołe krzyki?

Puszczyk drugi.

Patrzaj-no, patrzaj, miluchna,
 Oczkiem żywém jak blask próchna;
 Patrz-no i śmieję się: bo twe śmiechy miłe
 Jak téj matki wrzask przestachu,
 Którą niedawno ostrzegałem, z duchu,
 Że chory jój pieszczoszek zalegnie mogiłę:
 Jak djabli przy wisielcu snują się orszakiem.
 Co oni wyrabiają z tym biédnym kozakiem!
 Cha, cha, cha!

Ten, zmaczanym snopem trzciny,
 Jak na wszystkie strony macha,
 Jakie grube mgły rozsięwa;
 A ten obudza wiatry dębiny,
 Jak biega wkoło, gałęziami smaga;
 A ów mu pomaga,
 Jak skrzypi szubienicą! aż prawie wrywa.

Puszczyk pierwszy.

Cóż to znaczy?

Puszczyk drugi.

Czekaj! widzisz, pod krzakiem coś białe majaczy.
 To kochanka kozaka, widzieć go przychodzi;
 I kozak wie o niej, lecz go djabeł zwodzi;
 Co tu kobiécych snuje się postaci,
 Głósów podobnych co tu z każdej strony!
 Patrz! posłyszał ją, ujrzał, bieży rozpędzony,
 I z oka traci!
 Cha, cha, cha!

Puszczyk pierwszy.

Cóż to znaczy?

Puszczyk drugi.

A tam znowu, na górze, patrz! jeździec majaczy:
 Podjeżdża ku szubienicy:
 Szyldwach do rusznicy!

Krzemień klasnął, proch wybuchnął,
 Djabeł dmuchnął,
 Wszystko z wiatrem uleciało;
 A przed oczami szyldwacha
 Pożółciało, pociemniało,
 I tysiąc jezdnych dokoła majaczy!
 Cha, cha, cha!

Puszczczyk pierwszy.

Cóż to znaczy?

Puszczczyk drugi.

Aha! już kozak znalazł dziewicę.
 Jeździec pod szubienicę.
 Patrz! trup się urwał; patrz, wisi drugi;
 Djabeł skory do posługi.
 W jakiej się pysze
 Wesoly djabeł kołysze,
 Jak zabawia towarzysze!
 Jakie skoki, jakie śmiechy!
 Cha-cha! chy-chy!

Puszczczyk pierwszy.

Cóż to znaczy?

Puszczczyk drugi.

Patrz! jeździec ukradł trupa i pędzi przez błonia,
 Aż mgła wstaje z konia;
 Już ledwie, ledwie majaczy!

Puszczczyk pierwszy.

Cóż to znaczy?

Puszczczyk drugi.

Otumanili ⁵⁾ kozaka.
 Poziera z pod krzaka:
 I szubienica stoi, i djabeł się chwieje;
 Kozak spokojny, a djabeł się śmieje!

Puszczczyk pierwszy.

Cóż się stanie z wisielcem jak kogut zapieje?

Puszczczyk drugi.

Parą się rozwieje.

Puszczczyk pierwszy.

A jak trupa nie znajdzie, co szyldwacha spotka?

Puszczczyk drugi.

Zmienić djabła raczy.

Puszczczyk pierwszy.

Cóż to wszystko znaczy?

Puszczczyk drugi.

Szatańska pustotka!
 Cha, cha, cha!
 Szyldwach trupa nie ustrzegł, powieszają szyldwacha.

6.

A tam u dołu jakie słyhać gwary?
 To słodkie słowa rozkochanej pary.
 »Cóż on ci prawił, moje ty kochanie,
 Kiedym was dzisiaj zeszedł niespodzianie?«
 Pytał Nebaba. — »»Jego piosnka stara,
 Tak, że już teraz i nie zważam na nią:
 Jaka szczęśliwa byłaby z nas para,
 Jak znakomitą zostałabym panią,
 Gdybym zechciała zostać rządcy żoną.
 Prawił jak dziecku. Szczególne gadanie!
 Jakby mię wkoło szanowano, czczono;
 Potém dwór jaki, a jakie ubranie!
 Że, z resztą, w szczęściu nie mogę być takim
 Choćby z najpierwszym złączona kozakiem.«
 »I ty go słuchasz, kochana Orliko?«
 Przerwał Nebaba; a nagle przerwanie
 Dosyć odkrywa, jak wzmianka o panie
 O serce jego odbija się dziko.
 »Lepiej byłoby nie słuhać, Orliko!
 Jednak ty kochasz tylko mnie samego?«
 Tak wrzące, nagle były słowa jego,
 Że między niemi dosyć czasu minie
 Nim na odpowiedź zbierze się dziewczynie:
 »»Ach! tybyś może mnież uwierzył mowie.
 Czy ciebie kocham, niechaj ci to powie!«
 I pocałunek płonącej miłości

Złożyła, w ogniu, na usta zazdrości.
 »Orliko, słuchaj: niech go niebo strzeże
 Kogo postawi piekło między nami!
 Jutro, dziś jeszcze!... Widzisz o-te wieże
 Widzisz, Orliko, ten bór za wodami?...
 A czyliż darmo i ja noszę szablę?
 Jeżeli podszepty uwiodą go djable,
 Orliko, słuchaj, i Bóg nie ustrzeże!«
 I dla uniesień dzikich przyswiadczenia,
 W dziewicze usta zionął takie żary,
 Jakiemi drzewo wypala dłoń mary,
 Kiedy niewierny przeczy jej zjawienia.
 A chociaż ogniem grały jego żyły,
 Usta pałały i oczy iskrzyły;
 Pozór krwi zimnej w głosie swoim chowa,
 I te do pierwszych dodał jeszcze słowa:
 »Takie jak czujesz nie zgasną upały!
 Niechże się teraz dotknie ich zuchwały!
 To pieczęć klątwy na skarbach twój twarzy!
 A kto je ruszy piekło go oparzy!«
 Nagle się dziwnie zaśmiały puszczyki:
 Pieszczone cieniem, stworzenia te rade
 Słyszeć wyroki co niosą zagładę.
 A strach się w sercu obudził Orliki.
 I północ w dzwony zegaru uderzy,
 I kochankowie poszli gdzie sen woła.
 I wszystko cicho u drzymiącej wieży,
 I wszystko cicho pod zamkiem dokoła.

Chyba niekiedy puszczyk zachychoce,
 Że syny piekła, do pustot ochocze,
 To echo zamku drażnią swym tupotem,
 To znowu, zęby wyiskrzywszy smocze,
 Błądzące ognie udają nad błotem.

7.

Gwiazdo, świetna, wesola, jak anioł młodości!
 Gdy, na złotym promieniu, wiedziesz z sobą lato,
 Jak jej nadzieja, wtedy spoczywasz w ciemności.
 Dzisiaj, mglistą jesieni osłonią szatą,
 Jakże tęsknie opuszczasz niebo Ukrainy,
 Gdzie wszystko jest pięknnością niewinnej dziew-
 czyny,

Gdzie powietrze, pogodne jak blask jej oblicza;
 Czaruje, w swych powiewach, urokiem jej tchnienia,
 Gdzie wody odbijają światło jej spojrzenia,
 Gdzie pagórki ponętne jak jej pierś dziewicza,
 Gdzie wietrzyk harmoniją pieśni jej powiewa,
 Gdzie kwiaty płeć jej mają, a jej świeżość drzewa!
 Czemuż, o smutna gwiazdo, w zachodzie jesieni,
 Jak konające oko, twój się okrąg mieni?
 Ponury jest twój zachód, i wschód twój ponury,
 Kiedy się w chmurę kładziesz, kiedy wstajesz
 z chmury!

Pod rosą, co się dzisiaj promieni tak świetnie,
 Jutro, przed ranem jeszcze, ten kwiatek zakrzepnie,

Jak, wśród zdręczej pieszczoty, piękność uwiedziona;
 Ten listek, taki świeży, żalu nie wyszepnie,
 Gdy z rodzinnej gałązki wiatery go odetnie,
 I na wywiedleń braci jeszcze dzisiaj skona!
 Żegnaj cię więc, o gwiazdo, przed smutnym no-
 clegiem:

Jękiem listka co głuchnie nad ogłuchłym brzegiem,
 Wielkim hymnem żórawi co ciągną ku morzu,
 Rykiem trzody co rzuca jałowe pastwiska,
 Głuchym szumem co stęka w zmartwiałych wód
 łożu,

Konającym promieniem co z rosy połyska,
 Gdy, raz ostatni, drzącą zimny wichry ścisła!

8.

Otóż i księżyc, z pod światów posady,
 Jak cień zmarłego słońca, wyszedł błady!
 Żyjącym ogniem igra Dniepru fala,
 Urwistych brzegów zabielały piaski,
 Jak cienie chmurek majaczą w krąg laski.
 Lecz, z przeciwnego Dnieprowego brzegu,
 Jak nawałnica, gdy się na świat zwala,
 Grożąca ciemność czarny bór zalega;
 A tylko, czasem, między jego cieniem,
 A tylko, czasem, nad jego sklepieniem,
 Jak płomyk błędny, światło jakieś błyska,
 I jaśniej buchnie łuno^o) od ogniska.

9.

Gdy ziemia uśnie, księżyc wartę trzyma,
I nocne wiatry oblatują ciszę,
I sen ciemieży czujność ukolysze;
Bezpieczna wtedy, pod jego oczyma,
Ochoczą młodzież radość przywoływa,
Gdzie na nią czeka swoboda szczęśliwa!

Poniżej miasta, po nad brzegiem, dołem,
Sędziwe lipy, Dniepru wód strażnice,
Stoją poważnie, z płowiejącym czołem:
Tam się na huczne schodzą wieczornice
Rześcy parobcy i hoże dziewice.
A gdy, nad jasnym sinych wód rozlewem,
I brzeg zasiądą i uwieńczą wzgórki,
I wiatry Dniepru poślą z cichym śpiewem,
I wnet uderzą w piszczałki, bandurki,
Wierzysz natenczas, że to czarów siła
Zaklętą ucztę w nocy wyprawiła.

10.

Lecz niech piszczałki i bandurki dzwonią,
Niechaj się płocho rozkochani gonią,
Niech ziemia tętni gdy taniec zakręca
Z lepszej młodzieży uplecione koło;
Niech na ustroniu dziewczęcę skryte połą,

Bijącym łonem rozgrzewa młodzieńca.
Tam pod drzewami posiedzenie cichsze,
Tam skłonne serca i kielich godowy
Kupią płci obie na ważne rozmowy;
Tam, nieszczęśliwy znikły we złym wichrze⁷⁾;
Czerwony upiór, co północną chwila
Krew sennych dzieci wydają z odźwierka⁸⁾;
Widma, oczami wartowana tyłą,
Co rosę z kwiatów na śmietaną cyrka⁹⁾;
Jęcząca w górze nieochrzczona dusza;
Latawiec, gwiazda co kobiet wysusza;
Litość i trwogę budzą na przemiany,

II.

Cyt! »Ho-hop, ho-hop!« odgłos smutny, znany¹⁰⁾.
Smutny jak odgłos sowy pośród cienia,
Coraz wyraźniej, coraz bliżej woła.
»Topielec Ksenia! ach, topielec Ksenia
Zbliża się do nas!« wołano dokoła.
Razem ustały i tańce i śpiewy;
Ciasnym okręgiem skupiły się dziewy,
Wzrok niespokojny zwrócili parobcy
W stronę, z kąd słychać głos ten ziemi obcy.
»Ho-hop, Nebabo! ho-hop, atamanie!«
Bliżej i bliżej i bliżej hukanie.
Aż oto razem i straszny stanie!
Jakby skrzydłami pijanych szatanów,

Śród takich leci konwulsyjnych tanów
 Postać szkieleta, dzikość ma w spojrzeniu;
 Łachmanów strzępy wiszą po odzieniu;
 W wywiędłe kwiaty, w wypłowiałe wstęgi
 Utknęła gęsto warkocz skoltuniony;
 Gwizdnęła, klasła, i z wietrznemi kręgi
 Nagle we wszystkie rzuciła się strony.
 »Ho-hop, Nebabo! ho-hop, atamanie!«
 A jaki w koło strach i pomieszanie.
 Gdzie tylko zwróci, gdzie się tylko zbliża,
 Jak przed szatanem, robią znaki krzyża;
 Bo choć djablica ma postać człowieka,
 Jednak od krzyża ze wstrętem ucieka.
 I gnać ją trzeba, bo mu nie najlepiej,
 Z kim ona blisko, przy kim się uczepli.
 »Ho-hop, Nebabo!« do koła huknęła;
 I jak tu spadła, tak ztąd i zniknęła.

12.

Już-to zamkowi lękać się potrzeba,
 Gdy ją zesłało, ciężkiój kary nieba.
 Dziwna istota! co, z pewnego czasu,
 Ciągłe przebiega miasto, z końca w koniec,
 Z hukiem wędrowca gdy błądzi śród lasu.
 Kto wie czyli to nie zły wróżby goniec?
 Bo cęra u niej od śmiertelnej bledsza;
 Jak myśl rozpaczy, tak się zjawia, znika;

Dziwna jej żywość, jak radość puszczyka;
 Głos jak psa wycie kiedy trupy zwietrza.
 »Niech Bóg odwróci djablicę przebrzydłą!
 Niech Bóg ustrzeże od niej atamana!«
 Przebąkiwała drużyna zmieszana,
 Zmieszana jeszcze choć znikło straszydło.

13.

Gdzież jest ataman, że, w gronie mołojców,
 Na wieczornice dotąd nie przybywa?
 Gdzież jest ataman? każdy zapytywa.
 Ataman: stary w kole starych ojców;
 Jak sam pan polski, przed panem tak hardy;
 Prędko jak polysk co biegnie żelazem,
 Lecz, w swojej zemście, jak żelazo twardy;
 Czczony od swoich zarówno z obrazem:
 Duszą jest dziewcząt i wieczornic razem!
 Ten czarny wąsik, co w drobnym pierścieniu
 Nad różowemi ustami się zwija;
 Ten wzrok, co przy brwiach ciemnych tak odbija
 Jak blask południa przy północy cieniu;
 Ten kształt postawy, co, burką opięty,
 Tak się wydaje w wspaniałym pochodzie
 Jak maszt bajdaku¹¹⁾, gdy żagiel rozdęty
 Mknie go z wiatrami po Dnieprowej wodzie.
 Szczęśliwa, którą zaczepi uprzejmie;
 Szczęśliwsza, którą uściskiem obejmie;

Szczęśliwsza jeszcze, najszczęśliwsza w świecie,
Czyją wstążeczkę w seledec¹²⁾ zaplecie!

14.

Gdzież jest, co robi ataman Nebaba,
Pierwszy z kozaków starosty nadwornych?
Siedzi on, cichy, w ciemnościach wieczornych,
Gdzie wrzawa miasta dolatuje słaba.
Gdzie na dnie jaru, ścian zamkowych spodem,
Cicha krynica drzymie pod osiką, —
Tam przyszedł czekać, jeszcze przed zachodem,
Jak się umówił ze swoją Orliką.
Jakkolwiek sercem unosisz się dzikiem,
Wleczę cię miłość piękną rzesą jedną,
Jednym westchnieniem, jednym ocz promykiem
Już słońce zaszło, zmierzchłe nieba bledną,
Ziemia ciemnieje, a Orliki niema.
A zakochany, w oku, w uchu wszystkim,
Tak w okrąg strzela okiem i uszyma,
Czy wiatr przeleci, czy upadnie listek.
Kochane widmo marzy jego dusza!
I wiatr przelata, i liść się przerusza,
Orliki jednak jak niema tak niema.
Już, po sto razy, wzrokiem wypatrzonym,
Witał wstające nad wzgórzem obłoki;
Już, po sto razy, rozeznał jój kroki
W bliskiego zamku zgiełku przytłumionym,

I zawsze błędził; aż, błędząc w około,
Nad ciche źródło schylił ciemne czoło.
I tak głęboko myśli w niem zanurzy,
Jakby w zwierciedle serca swego burzy.
A tam błękity maluje odbicie,
I obraz jego w odbitym błękitcie,
Jakby go ręka stworzyła malarza.
Łuno tam słońca w zachodzie się mieni;
Oblędnym blaskiem gasnących płomieni,
Mierzchnące nieba gasi, to rozżarza.
A kochankowi tak czas jakoś idzie,
Jakby się patrzył na lubą we wstydzie.
W górze, liść zwiedły nagięj osiczyny,
Sam na gałęzi, posępnie szeleści;
Tak, odumarły od lubej rodziny,
Sędziwy ojciec, bez pociech, w boleści,
Podobnie zwiedły, samotny podobnie,
Do grobu dziełek utęsknia żalobnie.
Gęściejszym zmierzchem już się niebo mroczy,
Mroczy się niebo i na dnie przezroczy,
W bledszym zachodzie, zorza zaigrała;
I przez gałęzie bezlistnej osiki,
Zadrzały w wodzie żywe jój promyki:
Ach, jakie żywe! to oko Orliki!
Otóż się jawi i postać jój cała:
Widzi, jak, z góry, krok przyspiesza skory;
A od pośpiechu lica żywiej płoną,
A od radości częściej bije łono,

A od powiewu, co płacze kędziory,
 I kraśne wstęgi po plecach rozwija,
 Z cienkiego stroju stan smukły przebija.
 Już staje obok, już ją oto ściska,
 Aż nagle zorza chowa się w obłoku;
 Widmo zniknęło, ciemność na dnie stoku:
 I, o wiek cały, szczęśliwość tak bliska!
 A u kozaka taka myśl ponura,
 Jakby mu w duszy osiadła ta chmura.
 Niewie dla czego. Odsunął się w stronę,
 Oparł na rękę czoło zamyślonę;
 Znowu się rzucił, jakby w nagłym gniewie,
 I razem ostygł: czemu wszystko? niewie.
 A potem dobył kinżału z zapasa,
 Obracał w rękę, igrał z blaskiem jego,
 Próbował ostrza: niewiedzieć dla czego.

15.

»Ho-hop, Nebabo!« djabeł, wichrem, hasa.
 Niechże cię smołą rozleje krzyż pański!
 I tu ofiarę zwietrzył nos szatański!
 Poznał ataman, po przelocie, ptaszka;
 A że miecz z djabełem sprawę, nie igraszka,
 Trzeba tu uwieść tę szatańską córkę.
 Więc się przeżegnał, obwinął się w burkę,
 I, przyczajony, czekał pod osiką,
 Aż się wykrzyczy i dalej pomacha

Lucyferowa opętana swacha,
 W djabelskim tańcu, z djabelską muzyką.
 »Ho-hop, Nebabo!« a ona do koła,
 »Hop-hop, Nebabo!« a ona go wola.
 A okiem błyska i martwo i sino;
 Tak krople siarki z wolnym ogniem płyną.

Masz pułk szatanów, jeszcze ich miej tyle,
 Wytropić jego nie jesteś ty w sile!
 Kiedy więc długo hukala, klaskała,
 Z hukiem i klaskiem dalej poleciała.
 Uniknął przecię straszego widzenia;
 Lecz trwożne serce niedobrze coś wróży;
 Orliki niema, a wabiła Ksenia.
 Wszystko niedobrze: nie czas myśleć dłużej,
 I dłużej czekać; bo, hasłem wiadomem,
 Z zamkowych ganków trąba się ozwała,
 I strzał wieczorny zamkowego działa
 Zatrząsł Kaniowa okolice gromem.

16.

Czy się spodziewać starosty¹²⁾ przybycia?
 Czyli patrona pana rządcy święto?
 Że tak zamkową salę wyprzątnięto,
 Stół ustrojono w kosztowne nakrycia,
 Jasném go śrebrem suto zastawiono;
 A, tak jak wielka, przez stołową salę,
 To na zwierciadłach, to w rzniętym kryształe,

Jarzące światła rżęsnym blaskiem płoną.
 I sam pan rządcą, wieczorem, przebrany
 W nową czamare, w pas złotem kapiący,
 Rozkazał: aby strojono torbany,
 By czystą odzież oblekli służący,
 Hojną wieczerzą by zastawić stoły,
 Odeprzeć lochy warowne żelazem,
 Wytoczyć na dwór kilka beczek razem, —
 Aby ten wieczór wszystkim był wesoly.

17.

Lecz na cóż tutaj długie tajemnice?
 Młoda Orlika już jest rządcy żoną.
 Tylko-co ślubne światła pogaszono,
 I ksiądz zdjął stulę, i zamknął kaplicę.
 Wszyscy się dziwią nad skrytym powodem
 Tak pośpiesznego tego rządcy czynu,
 Choć dobrze znana jego miłość stała.
 Ale Orlika! to-to dziw dla gminu!
 Co jeszcze dzisiaj przed słońca zachodem,
 Niż zostać Polką umrzećby wolala. . . .

Za godzin kilka, nad samym wieczorem,
 Wysławszy służbę surowym rozkazem,
 Został się rządcą sam z Orliką razem,
 I coś poważnym zaczął rozhoworem.
 Prędko i przykro wrzasnął głos Orliki,
 Jakby nagłego przest్రachu wrzask dziki.

Rządcą wciąż mówił; dziewczyna milczała,
 Ucichł; dziewczyna znowu zaszczołała;
 I słycać było, długo, nieprzerwanie,
 Mieszane ciągle jęć słowa i łkanie,
 I, wzdłuż komnaty, poważne stąpanie.
 I znowu potóm groźna rządcy mowa,
 Jak huk stłumiony rozległa się wnętrzem:
 Prędzęj urywał, prędzęj chwytal słowa;
 I ucichł, jakby odpowiedzi czeka.
 A gdy dziewczyna, widać, ją przewleka,
 Uderzył krokiem o podłogę prędszym,
 I chciał wyjść pewnie, bo klamka zabrząkla;
 A tu Orlika, jak przebita, jękla.
 Musi być zadość srogiemu żądaniu;
 Bo wrócił nazad, i, jak najłagodniej,
 Tulil ją długo w ciągłym jęć szlochaniu.
 I z taką dumą, tak rad, wyszedł od niej!
 Chłopak co spieszył na zamek z torbanem
 Tak, koło okien przystrojonej sali,
 Ciemno, otwarcie, mówił z atamanem;
 Mówił jak wiedział, jak mu nagadali.

18.

Jeżli są słowa że, jak gromu ciosy,
 Niosą śmierć nagłą w najezerstwiejsze zdrowie;
 Czuł je Nebaba w tej chłopaka mowie.
 Jak szatan zgrozy najeża mu włosy!

Jak, we mgle żółtej, wzrok jego słupieje!
 Niby dłoń śmierci za serce chwyciła,
 Taki po ciele zimny pot się leje,
 A lodem zda się stygnąć każda żyła.
 Usta mu drgają, kolano przykłęka,
 Tylko się wierna za nóż chwyta ręka.

19.

Śród gwarów tłumnych, śród blasku powodzi,
 Widać po ruchu tych cieni tysiąca,
 Które maluje ściana pałająca,
 Że już do sali weszli państwo młodzi.
 Po skręcie służby, po dźwięku talerzy,
 Widać że młodzi siedli do wieczerzy.
 A teraz w kolej puszczoneo puhary;
 Bo tak powstałi z miejsca godowniki,
 I tak zabrzmiały wiwatne okrzyki,
 Aż echem wieków dzwoni zamek stary.
 Ucichło trochę; teraz, naprzemiany,
 Z wesolym śpiewem słyhać teorbany.

20.

I nad Dnieprowych sinym wód rozlewem
 Igrają wiatry ze dźwiękiem i śpiewem.
 W kolejne czarki napój się rozléwa;
 Snują się kołem rozpląsane grona,

Aż ziemia, z głębi, ciężko przyhukiwa,
 Jak zadyszana poważna matrona.
 Ataman spieszy, burką obwinieły,
 Jak cień obloku gnany od wietrzyka;
 Minął już ulic spadzistych zakręty,
 Teraz, przez tłumy, brzegiem się przemyka.
 Ni go bandurki, co brzęczą do skoku,
 Ani miłośne dumy zatrzymają;
 Z wiatrem u uszu, z ponurością w oku,
 Między ciekawą przemyka się zgrają.

21.

Czy-to cień jego po rzece żegluję?
 Że, mimo częstych, wikłanych obrotów,
 Tak nieodstępnie kozaka pilnuje,
 Jakby co chwila u brzegu być gotów.
 To pianę wirów gwałtowniej roztrąca,
 To igra wolniej w odbiciu miesiąca,
 To znów, spokojnie, na falach się wiesza;
 Wprawy bok, w lewy, w przód, w tył drogę miesza:
 A pierś się jego nie ozwie piosenką;
 Z cicha brzmi wiosło i pluska czolenko.
 Z pomiędzy nurtów, co miesiącem świecą,
 Tak się w nierównym polocie wydaje,
 Jak cień jastrzębia, gdy nad okolicą
 Krąży, za łupem, przez podniebne kraje

22.

Kozak w pochodzie razem się zatrzyma;
 Nadstawi ucho i strzeli oczyma;
 Za nim-to, za nim, złowrogie klaskanie!
 Więc razem w miejscu wstrzyma się i stanie.
 I rzecze z cicha: »Ha! szatańskie plemie,
 Raz ty ostatni straszysz żywą ziemię!
 Próżno przekłęci piekłem ciebie zbroją,
 Skoro do skroni przyłożę pięść moją;
 Chociażby wszyscy grozili wleźć we mnie,
 Już ja się ciebie nie dotknę daremnie!
 Zaraz tu razem i z tobą ulecą;
 Tylko chodź bliżej, tylko bliżej nieco!«
 Otóż i marsem błysk oczu przymracza,
 Szyderskim śmiechem słodzi twarz surową;
 A tu, tymczasem, burkę precz odtacza,
 I odwiedzioną trzyma pięść gotową.

23.

Wesele Kseni musi być niemałe,
 Że, obleciawszy w okrąg miasto całe,
 Znajduje wreszcie co tak długo szuka;
 Wesele Kseni musi być niemałe,
 Bo raźniej skacze, bo donośniej huką;
 I klami piekła dlonie larwy klaszczą,
 I oczy larwy skrzą się piekła paszczą.

Jakże być wielkie musi jęj wesele,
 Że bardziej zbliża krok i tak już bliski;
 Wszakże mu ona gotuje uściski;
 Widać w jęj ruchach, widać to w jęj oku.
 Kozak na wszystko odważa się śmieie;
 Nie zmruży powiek, nie cofnie się w kroku.
 Już, opętana, w konwulsyjnym rzucie,
 Ma w jego ustach złożyć ust swych czucie;
 Już chwytą szyję dłońmi wywiędlemi;
 Już . . . , i, omdlała, leży już na ziemi
 Tylko, pod pięścią, skronie zachrupały,
 A na oblicze zdroje krwi buchały.
 »Hop-hop, szatanie! Bierz teraz co twoje!«
 Mruknął ataman, i szedł w drogę swoją.

24.

»Tam, tam! gdzie widać ognie pod tą puszczą.
 Do niej się kieruj; zawsze, zawsze do niej!
 Tylko niech prędkiej twoje wiosło goni,
 Tylko niech ciszej wody przy nas pluszczą.
 Przeprawa trudna, a drogi czas krótki.
 Ciszej, a prędkiej!« Tak kozak ostrzega
 Kiedy u brzegu wstępował do łódki,
 Kiedy pośpiesznie odbijał od brzegu.
 Woda Dnieprowa poważnie się toczy,
 Częstym całunkiem o pierś łódki pluska;
 Na niespokojnej, na drżącej przezroczy,
 Łamie się księżyc jak ognista łuska.

Za lotnym dębem drobne wiry gonią;
 Nadbrzeżne echa dźwiękiem wiosła dzwonią,
 Jakby na zbiegłych żeglarzy wołały.
 Szybko, za nimi, cofa się brzeg cały:
 Głuszej ich wrzawa dolata Kaniowa;
 Częściej po jarach światelko się chowa.
 Już i szum puszczycy zawiął im donośnie.
 Cóż to, za nimi, coraz bardziej rośnie,
 Im bardziej, z brzegiem, umykają góry?
 Zamek-to rośnie; zna go wzrok ponury,
 Co jeszcze z łódki popatrzył ku niemu.

25.

O, jak wspaniale, za nocy zasłona,
 Jak rześnym światłem okna jego płoną!
 „Niech sobie płoną, niech i rześniej płoną!
 Jak mnie dziś, jutro przyjdzie ciemno jemu!
 Jutro, pojutrze zaświta inaczej!
 Biedny kto mojej zapragnął rozpaczy!“
 Aż mu się piekłem krew zajęła cała,
 Aż mu się czapka od włosów podniosła,
 Od jego dreszczu aż się łódź zachwiała,
 Aż się obejrzał rybak co u wiosła, —
 Kiedy te myśli, jak piekła zarzewie,
 Przeszły piorunem przez Nebaby głowę,
 A to gdy światła obaczył zamkowe,
 Już gniew ostyga w kipiącym przelewie;
 Ale, jak piekiel mieszkańca zjawienie,

Choć zniknie, długo powietrze zaraża;
 Tak, choć przelotne, gniewu uniesienie
 Gorzkim jątzeniem długo myśl rozraża.
 „Lepiejby było, moja pani miła,
 Sto razy lepiej, jakem ci kochankiem!
 Abyś, lat tysiąc, czerepianym¹⁴⁾ dzbankiem,
 Tę wodę z rzeki dla siebie nosiła;
 Lepiejby było, dla twej jasnej doli,
 W grubej siermiędze, z nieochajnym chłopem,
 O głodzie, chłodzie, pracując w niewoli.
 Krwią się rozplýwać nad nieswoim snopem, —
 A potem płakać, pod skopconym daszkiem,
 Rano i wieczór, że twe białe ciało,
 Od mrozu, skwaru, do krwi popadało:
 Niż, będąc tobą, pobracić się z Laszkiem,
 Niż przespać jedną noc pod adamaszkiem!“

Plusnęły o brzeg rozpędzone wały,
 Daleko na przód chyża wbiegła łódka;
 Prędko kozaka dumy się przerwały,
 Prędko mu przeszła rozkosz zemsty krótka.
 Szkoda! bo wiele niosły mu ulżenia:
 Jęk, rozwaliny, trupy, krew, pożary.
 Są-to własności jak zemsty tak chwały,
 Że najgubniejsze, najdziksze marzenia
 W enoty i szczęścia powaby ustrojają:
 Tak, gdy chcą uwieść, kuszące nas mary
 Światłem aniołów barwią szpetność swoją.

Część druga.

I.

Spał świat głęboko, nocą otulony.
 Obchodząc wartą ciemne czleka gniazdo,
 W milczącej części, szła gwiazda za gwiazdą;
 Niebo przez chmurne patrzyło zasłony:
 Ucichły hasła, łańcuchy drzymały;
 Jak martwe widmo, milczał zamek biały.
 I młoda para, w małżeńskiej komnacie,
 Na łożu pyszném, na snu majestacie,
 Spoczęła mile wśród puchów zatopu
 Osłoniętego w drogie adamaszki,
 Co fałdowane, wśród wiatru igraszki,
 Spływały na dół ze złotego stropu.
 Ucichło wszystko pod zamku sklepieniem;
 Chyba sen tęskny ozwie się westchnieniem,
 I wiatr, wysłany od nocy szyldwachem,
 Smutném jęć hasłem zawyje pod gmachem.
 A potem w okrag milczenie nanowo;
 Tylko łagodnie brzęk miły i głuchy,

Jakim powietrzne igrające duchy
 Noc ozywiają, gra w ciszę zamkową.

2.

Któż-to zatętniał, stuknieniem-to czyje
 Dało się słyszeć za drzwiami komnaty?
 Nie pierś-to lubej żądném sercem bije,
 Lecz goniec puka od granicznej czaty.
 Dyszy pośpiechem, lica trwogą blade.
 »Wstań, panie rządcu! ciepłe porzuć łoże,
 Złe ci nowiny w tej chwili przywożę;
 Wstań, i posłuchaj, i weź jaką radę.
 Oto nadbrzeżne słyszały dziś strażę,
 Jak się po Dnieprze pluskały nie kaczki,
 Jak coś nie ptakiem tłukło się w czaharze¹⁵⁾;
 Wyraźnie obóz przeprowiał się Szwaczki¹⁶⁾,
 Co aż dotychczas cicho stał za wodą.
 Niechże się kokosz wywija przed szkodą,
 Kiedy ją oczy jastrzębia obwiodą.
 Zamek choć mocny, lecz osada mała,
 Aby przed silnym szturmem się ostała,
 Zwłaszcza gdy razem przyjdzie bronić miasta;
 Chociaż i w mieście złego coś wyrasta,
 Bo już gotują i kosy i noże;
 A nawet w zamku kto wie co być może?
 Zaradzić złemu jak się tylko zjawia,
 Leć do starosty¹⁷⁾: on wśród Bohusławia,

Poi gromady, rozstrzeliwa baby;
 Niechaj tu przyśle posilek choć słaby.
 Leć nim rozświta, nim się zamek dowie;
 A my tu będziemy na wszystko gotowi. «

3.

Nie mylne wieści, nie fałszywe trwogi:
 Szwaczki-to obóz, nie w dobrym zamiarze,
 Pluskał po Dnieprze, tłukł się po czaharze.
 Gdzie w ciasnym łożu skręconej odnogi,
 Wrzący nurt Rosi i błyska i pluszcze,
 A wiatr pobrzeżną oszczekiwa puszcze,
 A w niej gwar dziki klekoce ponuro,
 A mgła kłębata, co ciemniejsze górą
 Nad jej sklepieniem, w krąg się już rozwlekła,
 Jakby tam anioł śmierci i zagłady
 Warzył, dla ziemi, nad płomieniem piekła,
 Wszystkie domowych zaburzeń szkarady,
 Niedarmo czujne pałają ogniska,
 I jacyś zbrojni leżą u płomieni,
 Gdy wieńce borów zrywa wiatr jesieni,
 A szron sędziwy na darniach polyska.
 Choć leżąc oni zdają się spokojnie,
 Ach, krwi-to dzieci, i myślą o wojnie!
 Noże u pasów, ich czoła w kółpakach;
 Dłonie na nożach, choć oczy uśnięte;
 Do pik utkwionych rumaki przypięte,
 A, dniem i nocą, siodła na rumakach.

4.

A jeden kozak, na ustawnej straży,
 Niezgasły ogień, czasami, rozżarzy,
 I na swą pikę wspiera się bezwładnie.
 Słucha i patrzy. Nic, w tym puszczy mroku,
 Nie ujdzie jego ni ucha, ni wzroku:
 Niech strzępek szronu na uschły liść padnie,
 Niechaj ptak kłaśnie gałęzią zdaleka,
 Niech pies w dalekim futrze¹⁸⁾ zaszczeka, —
 Już on to schwycił w gwarnym borów szumie,
 I, pochwycone, wnet rozróżnić umie.
 I znowu oko zwrócił do ogniska,
 I znowu piką poprawił płomienia:
 Kłębią się dymy, czerwony żar pryska,
 Rośnie wał ognia, noc się zarumienia.
 Pośród bijącej krwawej łuna fali,
 Jak mgliste duchy, cienie drzew się kładą.
 Dalej, noc czarna; tylko, w ciemnej dali,
 Jakby zakletą rozsiany gromada,
 Bezwładny obóz groźnym snem usypia:
 Tam się błysk stosu ostrza piki czepia;
 Tu pół-dobyty nóż, czasem zabłyska, —
 Jak rozdrażnionej gadziny oczyska.
 Gdzieniegdzie znowu z pod burki kosmatéj,
 Sen niespokojny wychylił pół twarzy,
 I przez sen widać co każda z nich marzy,
 To z brwiów marszczonych, to z wargi wąsatéj:

Na tój śmiech dziki, klnące słowa na tój.
 A tam, przyjaciel i wierny, choć panu,
 Koń, ułożony tuż pod pana bokiem,
 Strzeli niekiedy przebudzoném okiem,
 Niby kochanie śród świata tumanu.
 W samój cichości, obraz niespokojny
 Nadzieją mordów kołysanej wojny.

5.

Tam, gdzie dąb grubszy i stos pełnięj plonie,
 Dwóch tam usiadło; a przy nich dwa konie.
 Po tym wytwornym atamańskim stroju,
 Co, drogiem złotem, czasami, odbłyska
 Nagłe, nierówne spojrzenie ogniska,
 Po tój postaci złożonej do boju;
 Po wasie, w czarne puszczonej pokrety;
 Po dumie czoła, po oblicza krasie; —
 Mściwy Nebaba zaraz poznać da się.
 W milczeniu siedział, burką wpół-opięty;
 Spokojnie trzymał lewicę za pasem,
 I głównię noża pogłaskiwał czasem.
 »Nożu mój, nożu! błyskasz do mnie próżno,
 I próżno, widzę, naostrzyłem ciebie;
 Inni swój snopek w naszym polu uzną,
 Nim pośpieszymy z tobą ku potrzebie:
 I wprzód rdza ciebie, wprzód ja siebie strawię,
 Niżeli, w męskiej z niewiarą przeprawie,

Ducha radością, ciebie krwią oplawię!
 Tak mówił kozak, potrząsając głową
 I z nocnej rosy otarł noża ostrze;
 Ale wejrzenie nagłe, od słów prostsze,
 Wydaje komu przyciał tą przemową.

6.

Naprzeciw niego, jak oblask poczwarny
 W chropawém lustrze, siedział kozak drugi:
 Na pierś obrosłą zwieszał się wąs długi.
 Całe pół twarzy ściągał mu szram czarny;
 A chociaż czoło starością bielalo,
 Młody rumieniec zalewał twarz całą;
 A choć ogniste, ledwo iskrzy oko, —
 W zatylęj twarzy tak siedzi głęboko.
 To Szwaczka. Pierwszy śród mieszczan Kaniowa:
 Choć często, w ustach, kręci mu się głowa,
 I ciałem ciężki, i wiek długi liczy,
 Ale ma piętno rozbojów na Siczę,
 Ale od Lachów, z dumy, obrzydzony,
 I dumy Lachów zwie się wrogiem śmieie;
 Więc chętnie stanął na powstańców czele,
 I atamanem chętnie okrzykniony.
 Zdaje się jednak, że (czy brak zapalu,
 Czy że kielichem zbyt nie się rozgrzewa)
 Więcej, niżeli przystoi, spoczywa;
 A tu kozactwo zraża się pomału;

Częściej i głośniej słyhać między łokiem:
 »Czemu nie idzie w zamek co pod bokiem?
 Czemu, gdy świeżo z Żelźniakiem Gonta
 Zawieść hulankę uśpieli tak rąco, —
 On tylko, gnuśny, myślą się zaprzęta,
 Złączyć się z nimi? Czemuż się nie łączą?«
 I nic nie wiedzieć; korzyść badań zwykła:
 Bo, przez natrętne naglony pytanie,
 Jak zaczniesz szukać mowy w pełnym dzbaniu,
 Uśnie wprzód z tajnią nim język wywikła.

7.

Nie wiele tknął się Nebaby załobą,
 Bo już nadpity dzbanek miał przed sobą:
 Jak nieswojami popatrzył oczami,
 Poważnym śmiechem kilka razy chrząknął;
 Uderzył w ogień, — gdy prysło iskrami,
 Wpół-dosłyszonym językiem przebaknął:
 »Widzisz te iskry, słuchaj, atamanie!
 Kto chce szczęśliwym zostać przez kochanie,
 Kto zrobić stałem chce serce kobiece,
 Niechaj się lepiej zakopie w tej dziczy,
 I liczy iskry, te wszystkie niech liczy!
 Zapomnij z bięsem o twojej Orlice!«
 »Już ja się pewno toi¹⁹⁾ nie napiję,
 Aby mi serce wyzdrowiało chore;
 Ani mi rady potrzebne tu czyje!«

I szrydnym gniewem wzrok Nebaby gore.
 »Czy jest na świecie Orlika, czy niema,
 Co nam do tego: dla nas bliska zima;
 My puszczać tułacze, Polacy przed nami:
 Patrzaj na burki, patrz koniom na grzywę, —
 Jak twoja głowa, wszystko szronem siwe!
 Słuchaj, kozacy jak siekają zębami!
 Bo, biedni, nawet nie mają i tego
 Czém ich ataman tak często się grzeje;
 I głód ich strawi, i wicher zawieje,
 I jak po swoich Polacy tu zbiegają.
 I sami, z głodu, poczekawszy troche,
 Wleczą w sidelka, jak ptaszyny płoche!
 Niż grzać się w zamku, czyż to będzie lepsze,
 Płynąć, bez chęci, po pod łodem w Dnieprze?
 Albo z gałęzi poglądać w obłoki,
 I z każdym wiatrem straszyć w gniazdach sroki?«
 A Szwaczka, ognia poprawiwszy piką,
 Ode dna flaszki bełknął głuchym łykiem,
 I nieposłusznym zaczął coś językiem.
 Oko Nebaby zasepione dziko.
 Kiedy się serce zachmurzy urazą,
 Wzrok wtedy błyskiem, piorunem żelazo!
 I biada chmurze co chce być przeszkodą!
 Popruta, zbita, rozplynie się wodą.
 A ogień gniewu przejął go aż w szpiku!
 Szwaczka przemówić nanowo się musiał,
 Lecz znowu słowa zaplatał w języku;

Tylko poważnym śmiechem się zakrzusił.
 Tu oczy zwolna w powiekach zagasły,
 Na obie strony powoli się skłania;
 Aż razem tułów przewalił opasły:
 Że jeszcze żyje znać z jego chrapania.
 Długo Nebaba, po cielsku szerokim,
 Spojrzeniem wzgardy błędne koła pisał;
 Długo szum boru myśl jego kołysał;
 Nim, w walce uczuć, ozwał się wyrokiem:
 »Trzech djabłów synu, przebrzydły opilcze!
 I tobież dzielną przewodzić młodzieżą?
 Chyba mię sami szatani ubieją,
 Że cię tu zęby nie skosztują wilcze,
 I w bramy zamku twe pięści uderzą!«
 A jakby żądło piekła go ubodło,
 Porwał się nagle i skoczył na siodło.

8.

Nie drzymie szyldwach, płomienie ocuca:
 A wiatr jesienny gałęzie mu zrzuca, —
 I znów, jak usnął, wśród drzewa umilka;
 Gdzieś tam daleko śpiewa kur przed świtem,
 Dalej i głuszej słyhać wycie wilka;
 Bliżej Roś pluska, kręcącym korytem, —
 Niby sen cichy tej strony kołysze.
 Co za świst przykry budzi lasów ciszę?
 Jak dziki wicher ocucony w borze,

Takim zakipiał cały obóz gwarem;
 Jako gdy wicher zaiskrzy pożarem,
 Tak zaiskrzyły w krąg piki i noże;
 Kiedy, na nagle pogwizdzenie trwogi,
 Spłoszony obóz porwał się na nogi.
 Jeszcze gwizdzenie: w oka mgnieniu po niem,
 Wszystkie kopyta z miejsca zatętniały,
 I ciasnym kołem stanął obóz cały,
 Gdzie widmo jezdca mgli się karym koniem.

9.

»Co to, Nebabo?« Zaraz go poznali:
 Bo któżby z koniem wydał się wspaniałej!
 »Co to za trwoga?« z obawą spytali.
 — »Chcę was pożegnać, bo już ruszam dalej.
 Niechże to dla was nie będzie niemilem,
 Że trwogi niema, a ja ją wzbudziłem.
 Lecz, jeśli macie i serce i głowę,
 To nie będziecie na mą głusi mowę.«
 Tu go młodź w węższe otoczyła koło;
 Bo się patrzała, i słuchała rada,
 Jak męstwem dumne rozpromienia czoło;
 Jak w szczerzej mowie śmiałym sercem gada.
 »Nie myślę długo przed wami ja prawić,
 Co mię przymusza was, bracia, zostawić.«
 Zaczął Nebaba. Wyrosły wśród czerni,
 Zna jej umysły i wzruszać je umie;

I tak przystało mówić jego dumie:
 »Atamanowi swemu bądźcie wierni;
 Przy nim, tak dobrze można tutaj drzymać!
 A ja nie mogę dłużej z wami trzymać,
 I ziewać z wami: ja jeszcze skłuc mogę
 Choć kilku Lachów, choć dwór jeden złupić;
 Wtedy mi będzie przyjemniej się upić!
 To was i żegnam, i ruszam w swą drogę.«
 Ostra przymówka dopięła zamiaru.
 Mruk dobrej wróżby, podobny do gwaru
 Pierwszego lodu gdy go łamią fale,
 Obiegać począł zawstydzoną zgraję.
 Nebaba ciągnąć mowy nie przestaje:
 »Odstąpić Szwaczki ja nie radzę weale.
 Gdy tak wygodnie przy tym atamanie,
 Któż ze mną pójdzie, a z nim nie zostanie?
 Sam więc pośpieszę, gdzie mię niosą oczy,
 Żwawszych do dzieła znaleźć towarzyszy;
 Jednak co powiem, niech z was każdy słyszy,
 I gdy mu zda się, niech naprzód wyskoczy.
 Komu różgami ojciec zasieczony,
 Czyja się panu podobała żona,
 Komu najmiłsza córka pogwałcona,
 Kogo zbawiono lubiej narzeczonej;
 Na ojca boleść, na smutek matczyny,
 Na hańbę dzieci, na łaskę dziewczyny, —
 Tego zaklinam, wołam po imieniu,
 Niechaj wyjedzie i stanie tu przy mnie!«

I tłum orężny mieszać się poczyną,
 Jak zakłócona dmuchem wiatru trzcina.
 »Kto w pańskim za to umierał więzieniu,
 Że jak pies podły o głodzie i zimnie
 Dla usług jego przemarnował lata;
 Kogo najdroższa boli przeto strata,
 Kto chce odemścić te krzywdy, te zbrodnie
 I tylko sobie odtąd żyć swobodnie;
 Zaklinam tego, na zemstę, swobodę,
 Niech idzie zaraz gdzie ja go powiodę!«
 Tłum wre nieładem, gwar nieładu rośnie:
 Postrzegł Nebaba, jak wybór ochoczy
 W gęstszych szeregach dokola się tłoczy;
 A więc z tryumfem zawołał donośnie:
 »Teraz, kto tylko molojca ma duszę;
 Kto się chce ogrzać przy zamku pożarze,
 Kto chce oplukać pikę w polskiej jusze,
 Kto chce zaśpiewać przy pańskim puharze, —
 Idźcie do zamku! ja drogę pokażę!«
 A oko jego, jakby bitwy hasło,
 Nagle w każdego zabłyszczało oku:
 »Wszyscy my, wszyscy, do Nebaby boku!«
 Wrzące kozactwo dzikim tonem wrzało.
 Podobny odgłos wędrowca krew ziębi,
 Gdy go wileczyca zwietrzywszy, w puszczy głębi,
 Przeciagle wyciem ozwie się ponurem,
 A za nią głodni, zalotnicy, chórem.
 I razem głębie zastękały ziemi

Pod rumakami ciężko tętniącemi:
I długo, długo wrzało nieprzerwanie,
A coraz ciszej, i koni chrapanie,
I chrzęst oręża, i stękanie ziemi;
A ognie straży konały za nimi;
A echa puszczy wołały za nimi,
Kiedy huknęły piosenkę pochodu
Nowemu wódcy co harcował z przodu.

10.

Pośród puszczy gęstwy, pośród jarów cieśni,
Mściwy Nebaba swoje szyki wiedzie.
Jak czuł koń jego że na wszystkich przedzie!
Jak w piersiach jezdca rozigrane serce
Dzikiej wojennej wtórowało pieśni!
Kiedy myślami w przyszłość uniesiony,
Pozary w każdej dostrzegał iskierce,
Co błyska za nim, skoro lustro stali
Od miesięcznego oka się zapali;
Kiedy zwycięskie odgadywał tony
W dzikich odgłosach wojennego pienia!
»Stójcie!« Od wschodu dzień się zapłomienia.
Księżyc rumiany, niby się krwią zbroczył,
W posępne chmury, jak do śmierci łoża,
Na cichych ranku wiatrach się zatoczył,
I jak złą wieszczby wyszła drżąca zorza.
»Stójcie! słów kilka.« Tu, zemsty drużyna,

Wkrąg atamana zawinęła kołem,
Gdzie się okrągli bezdrzewna równina,
Śród ramion boru i przed boru czołem.
»Bacność! Coś. wichrem, zaszumiało w lesie.
Jeden-to z naszych gęstwą się przeryna.«
Pilnował skrzydła. Jakież wieści niesie?
Jego pierś robi, jego biegun w pianie.
Między drzew szumem słyszał otrąbianie.
Czyżby Polacy tak blisko być mieli?
»Wytrwałość, dzieci! Bądźcie tylko śmieli,
Naszem to będzie co mamy przed nami!
Pod samem miastem, ten bajrak²⁰⁾, czy wiecie,
Co się rozrasta pomiędzy jarami?...
Tam do godziny zmierzchu doleżycie.
Ja później będę, skoro do wieczery
Wezwie nas gwiazda co w zamku na wieży!
No! w imię trójcy! ruszaj gdzie kto może!«
Jak w tuman iskier rozdęte płomienie,
Jak śpiących nagle przerwane widzenie, —
Tak razem zgaśli zwinni jezdcy w borze:
Tu się w promieni tysiąc rozskoczyli,
Tu, między pniami, jeszcze majaczyli,
A tu i śladu po żadnym już niema;
Niby zaklętych pochłonęły drzewa
Przed śmiertelnego słabemi oczyma:
Pusto, — sam tylko duch boru powiewa.
A za nim nagie klaskają konary,
Pod niemi rumak majaczeje kary,

A na nim jeździec pręży pilne ucho,
 Z téj strony trąbka zdaje się grać głucho;
 Lecz głuchszy jeszcze słycać dźwięk z téj strony,
 Ranne go wiatry krętym jarem²¹⁾ wloką.
 Jeździec posłuchał, pomyślał głęboko:
 Jak mu nie poznać! To Kaniowskie dzwony
 Szczęśliwą wieszczbą do niego mówiły.
 Razem się pomknął w sklepienia milczące;
 Wnet drzew sklepienia czczością się zaćmiły;
 Jeszcze, przez chwilę, echa w czczości były:
 Lecz go już teraz nie znajdzie i słońce.

II.

Ponuro echa okoliczne trąca
 Zamkowa trąba, wieczór witająca,
 Gromadząc zbrojnych na modły wieczorne.
 Wielkiem kościoła natury sklepieniem,
 Już, już, gdzieniegdzie, lampy wieków płoną.
 Odkryto głowy, bronie opuszczono,
 Utkwiono w ziemię spojrzenia pokorne,
 Słów uroczystych słuchano z milczeniem.
 »Amen!« I »amen« powtórzono z skruczą.
 Echa zamkowe ozwały się głucho:
 »Amen.« Ich »amen« tak smutny, niemiły,
 Jakby go po raz ostatni odbiły.
 Zagrzmiął ryk działa, i skończył się wśród boru.
 Na wieży ogień zajął się strażniczy.
 Milczący szyldwach ciche kroki liczy.

Po oknach błysły światełka wieczoru.
 Mile zamkowa służebna drużyna
 Wieczór, niestety, ostatni! zaczyna.
 Jak błysk jej światła, ciche jej wesele.
 Kiedy zasiądzie każda przy swém dziele.
 O! co za rozkosz obejrzyć te grona,
 Gdy, za prababek, bawiły się pracą:
 Tu, gazy blaskiem złota się bogacą,
 Jak biała zima, mrozem uiskrzona;
 Tam, czarodziejka, u krosien schylona,
 Tchu nie da słyszeć, nie zwróci spojrzenia, —
 I trzeba wierzyć, widząc jej oblicze,
 Że blask tych oczu, to tchnienie dziewicze,
 Cudowną władzą, kwiat wiosny rozplenia.
 W téj białych rękach, drót jasny i gładki,
 Wydaje, w mgnieniu, różnowzore siatki, —
 Niby od wiatrów i z wiatrów tworzone,
 Tak są przejrzyste i lekkie jak one.
 A tutaj okrąg głośniejszej roboty:
 Tutaj burzliwe furczą kołowroty,
 Tutaj wrzecziono ze lnami miękkimi,
 Brzmieje nieznacznie, i gwizdże po ziemi.
 A pienie, w prostéj, melodyjnej nucie,
 Lube jak pierwsze miłości uczucie,
 Ciche jak łono co nie zna kochania,
 Tęskne jak pamięć rodzinnej zagrody,
 Pełne z tém miejscem, z tą godziną, zgody,
 Sferą harmonii urok ich osłania.

12.

Czy nie po panu zatęskniła pani?
 Że między niemi, a nie kwitnie na niej
 Ta, co na wszystkich kwitnie w pełni, radość:
 Słabość jej w oku, w jej obliczu bladość.
 Jak chmur odbicie z mokrego dna stoku,
 Wyziera dusza z poza łez w jej oku.
 Cerę co zgasła, wargę co pobladła,
 Z milczącą skargą, mgła serca osiadła.
 Czy się kto kiedy przypatrzył gangrénie?
 Jak, utajona tłąc w serca głębinie,
 Na trupiém cieie wyjdzie małą plamą, —
 Jak coraz szérzój, coraz ciemniej mgleje,
 Aż stosu śmierci dymem twarz odzieje;
 Z młodej rządczyni smutkami toż samo:
 Przez nieme wargi, przez ciemne spojrzenia,
 W mgłach coraz grubszych widać jak się wloką;
 A choć pierś westchnień, a łez pełne oko,
 Jakby walczyły z niemi pierś i oko,
 To łez nie puszcza, to więzi westchnienia.
 Ach! pierwsza rozkosz tak bardzo nie zmienia;
 Nie gasi jagód, nie mrozi spojrzenia,
 Żalobą duszy czoła nie ubiera,
 Ciężkiem westchnieniem piersi nie zapiera;
 Ach! pierwsza rozkosz, w lubego objęciu,
 Kiedy kochana i kocha, dziewczęciu

Daje czuć duszę życia anielskiego.
 Lecz kiedy słabą żądze gwałtu zbiegą, —
 I co drugiemu sobie wypieszczono,
 W zmierzlėj lubości, obca rozkosz skradnie;
 Piekło natenczas wciska się tam zdradnie,
 I śmierć zapładnia oblubieńcze łono.
 Może, uważną pracą zaprzątnięta,
 Zapomni smutku: usiadła za krośna;
 Może miłośna, może pieśń załośna,
 Posępną dumą utuli natręta, —
 Jak się utula pieszczoszek wrzaskliwy:
 Dobre dziewczęta rozpoczęły śpiewy.
 Już na źrenicy łezka zabyśnęła:
 Zbiera się, zbiera, toczy, i stanęła; —
 Jakby z pogodą igrać jej niemilo,
 Jakby ją zimno smutku zamroziło.
 Już dłużej swego ciężaru nie wstrzyma:
 Powstała z miejsca; lecz tak martwa cała,
 I znów stanęła z takimi oczyma,
 Jakby się, w izbie, oblędu lękała.
 Wlecze, mdlejąca, zwolna, krok rozchwiany,
 I obeym rzutem ciska się do ściany.
 U okna przecie. Nadstawiła ucha:
 Niby jej wietrzyk, co przez szyby dmucha,
 Niósł od przyjaźni słowa pociech mile;
 Powoli, widać w poruszeniach siłę,
 Promyk nadziei w spojrzenia światelku,
 Tęcza radości mgliła się z jej czoła.

Źle z nagłą zmianą! Pojrzała dokoła,
A wszystko przed nią w rozpaczy i zgiełku.

13.

Już po Kaniowie straszna wieść latała:
Jak się wzburzyła Ukraina cała;
Jak zdradą Gonty dobyto Humania, —
Ile tam mordów, ile krwi rozlania,
Jak samo Lachów zda się ścigać piekło,
A nigdzie schrony przed czernią zacieklą.
Skoro, wieczorem, powstały tumany
Od nasepionej strony Zaporozia,
I mglistą bielą osłonią zorza,
Z różgą komety, jak lampa złój doli,
Gasnąc w obłokach zaczęła powoli;
Zdwoił się w mieście przestrach niesłychany:
Głuszej się zdały bełtać Dniepru szumy,
Jęcząc okropniej wichry Ukrainy,
I groźniej ciemnieć sklepienia dębiny.
Jak po ementarzu nieme duchów tłummy,
Snują się milczkiem, po ulicach miasta
Tłummy mieszkańców trwogą omroczone;
A wieszczba klęski w którą pojrzysz stronę!
Tam dziecię pyta: z kąd ten tuman wzrasta,
I w takie kształty miesza się olbrzymie,
Jak Lucyfera wojsko w piekła dymie?
Cytnęła matka; wyrzóżyć się lęka.

Dwóch się przyjaciół zbiegła oto ręka, —
I zimno śmierci ich uściski ziębi;
Dwojga kochanków spotkało się oko, —
I męty śmierci widać w spojrzeń głębi,
I jęki śmierci z westchnieniem się wloką.
A topielicy skrwawione widziadło,
W skrwawionej szacie, ze skronią rozpadłą,
Ciągłe Kaniowa przelatuje bruki,
W dziwniejszych ruchach, z dziwniejszemi huki:
Jak co się wyrwał z łona ziemi matki,
Nieprzetoczone unosząc ostatki;
Bo, jak nad trupem, krążą nad nią kruki.

14.

Z rękami w niebo, płakał lud skruszony,
Śród poświęconych sklepień Wszechmocnego:
Ściany świątyni wtórzyły płacz jego.
Księża śpiewali pokutnemi tony.
Kaniowskich dzwonnicy jęczały wciąż dzwony.
W każdym ołtarzu światła wciąż pały.
Nieocenione słano zewsząd wota,
Z drogich kamieni, ze szczerzego złota.
Wielkie ofiary, bo i strach niemały!
Płakali wierni, płakali niewierni.
Wprzód niżeli noc barwy poczerni,
Dzieci Solimy, przed arką bożnicy,
Bez płci różnicy, bez wieku różnicy,

Upadli na twarz, w pogrzebowej bieli,
 Jakby od gniewu bożego oślnęli.
 I, w pyłe ziemi czoła ponurzywszy,
 Podnieśli głucho lament, założywszy
 Nizli go słyszał świata wiek daleki.
 Na obcych brzegach babilońskiej rzeki.
 I Izy Dawida z ich się ócz połaly.
 Szczére-to płacze, bo i strach niemały! . . .
 Syny mej ziemi, o rodacy mili!
 Wy szczérój wiary nie dacie pocie,
 I sami pojrzyć na przyszłość niechcecie, . . .
 Wasi dziadowie widzieli te gody!
 Dwory ich były smutnemi świadkami,
 Ach, zapomnianej zbyt prędko igraszki!
 Kiedy ze stałą, jak z zemsty wachlami,
 Krew żywój piersi lano w trupie czaszki,
 I każdą leżkę na pana wylaną
 Jój dymięciami kroplami spłacano!

15.

Długo, zbyt długo, myślom zostawiona,
 Stała u okna młoda rządcy żona.
 Czy nie zły wichur szeptał ci, Orliko?
 Masz w oczach radość, ale radość dziką.
 Ciężkieś westchnienie na łono stoczyła:
 Jakby w obawie aby skrytość cała,
 Którąś w milczeniu tak długim warzyła,
 Wcześniej przestraszyć świata nie zechciała.

„Ho-ha!“ Bicz klasnął, brząknęły łańcuchy,
 Opadły mosty, bruk zagrzmiał, bicz klaska,
 Rośnie po zamku, zbliża się grzmot głucho:
 „Ho-ha!“ bicz klasnął, stanęła kolaska.
 Raduj się, zamku! rządcą wesół wrócił;
 Widać że drogę prędką jazdą krócił,
 Bo z wszystkich koni tak się opar dymi.
 Ale z wieściami powrócił dobrzemi.
 Skoro pomówił z Kaniowskim starostą,
 Wnet wyprawiono dwa oddziały naraz:
 Jeden z nich Szwaczkę miał otoczyć zaraz,
 A drugi ciągnie do Kaniowa prosto.
 Pan wojewoda²²⁾ z Gontą kończy dzieło;
 Wkoło szubienic stawia tysiącami:
 Opatrzne oko zeszło już nad nami,
 By kres bezbożnej swawoli wytknęło!
 Jemu więc, do snu, ufnie zdajcie życie,
 I w łoża wasze wstępujcie spokojnie:
 Bo w świetle szczęścia oczy otworzycie;
 Zaśniecie z wojną, wstaniecie po wojnie!
 Otóż i nowy goniec pędem zmierza.
 Coraz pomyślniej. Przybiega z oddziału
 Co krążył Szwaczkę u Rosi nadbrzeża:
 Bez hasła bitwy, bez jednego strzału,
 Znikł on z obozem, — jakby wpadł do ziemi;
 I tak bez śladu, że nasi zdumiali,
 Już nie wiedzieli gdzie go szukać dalej.
 Aż go odkryto między lasy temi.

I wkrótce przyjdzie do rozprawy z nimi.
Lecz męstwu naszych można ufać śmieie,
Że to spotkanie kres położy wojnie.
Więc dzwony, działa niech głośzą wesele!
A zamek z miastem zasypia spokojnie.

16.

Już, w głuchej nocy opóźnioną porę,
Przycmiona lampa słabo się rozżarza;
Tak, po miesiącu, okna różnowzore
Błyszczą w kaplicy pośrodku cmentarza.
Łoże małżeńskie, zapłonione blade
Światłem co mdało, buchało, znów mdało,
Tak się, w półcieniach, dziko wydawało,
Jakby to łoże gdzie umarłych kładą.
Po dniowym trudzie małżonek śpi mocno:
Zmrużoném okiem po co żona czuje?
Czy, jak duch dobry, jego snu pilnuje?
Zegar wybija dwunastą północną.
»Czego-to, gdzie-to dzwony uderzyły?«
Porwał się nagle rządcą przebudzony.
»Zdało się tobie; to zegaru dzwony.«
I oczy rządcy znów się snem zakryły.
Ale, poczwara, przecucie złowrogie
Pod snu zasłony złośliwie się wkłada,
I z bezzasadnych cierpień duszy rada,
Niewieścią w mężu ciągle budzi trwogę.
»Czego-to trąby tak nagle zagrały?«

»Ach, Pan Bóg z tobą! świat, jak umarł, cały.
To zabrzączała mucha obudzona.«
I znów, od zmysłów popłoszone zgiełku,
Cichnące czucia wróciły do łona; —
Tak zgrają piskląt, od kani spłoszona,
Tuli się ufnie w matczyném skrzydełku.
Usnął. Rządczyni wciąż mruga powieka:
Jak góra westchnień ciężkie dla niej łono;
I serce rwie się, jakby je męczono;
I pot gwałtownych miotań ją ocieka.
Cóż-to tak przykro podrażnia jęj oczy?
Czegoż pot mdłości z jęj się lica toczy?
Jakaż na pierś jęj mogiła się tłoczy?
Czy-to nie szatan igra z nią w beżeśnie,
By owoc, którym pierś przeklętą płodni,
Wykołysany jęj myślami wczesnie,
Stanął dojrzały na skinienie zbrodni?
Jaśniej i jaśniej błyszcząca żrenica,
Razem, w powiece, pełno się rozświeca,
Podniosła głowę; . . . wyżej, jeszcze wyżej.
Zyzem nasamprzód przeszyla śpiącego:
Potém swe oczy do ócz męża zbliży,
I długo, trwożnie, bada ruchów jego:
Ostrożną ręką, serca w piersi bada,
Na piersi jedna, skryta druga ręka.
Patrzy na oczy, wstaje i usiada.
Znalazła serce, wstaje i ukleka.
Mignęła w rękę błyszczącym żelazem.

Mąż się obudził, i zawołał razem:
 »O jakże sny mię strwożyły niemiło!
 Jakby się w zamku razem zapaliło,
 Taką mniemałem widzieć błyskawicę.
 A twoje czego tak błędzą źrenice?
 Ciebie zmieszało moje pomieszanie.
 Był-to sen tylko. Prawda, sen niemiły;
 Ale te myśli co mię w dzień klóciły,
 Wróciły na noc. Śpij już, śpij kochanie.«
 A więc usnęli. Biada temu, biada!
 Kto, nazbyt ufny w trwożną cnotę ludzi,
 Przy swoim sercu, w swém łożu uklada
 Serce, zatrute śmiertelną obrazą.
 Usnął; a w rękę małżonki żelazo.
 Bóg-że wie kiedy i gdzie się obudzi!

17.

Pono nie we śnie rządcy były dzwony,
 Nie we śnie rządcy trąby grały głośno,
 Nie we śnie rządcy płonęły pożary:
 Trudno jest poznać śród nocy zgęszczonej,
 Ale nad miastem, jakieś dymy rosna,
 I zasłyszane wrą tam jakieś gwary.
 »Czyż zaraz każde ma trwożyć zjawisko?
 Milczenie nocy jest nocy kapłanką,
 Milczenie nocy jest marzeń kochanką,
 W niemém jęj łonie próżnych mar siedlisko.
 Com wziął za oręż, za tętnienie koni,

Ani to konie, ani błysk oręży.«
 Szyldwach zamkowy, gdy oko snem cięży,
 Tak sobie myślał, i usnął na broni.
 Lecz zawsze błyska, lecz zawsze coś dzwoni,
 Niby blask stali, niby tętet koni;
 I coś się wznosi podobne do huku, —
 Tutaj przed zamkiem, a tu już po bruku.
 Razem zagrzmiało, wrzasło, zabręczęczało:
 Zginałeś zamku! Piekło się zaśmiało!
 Bramy rozbite, straż wycięta w chwili;
 A hajdamacy w zamek się wtoczyli.
 I, w téjże chwili, srogość rzezi cała,
 Z blaskiem pożaru, wkoło się rozlała.
 Śród nócnej ciszy, wściekłych wrzasków wrzenie,
 Tętet konnicy, brzęk broni, dział grzmienie,
 Łupanych murów, baszt rąbanych trzaski,
 Krwawe maskary widne z każdej strony,
 Pożogi wiatrem rozdymanej blaski,
 Czarny sklep nieba łunem zakrwawiony,
 Dzwony Kaniowskie jęczące donośnie, —
 Wszystko to razem wszczęło się i rośnie:
 A głos watażki²³⁾ ryczy nieprzerwanie;
 Wszakżeto nie jest Nebaby wołanie.

18.

Tak drogiej chwili piekło mu zazdrości;
 Żart sobie z jego zrobiło wściekłości,

Biesiadę w zamku Szwacze przeznaczyło.

Już wojsko zbiegłe tętniało daleko,
Gdy mu się oko we śnie wytrzeźwiło
I zabłyszczało pod wążką powieką.
Jakże się ciężko, jak wściekle zadumiał.
Gdy się sam ujrzał na tę puszcę całą!
Dziełem to czarów z początku rozumiał:
Żegnał się, żegnał; — nie nie pomagało.
Teraz jak było poznał rzeczywiście:
I wnet pogonią chciał lecieć za nimi;
Ale mu śladu nieda zwiędłe liście.
Więc się drogami puścił pewniejszemi,
Wprost do Kaniowa. Skrycie tam przybyły,
Dla wrzącej czerni był-to gość zbyt miły.
Bez trudu, krwawe uiścił zamysły;
A wiódł rzecz swoją tak skrycie, tak śmieie,
Że skoro zorza północne zabłysły,
Już go ujrzano na powstańców czele:
I bramy zamku pod szturmem rozprysły!
A tak, i na tych co go odstępili,
I na Polakach, mści się w jednej chwili.

19.

„Hej, dzieci! dalej, na pańskie komnaty!“
Ryknęły, miedzią, atamańskie płuca.
A jak grzmot działa gradem śmierci rzuca,
Tak czerń rozjadła rzuciła się tłumem,

Z piskiem wściekłości, z głowni skrzących szumem,
Na drzwi, na dachy, na ściany, na kraty.
A stare echo zawyło z przestachu,
Kiedy po całym rozleli się gmachu,
Drzwiami, oknami, wyłomami dachu.
„A teraz, dzieci, na rządęcy pokoje!
On, widzę, zamknął przed nami drzwi swoje!“
Ale jak siłą poparli drzwi całą,
Runęły, z dźwiękiem przykrego gwizdnienia, —
Jakby je żywcem wyrwano z korzenia.
Czemuż ten kozak, co wprzód skoczył śmiało,
Jak śmiało skoczył, tak się cofnął z trwogą?
Cóż-to ma znaczyć ta w ciele djablica?
Ona nie słyszy, nie widzi nikogo:
Takie spokojne jęć oko i lica.
Przed nią trup leży w rozrzuconém łożu;
W rękę nóż trzyma, krew pieni po nożu;
A na niej całej skrwawiona koszula:
Ona ją bierze, macza w trupa ranę,
I zmie ją niby, i niby wypiera,
Potém martwego pościelą otula,
Wymawia z cicha słowa ucinane,
Zbroczoném płótnem cała się wyciera,
I, wolnym krokiem, idzie do zwierciadła:
Stańca, z lampą w ręce konająca;
Spokojna, — tylko oczy się jęć macą.
Czerń rozjuszona właśnie wtedy wpadła,
Gdy, w tej postaci, stała u zwierciadła.

I konające potępieńca oczy,
 Gdy je śmierć grzeszna pod swe bielmo toczy,
 Już obłązione katów piekła zgrają,
 Piekielnych krain witane już cieniem, —
 Nic groźniejszego widzieć nie zdołają
 Przed ostatecznym na wieki zgaśnięciem.
 Ta w pół kobieta, w pół grobów maskara,
 Z gasnącą lampą w rękach ubroczonych, —
 Jak gdyby z gwiazdą swych dni policzonych;
 Ten kozak za nią, co, jak zbrodni kara,
 Choć piętnem mordu cechowany cały,
 Przecież, niewolnie, staje osłupiały
 Przed okropnością złoczyńców sumienia;
 Ten blask pożaru: skrwawione tło cienia;
 A ci mordercy, co, w głębokiej dali,
 Pomiędzy nocą orężem błyskali:
 Prawdziwy obraz pieczar potępienia!

20.

»Dalejże dzieci! a wam co się stało?«
 Był-to głos Szwaczki świeżo przybyłego,
 Gdy pozierano po sobie nieśmiało.
 A choć na chwilę stanął i głos jego,
 Onby się zaśmiał do diabła samego.
 »Ho, ho! nie wiecie co to za djablica,
 Nie wiecie tego, — a mój nóż odgadnie.
 Patrzcie, jak we krwi skąpał się już ładnie!

A choć tak we krwi jeszcze się rozświeca!
 Stójże mi, widmo! nóż-to doświadczony,
 I poświęcony i dobrze ostrzony.
 Rzuć go na wicher co tańczy po drodze,
 A gdzie się kręcił świeżą krew zobaczysz!
 Jeżeli tylko dotrzymać mi raczycz,
 W Bogu nadzieja, dobrze cię ugodzę!«
 Nóż błysnął, gwizdnął . . . Po niewieścim jęku,
 Po smutnym lampy rozbryzniętej dźwięku, —
 Głucho i ciemno. Kozacy zdumieli
 Jeszcze krwawego widma nie pojęli,
 Kiedy ryk Szwaczki rozległ się olbrzymi:
 »Podajcie głownię co się o-tam dymi!
 Zniknęła larwa, to jej ślad te plamki . . .
 Przyświecaj lepiej, . . . bliżej, . . . tu, do kłamki . . .
 Znać otwierała, . . . wyszła temi drzwiami.
 Już to nie djabeł co uciekł przed nami!«
 O zmykaj, zmykaj! W zbrodniach tobie równi
 Ścigają ciebie, przy iskrzącej głowni.
 Skopcony ogniem, krwią ofiar ociekły,
 Toczy się Szwaczka przed rozjadłą zgrają:
 Tu, jego usta »łamać drzwi!« wyrzekły, —
 I tu drzwi nowe z zawias wypadają.
 Długo trwać będzie ta igraszka dzika:
 Ci dobrze gonią, ta dobrze umyka.
 Zbestwiona pogoń drzwi po drzwiach wysadza:
 Tu już stracili, tu znów krew ją zdradza,
 Skoro o ścianę oprze się jej ręka;

Tu drzwi łupnęły; tu zasuwa brzęka;
 Tu, biegiem skorszym, zbudziła podłogę;
 Tu prawie słycać jak serce jój bije;
 Tu ją dokona przeznaczenie srogie,
 Niech tylko drzwi te wyprze ramię czyje; —
 Już-to ostatni przytułek za niemi;
 Chybaby szatan schował ją do ziemi!

Część trzecia.

I.

Gdzież jesteś, duchu Nebaby?
 Zjaw mi się znowu; znowu śpiew ci wznoszę.
 Za te nikczemne świeckie powaby
 Mieniałem, wietrznik, duszne me rozkosze:
 I oto, z wstrętem przesyłu,
 Obojego tułacz bytu,
 Nie wiem gdzie się dziś obrócę,
 Jak mojej pieśni donucę! . . .
 Burze serca, burze losów
 Ogłuszyły mię na chwilę!
 Losy piorunowały tyle!
 Obyłem się z grozą ich ciosów.
 I serce tyle wicherzyło,
 Tak kochało, tak mi biło,
 Że już omdlało, — czczość, mgłę zostawiło.
 W tej czczości, w tém omdleniu
 Świat, tobie, memu marzeniu!
 Jesteś więc ze mną! witam cię, o cieniu!

A z łomu gruzów, wśród moderców gwaru,
Wznosi się szatan, falami pożaru,
I w równi trzyma, na wadze zniszczenia,
Rozkosze zemsty i zbrodni cierpienia; —
Dając mi porę, bym, w czasie cofnionym,
Puścił wzrok wieszcy za jeźdźcem zgubionym:
Otom go znalazł, i oto go wiodę
Po zasłużoną jego dzieł nagrodę.

2.

Niepomnych czasów, nieznaną mogiła
W cieniach gęstego lasu się ukryła.
Nad boki mszyste, nad jej szczyt okrągły,
Odwiecznym cieniem sklepienia się sprzągły
Ze sklepem dębu co, z lasów zarośli,
Strzelał gałęzią widniej i wynioślej
Niż wieża ławry²⁴), złotem błyskająca,
Pośrodku dzwonnicy kijowskich tysiąca.
Starszy brat sławnej puszczy Lebedyna,
Nie jednej puszczy plemię on zaczyna;
Bo burze nieba i czasu wstrząśnienia
Tak się po jego przesuwają szczyty,
Jak tej piastunki co chce usnąć dziecię
Zmyślone groźby i głaszczące pienia.
Czy spiekle lato piorunami sieje,
Czy płaszcz jesieni mgłami się odyma,
Czy, w nagich borach, mroźna iskrzy zima, —

Korona jego ciągle zielenieje:
Niby mąż wieków w mogile tej leży,
Niby myśl jego, w kształt drzewa odziana,
I bohatyrską posoką podlana,
Piastuje wieniec chwały, zawsze świeży.

3.

Nebaba, senny, pod nim odpoczywa:
Wpół-zwiędły trawnik jest kobiercem łózka,
Namiot z gałęzi, — ze mchu pnia, poduszka:
Przykry świst puszczy piosenkę mu śpiwa.
A, kozackiego wartownik posłania,
Koń tylko wrony trzłami podzwania.

Po miejscu wspomnień, po męża postawie,
Możnaby myśleć, że duch bohatera,
O którym marzy ukraińska lira,
Tu, w pełni życia, zmartwychwstał na jawie.

Ale, śpiącego zając wspaniałości,
Snu atamana niech nikt nie zazdrości.
Wejrzyj na lice: w ich się ruchu kryśli
Cała męczarnia skrępowanych myśli.
Zdawało mu się widzieć ogień z wieży:
Dosiada konia — zebrać swój szyk bieży;
Ale na miejscu kozaków obozu
Spotyka stado wilków wśród wąwozu.
W tym głos Orliki jakby gdzieś za górą...
Śpieszy ku niemu: światło co błyszczało,...

To Ksenia w oczy patrzy mu ponuro;
I kruków kilka w uszy zakrakało.
Zlał go pot rzęsny; — wymknąć się im sili,
Aż on harcuje na żelaznym przecie . . .
Tu go przestraschu ocknęło wstrząśnięcie.
Lecz cóż postrzega w przebudzenia chwili?

4.

Człowiek spokojnie siedział sobie z boku:
Z brody sędziwej lata widać mnogie,
A, że nie widzi, z zapadłego wzroku.
Trzymał na nodze założoną nogę;
Na niej wsparł lirę, i tonów próbował,
Niby przypomnieć piosnkę usiłował.
Kamrat Nebabie niebardzo przyjemny.
Więc, zgóry, krzyknie, ku starcowi skoczy:
»Dziadu! kto jesteś? co robisz w tym borze?«
Zwolna, drwiąc nawet, odpowiedział ciemny:
»Jak mowa groźna, taka twarz być może;
Dziękuję Bogu że mi wydarł oczy.«
I znów spokojnie wziął się do brząkania,
Jakby wszystkiego zbył tą odpowiedzią:
»Nikt żartem nie zbył mojego pytania!
Bóg cię tu przyniósł, djabeł nie wyniesie!
Starcze, kto jesteś? co robisz w tym lesie?«
I siłą starca pochwycił niedźwiedzia.
Ale w krwi zimnej lirnik jednakowy:

»Puść; strunę urwiesz, a nie kupisz nowej.
Gdym już tak bardzo nieprzyjemny tobie,
Ty widzisz dobrze, jam ślepy na obie;
To, zamiast gniewów i tego hałasu,
Na trakt ubity wyprowadź mię z lasu;
Albo mię przeproś, daj grosz jaki w rękę, —
A na dobranoc usłyszysz piosenkę.«
»Djabeł nie ślepiec; w miejscu odpowiedzi,
Niezłękły groźbą, jak z kamienia, siedzi.«
Pomyślał kozak; skrycie się uśmiechnie,
Bo już i gniewu uniesienie cichnie.
»Czemuż-to, ślepcze, nie masz przewodnika?«
Już łagodniejszym zapytał się głosem.
Dziad się uśmiechnął: »hm!«
»mruknął pod nosem:
»U mnie, to kostur co u kogo pika.
W słotę, w pogodę, czy to dniem czy nocą,
Całą Ruś przejdę za jego pomocą.
A od Kaniowa aż do samej Smiły,
Wszystkie, pod ręką, poznam ci mogiły;
Pień tobie każdy poznam nad mą drogą,
Każdą murawkę co nastąpię nogą.
Ale, kiedym się odbił od kamratów,
I tutaj blisko smacznie odpoczywał,
Ktoś mi dziadowskich pozazdrościł gratów,
I skradł kostura. Prawda, był okuty;
Stanie za szablę. Czyś się już przegniewał?
Długi gniew grzechem. No, będę ci śpiewał
Na zgodę; tylko daj mi dwie minuty,

Że sobie lirę do głosu nastroję.
O! wszędzie, wszędzie lubią pieśni moje.
Nebaba ani zezwała ni wzbrania;
Więc lirnik zaczął, po chwili brząkania.

5.

»Wypłyn, wypłyn z za obłoku!«
I nagle urwał, w samym pieśni toku.
»Trzeba bym wprzód rzecz powiedział całą,
Historia długa; siądź tu, rzuć ratyszcze²⁵);
Długa, lecz pewnie twą pochwałę zyszcze.
Gdzie się to działo, i z kim się to działo,
Trudno jest wiedzieć, — niekoniecznie wręście;
Może i nie chcesz. Dość, we wsi, czy w mieście,
Była dziewczyna z niepełnym rozumem.
Dawno chodziły wieści między tłumem:
Że, nad jeziorem, w zarosłej ustroni,
Kiedy się wszyscy w chatach spać pokładą,
A noc, na niebie, błysnie gwiazd gromadą,
Jasny latawiec splywa ogniem do niej.
Wszyscy to pletli, wszystkich to bolało,
Że o tym cudzie wiedzieli tak mało.
Ale z szatanem niebezpieczna sprawa.
A był tam chłopiec, sztuczka śmiała, żwawa:
Brząknąć w bandurkę, przylgnąć do dziewczyny,
Wywinąć tańca, coś splatać, jedyny.
Jak się rozszalał z drugimi chłopaki,
Przyrzekł że djabła na schadzce dostrzeże.

I dostrzegł. Czegoż nie dokáže taki?
Każdy to przyznał, i ja temu wierzę.
Bo obłąkana, drugiego wieczora,
Zamiast miłego czekać u jeziora,
Duszą i ciałem chłopaka się trzyma.
Aż, niezabawem, i łono się wzdyma...
I gdy już o tém pełne kumów uszy,
Ktoś wyjął z wody dziewczynę bez duszy:
Po żwawym chłopcu ni śladu, ni slychu.
Różnie to różni gadali pocichu;
Choć najpewniejsza utwierdza pogłoska,
Że ot w tém wszystkim moc była czartowska!
Djablich miłostek mieszać nie wypada!
Ksenia... Ten język zawsze się wygada!...
Szalona, żyje. Ale, choć, jak wprzody,
Błądzi pomiędzy i lasy i wody,
I na noc całą przed gwiazdami siada, —
Nikt jój nie śledzi, nikt jój tam nie bada:
Bo, niechaj z nami zostanie duch święty,
W ciało niebogi wsadził się bezpięty.
Ale dojrzano kwitnące paprocie,
To i jój pieśni słyszano w ciemnocie.
Będę ci śpiewał jakem nauczony.«
I nucił, w liry uderzając strony:

*

»Wypłyn, wypłyn, z za obłoku:
Po błękitném przeleć niebie!

Ja kochanka wzywam ciebie!
W lasów ciszy, w nocy mroku,
Ho-hop, ho-hop! wzywam ciebie!

*

„Głucha ciemność wioskę kryje;
Zgasł kaganek w oknie chatki;
Sen zakleił oczy matki;
Moje serce bije, bije,
Do twojego serca bije!

*

„O północnej wyszłam porze;
Na burzliwą nie dbam porę:
Skoro mi blask luby gore,
Niechaj zgasną wszystkie zorze,
Całą noc przesiedzę w borze!

*

„Kiedy promień twych warkoczy
Spłynie na obłoki sinie,
Ziemia złotym dniem opłynie;
A mnie dusza, a mnie oczy,
A mnie serce szczęściem spłynie!

*

„Ho-hop, ho-hop! ja kochanka,
W lasów ciszy, w nocy mroku,

Radam, do samego ranka,
Wywoływać cię z obłoku.
Ho-hop, spłyn do mego boku!

„W końcu najpiękniej: chcesz, to ci powtórzę:
Ho-hop, ho-hop! . . .“

I musiał stanąć. Z ocz Nebaby błysku
Dawno już widać co tam w myśli chmurze
I gromowego jak blisko pocisku.
Zdaje się brakło ruszenia lub słowa.
Szczęśliwa dotąd, widać stara głowa.
Ale w tej chwili schwycił go za ramię,
Że mu, jak szatan, musiał wypiec znamię:
„Jak mi raz jeszcze to „ho-hop“ zawyjesz . . .
Słuchaj, przeklęty! czy już nadto żyjesz?“
Nie mógł dokończyć, bo rzenie wronego
Wezwało naglęj obecności jego;
Skoczył od starca, błysnął w ręku pika,
I prędzej gęstwą przemykał się dzika.

6.

A koń, jak wryty, stanął niespokojny:
To wzrok zaiskrzy, i nozdrze rozszerzy,
To znowu zarży, kopytem uderzy, —
Jakby go tchnienie obwiewało wojny.
Nic tu nie widać, nie słychać nikogo;
Chyba się listek odezwie pod nogą.

»Lecz karosz jeszcze nie trwożył mię próżno:
 Nieostrożnego i Bóg nie uchował;
 Zle się przechodzi pod postacią różną . . .«
 I do lirnika myśli swe skierował.
 »Trzeba go zbadać, podobno to zdrada.
 Bo, choć się dziadem i ślepym powiada,
 Te drwiącym śmiechem wykrzywione usta,
 Jeżeli nie djabła, zdradzają oszusta.
 Ten głos donośny, sama broda biała,
 Ślepotą nawet coś mi się nie zdała.
 Patrz, jak usłuchał! a przeciemi mu wzbronil!
 Jakby we dzwony, swoje »hop« zadzwonił,
 Trza go nauczyć, choć to siwa głowa!
 Niech dla weselszych swoje zarty schowa!«

7.

Już kozak drogi do drzewa miał mało,
 Kiedy, w gęstwinie, jeszcze się zaśmiało.
 Teraz, bezpiecznie szukaj go z latarnią!
 Dokoła pusto; wszystko się ściszyło:
 Jakby lirnika ni liry niebyło,
 I kwiat, gdzie siedział, wstał już między darnią.
 Stał Ukrainiec, i, w długim podziwiewie,
 Po razy kilka nabożnie się zęgnął:
 Jeżeli to szatan żeby go krzyż przegnał;
 Jeżeli szpieg, w starca przebrany kłamliwie,
 Żeby mógł znowu dostać go do ręku! . . .

Lecz gdzie go śledzić, że tak wkoło głucho.
 Ukląkł; przyłożył do mogiły ucho:
 Tętnienie konia słycać w ziemi stęku.
 Ha! myśl szczęśliwa kręci się po głowie:
 Oko najlepiej z tego dębu powie.
 Wstał; ale jeszcze uchem wiatru schwytał,
 Raz jeszcze, okiem, gęstwinie zapytał, —
 I pod mszystemi zniknął gałęziami:
 Tu pika błyszczy, kołpak czerwienieje;
 A tu, po dębie, coraz bliżej wierzchu,
 Gdzieniedzie gałęz szelesnie, czasami; —
 Aż oto, razem, postać zajaśnieje.
 Gdzie sam szczyt drzewa tonie w ogniach zmierzchu.

8.

Darmo Nebaba wodzi orlim wzrokiem
 Nad różnolistnym gęstych puszczych obłokiem,
 Darmo okraża po polu szerokiem.
 Zawsze w pustynie czczości wzrok zapada:
 Ani kurzawy, po drożynie, dziada.
 Jak tylko zajrzeć, wokoło tumany,
 Snują się jary, wstają w piątrach wzgórza;
 Śród nich, gdzieniedzie, lasek się zachmurza;
 Błyszczy dnia resztą dach zamku blaszany;
 Błyszczy, na prawo, Dniepr, dołem rozlany.
 W błędnej z tysiącznych węzłów płataninie,
 Liczne się drogi na lewo rozbiegły:

To, skretnym węzem, pełną po wyżynie,
 To się, jak wstęga, snują po równinie,
 To w paszczach jaru giną niespodzianie, —
 Aż razem znikną w dalekim tumanie.

Tak tu wyraźny ten widok rozległy,
 Że zliczysz wszystkie przydrożne figury;
 A oczy lepsze dostrzedz nawet mogą:
 Gdzie jaki żebrak ciągnie którą drogą,
 Gdzie koło błyska pośród pyłu chmury.
 A, dnia ostatkiem, zachód pozłożony,
 Pocieniowany lotnemi obłoki,
 Jest jak zwierciadło tej ponętniej strony,
 Z każdym jój cieniem, z wszystkimi uroki!

9.

Kogoż ten widok, kogo nie zachwyci?
 Kiedy, nad otchłań pogńębienia wzbici,
 Krążymy po niej spojrzeniem w pół-bożem, —
 A, bliżsi nieba, czuć wyraźniej mozem,
 Żeśmy na samém dwóch sfer pograniczu,
 W swojej kolébki, w ojczyzny obliczu.
 Weselsza dusza żywiéj tu promieni,
 Jaśniej tu czyta w literach z płomieni,
 Któremi Wieczny, w tle chaosu cieni,
 Do swéj potęgi dziedzictwa ją wpisał;
 Z przed tronu Boga głośnieć tu dolata
 Śpiew co ją w łonie wieczności kołysał;

Głuszej tu jęczy płacz niskiego świata;
 Nadół, do ziemi, smutku kwef ponury,
 Nadół westchnienie co zawichrza duszą,
 Łzy, sercu ciężkie, nadół tu cieć muszą; —
 Jak nawałnice, i deszcze, i chmury,
 Płyną do ziemi od niebieskiej góry.

10.

Co-to Nebaba tak myśli głęboko,
 Między gałęzmi oparty bez ruchu?
 Czem' tak zasunął rozigrane oko?
 Czy dąb, gaduła, szepce w jego uchu
 Smutne powieści o kłeskach tej ziemi, —
 Gdy, pod jój niebem, sęp mordy ponury
 Toczył cień trwogi skrzydłami krwawemi,
 A z nim Tatarów napływały chmury?
 O, nieraz, może, na tym jego szczycie
 Rozwiewały się przestrogi znamiona²⁶⁾;
 Nie jedno, może, ta z liści zasłona
 Przed srogą śmiercią uchowała życie.

Nie; w zadumaniu cichém i głębokiem,
 Puścił się kozak swoich dni potokiem.
 Po jego myślach młody wiek przegania
 W kwitnących barwach świętego zarania.
 Co za świat w ciszy rodzinnego siola!
 Gdy dusza grała ogniami jutrzeńki,
 A wabna przyszłość, jak wróżka wesola,

W kolój, nadziei uchylała wdzięki.
 Jak wszystko pełne, jak tam wszędzie miło!
 Jak dzień, skąpany w jeziorze rodzinném,
 Cicho, ponętnie, w marzeniach świeciło, —
 Przeszłość i przyszłość, szczęście i niedole;
 Życie, — koń wrzący; świat, — kwieciste pole!
 Wzburzenia duszy, cierpkie serca bole, —
 Wszystko się topi w uśmiechu dziecinnym:
 Lzę utrapienia, łza rozkoszy strąca;
 I struna, w tony rozliczne bijąca,
 Leniwiej smutne wesołemi zmienia, —
 Jak jego umysł swoje poruszenia.
 Albo ten wieczór, ten ogień kupały²⁷⁾!
 Po zwierciadlanój Biełozyrja wodzie,
 Mkną się rybackie z kagankami łodzie:
 Niebo ciemniało, szyki gwiazd gęstniały,
 Błękitna fala sypała kryształy,
 Szum sosen mruczał piosenkę żeglugi,
 Muzyczną miarą uderzały wiosła:
 Cyt! płomieniami rozgorzał brzeg drugi,
 I wrzawa dziewie zewsząd się podniosła.
 We mgnieniu oka, ucichli żeglarze;
 Złożyli wiosła: czółna wokrag płyną;
 Już w oczeretach²⁸⁾ syknęły gadziną.
 A brzegi kipią w piosenkach i gwarze;
 A tanecznicę, migającym cieniem,
 Snują się ciągle przed wielkim płomieniem.
 Wtém, zaczajona młodź nagle wypada;

Nebaba huknął: Zdrada, siostry, zdrada!
 Już po bałwanie! Z wianków oberwany,
 Złamany leży. Skończyły się tany,
 Ucięto śpiewy; a mściwe dziewczęta
 Całusem karzą śmiałego natręta.
 A też pustoty!.. Gdy wszyscy usnęli,
 Widmo kobiety wysnuło się w bieli...

Dziką piosenką serce zaśpiewało,
 Blask obłąkania strzelił ze źrenicy:
 Kozak na chwilę zniżył skroń ściemniałą, —
 Jakby chciał przetrwać aż ucichną pieśni,
 Aż mu natrętne widziadło się prześni.
 Czyż taka pamięć pieszczot, miłośnicy?
 Darmo! nie ścieraj z czoła mgłę natrętą,
 Nie stawiaj myśli na spojrzenia warcie;
 Raz jeden zbrodni wyciśnione piętno,
 Jak blask fosforu, czyści się przez tarcie.
 Choć w całun duszy twe się oko wprządło,
 Zawsze nieczystych miga się w niém żądło.

II.

Inny Nebaba, bo z inną już duszą,
 Pomiędzy borów majaczeje głuszą:
 Grom namiętności mgłę spojrzeń rozświeca,
 Szyderski uśmiech kazi hoże lica:
 Wszystko kipiące, od serca poczawszy,
 Aż do rumaka co go gdzie chce niesie;
 Jak w duszy jego, posępno w tym lesie;

Jak żądze jego, kraj tu coraz nowszy.
 Z piąter na piątra, z gór na góry drze się;
 Za każdym krokiem rosną w nim tęschnice,
 Im lasy głuchsze, wyższe okolice.
 Aż oto nowa zajaśniała chwila,
 I cienie troski ciągle mu umiła,
 Jak, noc wieczności, zorza zmartwychwstania.
 Cóż-to za dziwna strona się odsłania²⁹⁾?
 Tu, pod nogami, na równi poziomej:
 Moszen, spojrzeniem policzone, domy;
 Irdyń drzymiący w spleśniałej głębinie,
 Wiecznie z wiatrami sporne oczerety;
 Jak rozsypane zielone bukiety,
 Drzewa, i sady, i gaje, w dolinie.
 Tam błyskający jasnemi zwierciadły,
 Tu w gardła jaru, jak w otchłań zapadły,
 Dniepr tutaj całkiem skrył się w bór ponury,
 A tu się znówu wylał z bioder góry.
 Dalej, piaszczyste pozłoczone morze;
 Dalej, bór spływa po spiczastym szczycie,
 Podobny strzępnój narodowca kicie.
 A jeszcze dalej, i dalej, i bliżej,
 Góra po górze, bór idzie po borze;
 Tysiącem węzłów, tysiącami krzyży,
 Plączą się, mącą, rozchodzą, zbiegają,
 Niepoliczoną, nieobjętą zgrają,
 Wioski i grody, pustynie i laski,
 Jary, i góry, i łąki, i piaski.

A coraz dalej stepy piasku bledsze,
 A coraz dalej lasy błękitnawsze,
 A coraz dalej dymniejsze powietrze,
 I nieba niższe, — a mgły, a mgły zawsze.
 Ileż swobody, uniesień rozwinie
 Jeden tu widok, w jednej tu godzinie!
 Gdzie ten wiatr wieje, gdzie ten obłok dąży,
 Co tam za strony! gdzie, w tumany sinie,
 Wiecznie drzymiące, fala Dniepru płynie?
 Orzeł niech powie co pod niebem krąży;
 On wyżej buja, i jego źrenice
 Wyraźniej widzą tamtą okolicę;
 O Zaporozu niechaj on opowie:
 Jak tam rozległe panują koszowi;
 Jakie tam, wiecznie, hulanki i wola;
 To samo słońce jak tam rozpromienia
 Porozsiewane gwarne ich kurzenia³⁰⁾.
 A tabun pędzi ze rzeniem na pola;
 A Zaporozec, na swobodnym koniu
 Jak jego myśli, uganiania po błoniu:
 Jak wicher stepu, jego pieśń tak dzika.
 A tam, po Dnieprze łódka się przemyka:
 Lekka, i chybka, i szybka jak fala,
 Leci za nurtem, po szklannej równinie:
 Wpadła na poroh; ze skał się przewala;
 Zapadła w głębie, . . . przepadła . . . aż zdala
 Pęka wód kryształ, — Iódz jak łabędź płynie.
 »Przeszło co było! i co będzie minie!«

Ockniony z myśli, ataman zawoła;
 „A co być musi, niechaj się już staje!
 Kozacy tęsknią, i ogień goreje!“
 Spuścił się z dębu na skrzydłach sokoła;
 Na szumie wichru przemknął się przez knieje;
 Już pod bajrakiem, i już hasło daje.

12.

Poznała hasło kozacza drużyna,
 W gęstwie bajraku dotychczas drzymiąca.
 Lekkie gwizdzenie biegać wkrąg poczyna,
 I ciszę zmroku powoli zamąca, —
 Ale nie głośniej jak szum między drzewy,
 Gdy wstaje chmura nawalnej ulewy.
 Prędko, spokojnie wszystko się odbywa;
 Bo i pochodu młodzież niecierpliwa,
 I atamana rozkaz wykonywa.
 Nie śmie złowiony koń zadzwonić w pęta;
 Nie śmie stal brząknąć do boku przypięta;
 Natrętna innym, gałązka przydrożna
 Kozaczęj czapki nie dotknie, ostrożna.
 A z jaką ciszą do zbroi się brali,
 Z taką, już zbrojni, z lasu wyjechali.
 Czekał ataman, kółpakiem omglony;
 Pod atamanem kopał ziemię wrony.
 Dał znak, młodey obwiedli go kołem,
 Podniósł kółpaka, powiódł śmiałym czołem:

„Panowie bracia, czas nam ruszać dalej!
 Droga daleka, gwiazda się już pali,
 A zamek czeka z łózką i wieczerzą!
 Więc, z Bogiem, naprzód! niech koń w pęcie dłużej,
 A noże we rdzy, niech dłużej nie leżą.
 Szlak wiemy dobrze, choć się niebo chmurzy.
 Aby dłoń sprawna, i pika niekrucha,
 To, za godzinę, do Dniepru popłynie
 W djable ochrzczona niewiernych psów jucha!
 Naprzód, kozacy! spoczniem po godzinie.“
 A niechcąc dłużej rozwlekać się słowy,
 Pokazał ręką na ogień zamkowy;
 Świstnął, i wpród się wysunął, aż miło.
 A wojsku chęci we dwoje przybyło.

13.

Niezbyt daleko jeszcze odjechali,
 I widać jeszcze przez mroku zasłonę,
 Gdy śpiew się ozwał w między-leśnej dali.
 Zwrócono oczy i uszy w tę stronę:
 Pieśni znajome, ich słowy złożone.
 Patrzą ciekawi co się dalej stanie,
 Patrzą do lasu: ucichło śpiewanie,
 Aż i dwóch jezdnych, szłapiąc wolnym krokiem,
 Zamajaczyło między szarym zmrokiem.
 Ile w ciemności dopatrzeć się można,
 Kozaczą burką opięci się zdają,
 I długie piki, zda się, w rękę mają.

Ale we wszystkiem trzeba iść z ostrożną;
Na znak Nebaby, czterech wyskoczyło,
Rozpoznać zbliżka coby-to tam było.

14.

Już powrócili; dobrze się sprawiono:
„To niedobitki, ojcie atamanie!
Wielkie przy Mosznach było krwi rozlanie³¹⁾;
Tabor tam naszych ze szczętem zniesiono;
A tym dwóm, jakoś, to trzciny Irdynia,
To okoliczna pomogła pustynia,
Że się wymknęli, upatrzwszy porę;
Ale ich serce i dziś na bój gore.
I, gdyby można, toby jeszcze radzi
Tu pohulali. A więc, z dobrej chęci,
Proszą by u nas mogli być przyjęci.
Nam się téż zdaje że to nie zawadzi.
Przyjm ich, prosimy, do swojej czeladzi.“
Coś pomyślawszy, zezwolił wódz na to;
Bo dwóch, nareszcie, ni zyskiem ni stratą.
Kozacy, radzi z nowych towarzyszy,
Ruszyli dalej w porządku i ciszy.

15.

Wieczór gęściejsze rozsiewa tumany,
Brudniejszym niebo obłokiem zaciemia,
Z ciemniejszym niebem zasępia się ziemia;
Toczą się, szlakiem, obłędu bałwany.

Chropawym torem, w ślepiącej ciemnocie,
Orężny orszak bacznie się posuwa;
Daleki ogień co na przodzie czuwa,
Dodaje bodźca wojennej ochocie.
To na zamkowej wieży się paliło;
Kochankom wojny tak go widzieć miło,
Jakby się w oko dziewczyny patrzyli,
Gdy je nadzieja rozkoszy umili.
I dalej hucem ściśnionym stąpali,
Ciągłe milczenie zachowując dzikie,
Nadzieję mordu mając za muzykę,
Za wór stęk ziemi i brząkanie stali.
Cóż się tam dzieje z myślami Nebaby,
Teraz gdy zemsty dostępuje szczytu?
Musi mu jaśnieć wszystkimi powaby;
Teraz-to musi w rozkoszy zachwytu . . .
Ej! ile można miarkować po czole,
Po dosłyszanem zagrzytaniu szczęki, —
Znośniejsze serca zdradzonego bole,
Gdyby się pojął, niż te zemsty wdzięki!
Czegożby marzył po tryumfach noża
O błędnem życiu w stepach Zaporozża?
I czegoż w myśli tak brnąć, że, pomału,
Jakby w sen zapadł, jakby w śnie się rzucił,
Gdy pistoletu wystrzał go ocucił.
„Kto tam wystrzelił?“ wnet groźnie zawoła.
Pilnie patrzano po sobie do koła; —
To aż w ostatnich szeregach oddziału.

»Droga tak ciemna, koń się spotknął w chodzie,
Przeklęty kurek źle trzyma na zwodzie,
Aby go dotknąć, to zaraz i pryśnie«
»Niechaj-no każdy pistoletu strzeże!
Bo, czy umyślnie, czy to nieumyślnie,
Raz ja ostatni w ten przypadek wierzę!
Nie przetrze oczu jak plunę któremu!

Hej, kto wie drogę, niech jedzie przed nami!
Wy, z bystrém okiem, biegnijcie stronami;
A tył oddziału wręczam pod straż temu.
Wróg, — bodaj mara; a wystrzał przestroga!«
»Pozwól się prosić, ojczcie atamanie,«
Podchwycił kozak co w tej chwili stanie:
»Każda mi znana pod Kaniowem droga:
Nie jedne wiozłem tu listy, a wprzody
Nie raz tu nie dwa wypasałem trzody.
Wybierz mi oczy, jeszcze i w tę chwilę,
Na krzyż przysięgam że o krok nie zmylę.«
»Zanadto mowy; lecz kiedyś ochoczy,
Więc prowadź. Zawsze ku temu ogniowi;
To nam gospoda.« Tak Nebaba powie.
A zwinny kozak przed wszystkich wyskoczy:
Westchnie, — przez piersi święty krzyż połóży;
A za nim reszta; — i dalej, w czas boży!

16.

Ciennemi szlaki wywijając kręto,
Nad jar głęboki przerznął się Nebaba.

A już i jasność miesięczna, choć słaba,
Biła ze wschodu w chmurę nasuniętą,
I widzieć w cieniach wyraźniej zaczęto.
Gęstemi trzciny szeleści jar na dnie;
Woda gdzieniegdzie drzymie śród bagnańska,
Chwilkę jaśniejszém zwierciadłem zabłyska,
Gdy drobna gwiazda z za chmur się wykradnie
I, w srebrnych iskrach, na jej marszczki padnie.
»Patrźcie-no! co-to tēm wzgórzem ciemnieje?«
»To, powyż jaru, podnoszą się lasy.«
»Lasy w tych stronach, a ja znam te strony.
Może; . . . słyszycie ten szum przytłumiony?«
»To aż za Dnieprem biesiadują knieje.«
»Nie, bracia; kłamstwo! to coś jak hałasy.«
Ale gdzież kozak co, przed atamanem,
Po błędnej drodze jego hufiec wodził?
Czy w czarodziejskiem kole się ogrodził?
Czy, jak widziadło, rozwiął się tumanem? . . .
Byłże-to Polak przykryty kołpakiem,
By nieostrożnych naprowadzić w siatki?
Badał: i lubo, śród przykrzej zagadki,
Dreszcz co oziębła przebiegał po ciele,
Żadnym nie zdradził podejrzenia znakiem;
Tylko zawołał na swoich, i śmieie
Puścił się z góry, jak gdyby skrzydlaty.
Podwójny wystrzał błysnął, zagrzmiał w tyle,
I jęk śmiertelny ozwał się za chwilę.
»Stój, atamanie!« Leci jeden z czaty.

„Zdrada od Lachów! Już nasz jeden zginął:
 Ledwie dał hasło, pod koniem się zwinął;
 Takim go smaczny przywitał nabojem
 Czart zaczajony w kudły naszej burki;
 A teraz z wojskiem połączył się swoim,
 Co już nam odwód przecięło na wzgórkach.
 Słyszysz, czy widzisz co się to zaczyna?“
 Zaledwie skończył zły wieści posłaniec,
 Kozacy na dół runęli nawałą,
 Aż zastękała w dnie jaru głębina;
 A z góry, chmurą gromami nabrzmiała,
 Zwolna bagnetów następował szaniec.
 Wpół-chmurny księżyc pozierał nieśmiało;
 Rzęsne się błyski sypały z oręźmi;
 A szyk doborny, koń w konia, mąż w męża,
 W nieprzełamany i niemym szeregu,
 Sunął po jarów gorującym brzegu.
 Tylko szeleści sztandar rozwinięty,
 Jak gdyby szeptał już naprzód pacierze
 Po duszach, które śmierć za chwilę zbierze,
 A czasem trąbka wrzaśnie w przykre tony,

17.

Jak ta, na wstręcie zaburzonej fali
 Co przez Dnieprowe porohy się wali,
 Skala, wśród szumu, stoi niezachwiana, —
 Tak się wydaje postać atamana,

Kiedy, zepchnięte nieprzyjaciół siłą,
 Wojsko się jego dokola stłoczyło!
 „Stójcie!“ zakrzyczał; „podstęp nie wygrana,
 Prawda że wrogi stoją nam na tyle,
 A dla nas przykre co nie w zamku chwile;
 Lecz tu potrzebne choć bitwy udanie.
 I ani mozem wątpić o zwycięstwie!
 Znać nie ufają ni w siłę ni w męstwo,
 Gdy tu, w tej porze, godzą na spotkanie.
 Niechaj-że z tyłu gotują nam tamy,
 A my, na górę, przed siebie ruszamy.
 Ciemna noc równie obu wojskom sprzyja.
 Dalej, na góry! gdzie przeprawa czyja!“
 Już się wypuścił: aż tu, jednym razem,
 Burzą wojenną powietrze zawrzało;
 Ryknęło w trąby, brząknęło żelazem, —
 Blade się łuno po nocy rozlało,
 I gradem śmierci w okrąg zaświstało.
 Spojrzał Nebaba, i wstrzymał się w biegu, —
 Tak go gwałtowne objęło zdziwienie;
 Polacy stoją na oboim brzegu,
 I ślą ku niemu ogień bez przestanku;
 A on się widzi w płomienistym wianku.
 „Zdajcie się, zdajcie! kornym przebaczenie!“
 Na wszystkie głosy Polacy wrzasnęli.
 Patrzą po sobie kozacy zdumieni.
 Lecz wódz nie daje do myślenia chwili,
 Więc ich, przykładem i mową, posili:

„Nic to, nic, bracia! damy ład wszystkimu,
 Zaraz tu wszystkich popędzimy w bagno.
 W sercach im zatkną broń której tak pragną,
 Nic to, nic, bracia; huknijcie po swemu!“

18.

Czy duch co lubi wspierać ludzi zbrodnie,
 Śród nocy, piekła podniósł im podchodnię,
 I do ich serca zagrał swą muzyką, —
 Że takie grzmoty ryknęły tak dziko,
 A, na świat ciemny, na sklep nieba cały,
 Tak niezwyčajne błyski się rozlały?
 Grobowa cichość nastała po wrzawie:
 I oba wojska, w posągów postawie,
 Z bezwładną ręką, opuściwszy bronie,
 Oczy ku jednej obrócili stronie, —
 Jakby na karku nikogo nie mieli:
 I wkrótce dziwniej niż wprzód huknęli.

19.

Jakaż nagłego postrachu przyczyna?
 Była to właśnie okropna godzina,
 Kiedy wpadł Szwaczka na zamek dobyty,
 A pożar zaczął trawić jego szczyty.
 Z jaką radością przyjmie konający,
 Cudem odkrytą, zbawienia nadzieję,

Z taką, Nebaby wojsko wieść przyjęło,
 Że ich pożarem zamek już goreje.
 „Ot i przypadek sprzyja nam niechcący!
 Teraz się szczerze wezmijcie za dzieło.
 Niebo, młodocy, niebo nam pomaga!
 Jeszcze godzina i stała odwaga,
 A, na złość liczbie, wyjdziemy zwycięsko!
 Patrzcie, jak jedną strwożeni już kłęską!
 Hej, dwóch najzwawszych na lepszych rumakach!
 Skoro staniemy na tym góry grzbiecie,
 Pokłon do zamku od nas poniesiecie,
 Niechaj tam pomną o braciach kozakach.
 A teraz, kiedy Lach się trzyma słabo,
 Dalej, młodocy, dalej za Nebabą!“
 I poszli wszyscy na miecze, na spiże,
 I znikli w walki zakręceci wirze.

20.

Jak gdyby oko zagniewane boże
 Całkiem w płynący ogień się stopiło,
 Z taką wściekłością, z tak rosnącą siłą,
 Wrzało nad zamkiem płomieniste morze.
 Pożar, w podziemne zakradłszy się lochy,
 Buchał, jak z paszczy, kłębami brudnymi;
 W skrytych podkopach zapalone prochy,
 Jak grom więziony, darły wnętrza ziemi
 Leżały wieże, czarne ziejąc dymy,

Jak obalone piekielne olbrzymy;
 Jak przekłętego Lucyfera skronie,
 Pałały dachy w ognistej koronie.
 A echo piekieł, umarłych jęczenia,
 A głazy siłą ciskane płomienia, —
 Tańcem i pieśnią tój uczyły zniszczenia.

Wiadomość zrazu głucho się roznosi,
 Coraz głośniejszym rozlega się gwarem;
 Nebaba walczy nad pobliskim jarem,
 I, przez posłańców o posiłek prosi.
 — „Kto wasz wódz?“ — „Szwaczka.“ —
 „Gdzie jest?“ — „Na zabawce,
 Przywodzi godne swój woli oprawce.“

Tam, tam, gdzie słyhać, pośród murów rumu,
 Razem przekleństwa, i śmiechu hałasy,
 Szwaczka, na czele rozjadłego tłumu,
 Z uporem w rdzawe szturmuję zawiasy.
 Jedna tam słaba kobieta się tai.
 Już najmocniejsi jacy są w tój zgrai
 Popróbowali swoich barków siły,
 I, z wściekłym wstydem, wracali od pracy.
 Aż Szwaczka krzyknął: „Oto mi kozacy!
 A was-by, gnuśnych, baby wydusiły!
 Jeszczeż-no plecy naprężą się stare;
 Bo chcę serdecznie ścisnąć tę maszkarę.
 Ale, panowie młodey, za karę,
 Nikt jej przedemną dotknąć się nie waży!“
 Wtém, kark barczysty z pod burki odsłoni:

Podsadzi ramię, razem drzwi podważy;
 Drzewo zazgrzyta, żelazo zadzwoni:
 Przejście swobodne: już wpadną! już po niej!
 „Giniecie, bracia! ratuj się kto umie!“
 Okrzyk przestrachu rozlega się w tłumie;
 I wewnątrz zamku zawyło przestrachem.
 Prysnęły główne, płomienie buchnęły,
 Wstrzęsło ścianami, zaskrzypiało dachem, —
 I dach przetłalał runął między ściany.
 Jeszcze okrzyki skonania wrzasnęły;
 Prysnęły główne, dymy wybuchnęły;
 Wirem się wzniosły ogniste bałwany;
 Chwila, — i wszystko milczy pod pożogą:
 Przetłona głównia cicho dogorywa,
 Cicho dym wstaje, płomień się dobywa, —
 Jakby tam nigdy niebyło nikogo!

21.

A w garle jaru jak wrzały tak wrzały
 Dźwięczące cięcia, ryczące wystrzały,
 I zgiełku męży wyjąca muzyka.
 Nie jeden jeździec zwinął się bez głowy,
 Nie jeden leżał pod ciężarem konia,
 Nie jedna z ostrzem rozstała się pika,
 Nie jeden w bryzgi poszedł miecz stalowy, —
 Nim, przepelnniejszy bagniste parowy,
 Powódź się wojny rozlała na błonia.

I któż jest w sile, z żyjących na ziemi,
 Ogarnąć, pięcią zmysłami słabemi,
 Ten taniec mordy, jaki wyprawiły
 Wszystkie uczucia, wszystkie czleka siły,
 W jedno uczucie, w rozpacz przerodzone?
 Dzięki polyskom, co z pożaru biją,
 Że czasem nocy uchylą zasłonę!
 Większe ciemnościom, że je znów zakryją!
 Noc-to okropna, noc-to piekiel była;
 Starzy, z powieści prawią o niej siła;
 Gdyby nam dzisiaj taka się przyśniła,
 Miękkie sny nasze na długoby struła. —
 Jedna jej tylko istota nieczuła.

22.

Gdzie wzgórek strzela nad szczyty czaharu,
 Do omglonego podobna widziadła,
 Nad sceną wojny spokojnie usiadła.
 Albo to dziecię śmierci i pożaru,
 Albo zbieg będzie ze krwi i płomienia:
 Jaśnie w tém świadczą skrwawione łachmany,
 Skroń rozraniona, i włos rozczochrany.
 A że ustawnie podnoszą westchnienia
 Tę dłoń co mocno przyciska do łona,
 Musi być biegiem gwałtownym zmęczona.
 Pewnie, strwożonej, grozi losów cisza,
 Lub swój niedoli śledzi towarzysza,
 Bo tak ciekawie poziera dokoła.

„Ho-hop, Nebabo!“ Opętanej słowa!
 A w głębi lasu odhuknęła sowa;
 I wilk, jój, wyciem, napowrót odwoła.
 Że zrozumiana, jakby z tego rada,
 Dziwacznie suknię i włosy układa.
 I, wzrok utkwivszy w bitwę co na przedzie,
 Dziwny śpiew, tonem dziwniejszym, zawiedzie,
 Nie ludzkim uszom, śpiew piekła znajomy.
 Rosnące w jarze zgłuszyły go gromy;
 Za echo, wojny ozwało się wycie.
 Czekaj na gwiazdy kochanej przybycie!
 To nie armaty ogniem śmierci błysły, —
 To twój kochanek rozsiał swe promienie;
 A to nie kule, śmiercią, obok świsły,
 To było znane milego gwizdzenie:
 Oto i on sam, cały, z ognia płynie
 W tej chmurze dymu co mroczy pustynie.

23.

Ostatnim rykiem, ostatnim płomieniem,
 Buchnął jar, wreszcie, z rozdartej paszczęki;
 Otchłań bezdena nieskończonej męki,
 Dusz potępionych syta złorzeczeniem,
 Nie straszniej rzygnie przed świata zniszczeniem.
 Łuno pożaru, strzelby błyskawica,
 Co ten ofiarny djabłom stos podnieca,
 Blaskiem południa jaśnieje tu prawie;

Ale, w tym zmęcie, w tej dymu kurzawie,
 Niemożna wiedzieć kto z Lachów kto z Rusi:
 Tylko jednego poznać każdy musi.
 Gdzie kilku razem w śmierci bolach jęczy,
 Tam atamana żelazo połyska;
 Gdzie prze koń jeden, a szereg, jak fala,
 Cofa się w kręgu płynących obręczy, —
 Tam atamana wrony koń się ciska.
 Błyskami wojny cięcia swe zapala;
 Gromami wojny wszystkie zbiega strony;
 Zda się że z każdą kroplą krwi toczonęj,
 Co mu dłoń poi pałasz ubroczony,
 Serce rozjusza i szablę nastala.
 Ale dłoń jedna, i jedna odwaga
 Nic nie stanowi, albo mało znaczy,
 Tam gdzie za mnóstwem przechyła się waga:
 Cała tam korzyść, śmierć z chlubnej rozpaczy.
 Z dosyć szczupłego Nebaby oddziału,
 Jeden za drugim ubywa pomału . . .
 Choć, przy niewoli co u Lachów czeka,
 Sama śmierć, widna, jest jeszcze powabną,
 Z boleścią jednak postrzegł on zdaleka,
 Jak szyki jego w nacieraniu słabną.
 I wzrok mu zaćmił jakiś zamiar dziki;
 I wnet radości błysnął promieniami:
 »Krzepcie się, bracia!« woła; leci w szyki.
 Bóg pomoc niesie, zwycięstwo za nami!
 Patrzcie, to nasi! jak, podobni chmurze

Patrzcie przed pożar, suną się po górze.«
 Buchnęła walka, zagaśnienia bliska,
 I serca znowu mordem zakapiały.

24.

Zadrzał ataman. Cóż-to za zuchwały,
 Natrętną szablą przed oczy mu błyska?
 Dwa razy natarł, dwa razy odskoczył,
 Dwa razy koniem w około zatoczył,
 Upatrzył porę, spuścił szablę razem,
 I z atamana spotkał się żelazem.
 Ostrze na ostrzu zaiskrzy, zadzwoni;
 Żołnierz w krąg strzeli okiem zadziwionem:
 Aż szabla gwiazdy błysnęła ogonem,
 I gdzieś daleko świstnęła mu z dłoni.
 Najlepsza tutaj porada przestachu:
 W pole przed siebie puścił się z kopyta.
 »Zmykaj, nie zmykaj, mój ty śmiały Lachu!
 I kary także o drogę nie pyta.
 Jeszcze się żaden przed nim nie wysunął!«
 I wiatry w tyle zostawia koń wrony,
 A błyskawice, pałasz wyniesiony.
 Gdyby w biednego żołnierza tak runął . . .
 I on nie taki trwożny, jak się zdało:
 Na jednym miejscu zwinął koniem śmiało.
 Może on nie chce śmierci przyjąć w plecy:
 Bo zkądże tutaj nadzieja pomocy?

Od reszty swoich oba tak dalecy.
 Jakiś tu zamiar pokrywa cień nocy.
 Lotem spojrzenia, ataman dobiega;
 Gwizdaniem szabli w pół rozdmuchnie Lacha;
 Trząsnął grom skryty, — zajęczała placha³²⁾,
 I po powietrzu tysiącem drzazg miga.
 Lach dalej świstnął: a koń atamana
 Aż ziemię zapruł kutemi kopyty:
 Tak leje go zerwał; i stanął jak wryty.
 A twarz Nebaby jakby jedna rana;
 Tak ją strzał opluł i szabla strzaskana.
 A krew kroplista, płynąca zasłona,
 Zbroczyła czoło, opada na łono,
 Leje się w usta, przepływa przez oczy,
 Gasi spojrzenia, oddechy tamuje; —
 Darmo trze oczy, darmo usty pluje —
 Rumiane źródło falami się toczy;
 Darmo dłoń kała, darmo suknię broczy:
 To krew niewinnych, nic jej nie zhamuje!
 Co przetrze oczy, co ustami splunie,
 Krwawa zasłona znowu się zasunie:
 Potępionego prawdziwa męczarnia!
 A tu Polaków okrzyk się rozlewa:
 »Nasza wygrana! posiłek przybywa!«
 Teraz już całkiem wściekłość go ogarnia:
 Opuścił ręce, schylił na dół skronie, —
 Jakby śmierć sama, mrozem swych piszczeli,
 Przygłaskiwała do wiecznej pościeli.

25.

»To on, on-to sam!« w dobrze znanym tonie,
 Cichy się głoszek odezwał na stronie.
 A wyraźniejszy gdy się zbliży trocha:
 »Przyszedł popieścić . . . On mię zawsze kocha.«
 »Czy i ty! . . .« krzyknął; nie mógł skończyć
 mowy,
 Krew mu ustawnie zalewała usta,
 Przerwanemi tylko jąkał słowy,
 Gdzie się zdradzało zimnej krwi udanie
 I niewstrzymanej złości obłąkanie:
 »Djable . . . Kocham cię! . . . Ta krew . . .
 Kseniu! . . . chusta . . .
 Zsadź mię, . . . przekłeta! . . . Daj rękę, . . .
 o droga! . . .
 Gdzie serce! . . . djable! . . . gdzie serce, ko-
 chanie!«
 I na belkocie skończył mowę całą.
 Jak ostrze noża przykro zaskrzypiało! . . .
 I jęk śmiertelny wydała przebita.
 Liczne w okolo zagrzmiały kopyta:
 Otoczyli go polskie wojownicy.
 Poddaj się, poddaj! nie pora do piki;
 Już marsz zwycięski muzyka uderza.
 Omdlały kozak, z uczuć zaburzenia,
 Z przewleklej walki, ze krwi upłynienia,
 Upadł na ręce pierwszego żołnierza.

26.

Nastała cisza po hałasie wojny:
 Spokojne pola, zamek już spokojny;
 A niedotłalym ogniem oświecony
 Prosi przechodniów z każdej świata strony.
 Uprzejme kruki, gęstemi gromady
 Krążąc w około, wabią do biesiady;
 Pobojuwiska radzi godownicy,
 Wilcy, tłumami, ciągną z okolicy.
 Zniszczenie nawet, co już w zupełności
 Swe panowanie nad zamkiem rozszerza,
 Tyle przestrzega bezpieczeństwa gości,
 Z takim te gody sprawia uciszeniem,
 Że można słyszeć przelot nietopérza;
 Chyba że zechce przyświecić płomieniem,
 To buchnie w żary przetlałym kamieniem.

27.

Przecie Nebaba żywo wyszedł z boju
 I łakomego brzydkiej śmierci garła;
 A choć mu rana do dna pierś rozdarła,
 I w niej krew czarna kipi, jak we zdroju,
 I choć posoką umalował skronie,
 I wzrok w strumieniu dymiącym się tonie, —
 Widać, po jego spokojnej postawie,
 Że odpoczywa po wojennej wrzawie.

Albo też, jeszcze i dotąd męczony
 Zuchwalstwem rządcy i Orliki zdradą,
 Zboczył, wędrując pomimo tej strony,
 By się nacieszyć obmierźłych zagładą.
 W tymże kółpaku, w odzieży tej samej,
 Szerniałej trochę pod krwawemi plamy,
 Siedział na złomkach w pół-zgorzałej bramy,
 I swoją pikę trzymał na sztych w ręce,
 Jakby miał bliskie odeprzeć natarcie.
 A w okrag niego doborni młodzieńce:
 Jedni, jak gdyby stanęli na warcie,
 Podnieśli piki nad zgorzałą wieżą;
 Tylko cierpliwi, że się ani ruszą,
 Choć płomień zewsząd dogryza im srogo!
 A drudzy, w kole gardłem flaszki mierzą;
 Tylko że nigdy dopić ich nie mogą!
 Inni znów, bardziej snem zmorzeni, leżą;
 Tylko że wiecznie tym snem leżeć muszą!
 Musi on całą nasycać się duszą,
 Że tak, bezwładny, wpatrzył się przed siebie:
 Pewnie on w cieniach pamiątek się grzebie.
 Tu każde miejsce tyle przypomina!
 Gdzie, w stosach żaru, kurzy się perzyna,
 Ten plac, bywało, uwieńczyły spisy,
 Kiedy swą młodzież zebrał na popisy.
 Miejsce gdzie trup ten, mordem oszpecony,
 Ostatkiem czucia, życia drga ostatkiem,
 Gdy mu natrętne zazierają wrony, —

Miejsce to uciech nieraz było świadkiem,
 Tu szkło dzwoniło, tu grzmiąły okrzyki;
 Za czyjeż zdrowie? Nebaby, Orliki!
 Mściwego samo udrećca wspomnienie.
 Aż z pod wnętrzości wydobył jęknienie:
 Zemsty czy śmierci? w tém odgadnąć trudno.
 Gdzie zwrócił ucho, by dosłyszeć wtóru
 Co może przypaść do jego czuć choru, —
 Tu raz ostatni pieścił się z obludną;
 A dziś, o trupa skłóciwszy się głowę,
 Dwa wilki wycia zawiody grobowe.
 Czegoż te ptaki, uderzając w skrzydło,
 I gniewnie kracząc, grzebią śród popiołu?
 Strawa zapewne warta ich mozołu:
 Bo wygrzebali: człowiek czy straszycło?
 Szerniały w ogniu, w pół-spieczone ciało:
 Ale Nebabie rozpoznać się dało!
 Nagle ku ziemi czoło mu opadło,
 I jeszcze naglej wzniosło się do góry.
 „Ho -hop, Nebabo!“ zawył głos ponury,
 I, z pośród ognia, wypelza widziadło.
 A choć nie wrzeszczy szalonym chychotem;
 Chociaż ją taniec nie zakreca chyży,
 Bo jej wnętrzości ciąga w pół-wysnute; —
 I teraz jednak, gdzie się tylko zbliży,
 Płasają iskry wichru kołowrotem,
 Wilki przy trupach wyją na jej nutę,
 I samo trupów oblicze się zmienia.

„Wody! ach, wody!“ popatrzyła Ksenia;
 Głos jej znajomy, i kochanka oko
 Na jej się wdzięki rozwarło szeroko:
 Jakby w głąb' Kseni pragnęło utonąć,
 Albo ją w piekło, i siebie pochłonąć.
 Ksenia się zbliża, z mniejszą coraz twogą,
 Oko Nebaby patrzy już mniej srogo:
 Już łono z łonem, już z licami lica,
 Już się i warga z wargą napotyka . . .
 Pocałowała Nebabę djablica . . .
 Teraz do reszty rozporze ją pika!
 Nie; cicho siedzi: tylko mu dreszcz mały
 Wypreżył członki, a źrenice zawsze,
 Zawsze patrzyły, patrzeć nie przestały,
 Dla Kseni nawet coraz już łaskawsze.

28.

Na rozburzoném Kaniowa zamczysku,
 Długo podróżnym broniący przystępu,
 Długo ponęta drapieżnemu sępu,
 Szkielet Nebaby lśnił w grobowym błysku;
 Jak straż zaklęta w pomieszkaniu mary,
 Jak mowny pomnik barbarzyńskiej kary.
 Ogień, co wszystko dokoła potrawił,
 Z młodców jego śladu nie zostawił;
 Poznana tylko z rany i odzienia,
 Szalona Ksenia leżała na trawie,

Jeszcze w modlącej przed lubym postawie;
 A w strasznej nocy zamku podpalenia,
 I topielicy skończyły się pienia.

29.

Gdy duch mój zwidzał Dnieprowe pobraże,
 I na Kaniowa odpoczął ruderze,
 Jeszcze tam wkoło wyszukał on ślady
 Dnia okropnego ostatniej zagłady:
 Jeszcze, po ścianach, krew się czerwieniła,
 Gdzie żona, gnana morderców pogonią,
 Mytą w krwi męża chwyciła się dłonią;
 Żadna wywabić nie mogła jej siła,
 Na miejscu startej, inna wystąpiła;
 Ale nieszczęsne zabójczynie ciało,
 W popiół przettłale, z wiatrem się rozwiało.
 W porosłej miękką murawą uboczy,
 Trafił na koltun kseninych warkoczy,
 Ale w nim drobny gnieździł się już ptaszek.
 Obok, leżała, z Nebaby ratyszczą,
 Stal, od płomienia, w ciemny żużel złana.
 A, błędząc długo wśród skośniałych czaszek,
 Odrzebał torban, między gruzem zgłiszczą,
 I jedną strunę z całego torbana.
 Ani lat, ani pogody koleje
 Nie mogły przyćmić złotego jej blasku;
 A wiatr, kochanek, z pobliskiego lasku,

Co noc z nią dawne odśpiewywał dzieje.
 I jam polubił chrypliwe jej tony,
 I, z jej dźwiękami z czasem oswojony,
 Gdym nieraz badał pilnie i ciekawie
 O całej zamku Kaniowskiego sprawie,
 W końcu rozwikłać mogłem tajemnicę:
 Co dało powód do zbrodni Orlice?

Gdy, w ciemnej nocy, przez widmy czy czarty,
 Czy, jak wieść była, za rządcy namową,
 Zdjęto wisielca (odpowiadał głową
 Z pod czyjej trupa uwieziono warty),
 Brat tej dziewczyny był wtedy na straży:
 A serce rządcy do Orliki biło;
 Życie jej brata w rękę rządcy było:
 Lach, nie puszczać pory co się darzy,
 Hardziej dziewczynie daje do wyboru:
 Tytuł swój żony, lub srogą śmierć brata; —
 Żadnej przewłoki, żadnego oporu!
 Biedne małżeństwo gdzie djabeł za swata!
 I tak, dla brata, miłość poświęciła,
 Rządcy małżeńską zaprzysięgła wiare;
 A dla miłości, inną ma ofiarę:
 Zabiła męża i siebie zgubiła!

30.

Miją lata, z latami zdarzenia.
 W ostatnim dymie zgasłego płomienia,

Wróciły w piekło szatany zniszczenia.
 Świetnie przejrzały nieba Ukrainy,
 Zabrzmiała śmiało cicha pieśń dziewczyny,
 Czas lasem okrył ostatki ruiny.
 Gdzie bojowiska czaszkami białały, —
 Ulewna burza brózdą tam zorywa,
 W skwarny dzień lata złocą się tam żniwa,
 Kwiat się tam, z wiosną, wykluwa nieśmiały.
 Złomki szubienic świecą próchnem z ziemi.
 Nad zwycięzcami, nad zwyciężonemi,
 Trawą usłana, mogiła zapada:
 Tam błędny żebrak do snu pacierz gada.
 Piekła za wojną zatrzaśnięto bramę.
 Znów tenże pokój, i

PRZYPISY.

W powstaniu na Ukrainie w r. 1768, zamek Kaniowski, równie jak kilka innych w tej okolicy, był zburzonym i spalonym przez hajdamaków. Jest podanie, iż żona rządcy, czyli, jak wtenczas nazywano, gubernatora zamkowego, pojmana przez kozaków, i już ranna, potrafiła się jeszcze im wymknąć, a uciekając, przed ich pogonią, po pokojach i wałach zamkowych, coraz słabsza, opierała się o ściany, póki jej nie dognano i nie zamordowano do reszty. Gdzie tylko dotknęła się ścian ręką skrwawioną, zostały ślady; i mówią, że krwawe te znaki nigdy się nie dały zetrzeć, i trwały dopóty dopóki tylko były jakie szczątki murów zamkowych. Te, zresztą, gruzy dopiero przed kilku laty znikły zupełnie. — Kaniów jest małe i liche miasteczko; mieszczanie jednak jego i magistrat mają jeszcze niektóre swobody i przywileje, nadane im od królów polskich. Leży w prześlicznym położeniu nad Dnieprem, rozrzucone pośród urwistych brzegów jego.

1.

Podług mniemania ukraińskiego ludu, nawet zbłądzenie w podróży nie jest dziełem przypadku. Czart, którego tam wszędzie pełno, ściga wędrowców, i rozmaitemi sposobami stara się ich w bezdroża uprowadzać, a wichur nocny uważanym jest za pierwsze jego narzędzie do obłąkania i najświadomszych nawet położenia miejsca.

2.

Majaczeje.

Wyraz miejscowy. Słowo majaczyć nie ma odpowiedniego w czystej polszczyźnie: migać w dalekości, ćmić się, ukazywać, — tłumaczy jakkolwiek jego znaczenie. Właściwie polskie majaczyć co innego wyraża.

3.

Janczarka.

Rodzaj strzelby tureckiej.

4.

„*Luba puszczyka siedzi naperzona.*“

Rozmowa puszczyków, jak i cała myśl prologu, jest osnuta na wyobrażeniu gminu: iż djabli wybierają nocy ciemne i burzliwe do wyprawiania swych pustot, i że puszczyki dla tego się śmieją, iż widzą wszystkie harce i dokazywania tych istot, które nasza mitologia gminna w pół-straszniemi, w pół-komicznemi wystawia. Prócz poetyczności pomysłu, autor miał i tę pobudkę wprowadzić

rozmowę puszczyków w swój czarodziejski prolog, że takowe pożyczania mowy ptakom często się natrafia w pieśniach i dumach ukraińskich, a właśnie jego zamiarem było korzystać ze wszystkich skarbów gminnej poezji naszej.

5.

Otumanili kozaka.

Otumanic: obłąkać, zaćmić zmysły.

6.

Iuno.

Zwykle i w słowniku Lindego, Iuna lub Iona. Autor tak zawsze używa tego wyrazu.

7.

„*Tam: nieszczęśliwy znikły we złym wichrze,*
„*Czerwony upiór, i t. d.*“

Są-to wszystko wyobrażenia ukraińskiego ludu. Według mniemań jego, wiatr kręcący się po polu, który, wreszcie, po tutejszych nieobejranych płaszczynach, nierzadko widzieć, jest coś niezmiernie złego. Opowiadają przykłady ludzi, których wichur ten spotkał na swojej drodze i którzy odtąd niewiedzieć gdzie zniknęli. Inną razą, nóż poświęcony rzucony w słupek kręcącego się wichru upadł na ziemię w tém miejscu krwią obryzany. Do tego wyobrażenia stosuje się wiersz w „*Maryi*“ Malczeskiego:

„*Ale że czart na stepie tumany wyprawiał.*“
Spadająca gwiazda jest, podług ich mniemania, la-

tawiec (rodzaj powietrznego złego ducha). O jego miłostkach z kobietami często posłyszeć można. Myślą także, iż zmarłe bez chrztu dzieci błakają się w powietrzu, jęcząc i narzekając, póki kto nie ośmieli się ich przywołać i chrztu udzielić.

8.

Z odźwiérka.

Toż samo co: Odrzwi.

9.

Cyrka.

Cyrkać, wyraz to miejscowy, znaczy skrapiać, tryskać.

10.

Cyt! „*ho-hop, ho-hop! odgłos smutny, znany.*

Wprowadzona tu osoba topielicy Kseni jest także myśl pojęta w duchu miejscowych wierzeń i uprzedzeń. Nic się w Ukrainie ważnego nie stanie, czegoby nieprzepowiedziało nadzwyczajne zjawisko, — coś dziwnego, coś tajemniczego. Bunt ukraiński, który tu nazywają koliszczyzną, i szczególniej rzeź humańska (o której nawiasem wspomniemy, są współczesne i przez świadków pisane poemata i opisy, zapewne nędzne pod względem sztuki, lecz ważne jako najwierniejszy obraz tej krwawej dramy n. p. Cały niemal obraz tych wypadków zamyka się w poemacie pod tytułem: Rzeź Humańska. Napisał go niejaki Darowski, który był w ów czas uczniem i całą rzeź

przesiedział w kopule farnego kościoła. Szacowny ten dla swojej autentyczności zabytek, w rzadkich bardzo rękopisach krąży po Ukrainie. Czytałem go w takim wieku, że go jeszcze ocenić słusznie nie umiałem) miała także być zwiastowaną przez nadprzyrodzone widzenia: między innymi, przez dziwną obłąkaną kobietę, czy opętaną, która, z hukami i niezrozumiałą mową, przebiegała sioła Ukrainy. — Niemam ja tu myśli tłómaczyć albo usprawiedliwiać pojęcia autora; zwracam tylko uwagę na miejscowy koloryt obrazu.

11.

Bajdak.

Gatunek łodzi używanój na Dnieprze.

12.

Seledec.

Kozacy ukraińscy noszą krótko strzyżoną głowę, z długim na boku kosmykiem włosów, który zwykli uplatać w wstążki, miłośne upominki swych dziewczew.

13.

Czy się spodziewać starosty przybycia?

Mikołaja Potockiego, dziedzica tych włości.

14.

Czerepiany dzbankiem.

Czerepiany, toż samo co gliniany.

15.

W czaharze.

Czahar: las drzew rozmaitego gatunku.

16.

Szwaczka.

Jestto prawdziwe nazwisko kaniowskiego mieszczanina, który tamże robił powstanie w r. 1768.

17.

*Leć do starosty. On, wśród Bohusławia,
Poi gromady, rozstrzeliwa baby.*

Mikołaj Potocki, banit, starosta kaniowski i bohusławski. Jest-to jedna z osób żyjących w podaniach gminu. Jego życie, bezprawia, później pokutę, opowiadają w tysiącnych szczegółach. Są pieśni o nim, o jego miłośkach, i okrucieństwach. Jeszcze teraz można znaleźć starców, którzy go znali osobiście; a powieść ich lubo nie w tak dalekie przenosi czasy, ale w jakże dalekie od nas obyczaje i zdarzenia!

Starosta kaniowski leży w Poczajowie, i jego ciało pokazuje, ze szczególną atencją, miejscowi księża Bazyliani. On-to, w skutek pokuty za nabrojone w Ukrainie sprawy, pyszny ten klasztor wydzwignął i nadał.

18.

. . . . w dalekim futorze.

Futor: zagroda na łące, lub pośród lasu, w pewnym oddaleniu od wioski.

19.

Już ja się pewno toi nie napiję.

Toja: u botaników, tojad mordownik. Własno-

ści jego narkotyczne uważa lud pospolity za lekarstwo na smutki.

20.

Bajrak.

Znaczy to lasek zarosły wśród wąwozów.

21.

. . . . krętym jarem wloką.

Jar: wąwóz.

22.

*Pan wojewoda z Gontą kończy dzieło;
Wkoło, szubienic stawia tysiącami.*

Wojewoda Stempkowski pokromił bunt ukraiński. Trzeba wyznać, że kary nie ustępowały w srogości zbrodniom przestępców; one rozjątrzyły jeszcze bardziej niż przestraszyły lud ukraiński.

23.

A głos watażki.

Watażka: herszt.

24.

Nie wieża lawry.

Lawra pieczerska czyli klasztor przy pieczarach albo grobach wielu świętych i błogosławionych, w Kijowie.

25.

. . . . rzuc ratyszczce.

Ratyszczce: spisa, włócznia.

26.

O, nieraz, może, na tym jego szczycie

Rozwiewały się przestrogi znamiona i. t. d.

Jest-to szczegół dochowany tradycją. Podczas ciągłych nabięgow tatarskich, kiedy lud okolicy wiedział, że horda w pobliżu koczuje, dla bezpieczeństwa, zostawiał jednego ze swoich na jakiej wyniosłej i panującej mogile, lub na wierzchu wysokiego dębu, aby upatrywał Tatarów, i dawał znać o zajrzanych wywieszeniem białej chorągwi lub chustki. Lud pracujący po polach, skoro zajrzał bielejące znamię popłochu, uciekał w znajome sobie kryjówki. Ukraiński telegraf!

To mi napomina drugi szczegół. Słyszałem od mieszkańców pamiętnego w naszych dziejach miasta Czehryna tak tłómaczony początek zwyczaju, powszechnego w Ukrainie, a zwłaszcza w tej okolicy, zbierania się ludu, szczególnie chłopców i dziewcząt, na środek siola, który oni nazywają ułycia, ulica, dla śpiewania różnych pieśni, co się, nieraz, daleko w noc przeciąga. W czasie koczowania hordy w tych stronach, lud, wiedząc jakie klęski ponosi kiedy na śpiących natrafia Tatarzy, żeby zawsze miał przytomność i gotowość chronić się w razie niebezpieczeństwa, na noc zbierał się razem, i, dla odpędzenia snu, śpiewał narodowe dumy i pieśni. Zwyczaj został, chociaż niebezpieczeństwo, co mu dało początek, minęło.

Dalsze wiersze oddają sprawiedliwą zapłatę zasługom cienistych dębów Ukrainy, które, w ciągłych zaburzeniach i wojnach, zapewne, niejednemu chroniącemu się śmierci, były pewniejszą opieką niż ściany własnego jego domu.

27.

Albo ten wieczór, ten ogień kupały!

Zwyczaj palenia ogniów w wilią Ś. Jana (polskie Sobótki) zasięga dalekiej starożytności; on się i w Ukrainie przechował. Nazywają go tu kupało. Pospolicie, kiedy dziewczęta wiejskie zaczęły swój obrzęd, do którego i kapanie się należy, młodzież płci drugiej wybiera te chwile żeby na nie niespodziewanie napaść: wtedy cicha nocna scena zmienia się w najtłumniejszą: krzyki, śpiewy, rozlegają się w powietrzu. W 1826 roku autor widział podobną scenę na rzece Taśminie: tu ona się odbywa przy jednej z najpiękniejszych wód w Ukrainie. Jezioro i wieś Białozor leży blisko Śmiły, w rozległych sosnowych lasach: znacznego ogromu, szyba, jasna, błękitna, zwierciadlana, błyszczy wśród rozstępu siniejących lasów; wieś, prawdziwie ukraińska, ogromna, dobrze zabudowana, ludna, mająca zapewne do 2000 samych dusz męskich, rozciąga się prawie w koło jeziora. Obraz światła rybackich na jeziorze, wspomniany w tekście, powtarza się tu każdego wieczora, i tworzy prześliczną wodną iluminacją.

28.

Już w oczeretach . . .

Oczeret: trzcina.

29.

Cóż-to za dziwna strona się odsłania? i. t. d.

Widok ten jest, prawdziwie, rysowany z natury. Zaraz za miasteczkiem Moszny ciągną się, na szerokości może trzech verst, bagna i trzęsawiska nazywane Irdyń. Najpewniej jest to stare łożo Dniepru. Prawy brzeg tych bagien otoczony jest wysokim pasmem gór wznoszących się piętami, rozciągnionych szeroko, i okrytych gęstym lasem. W tém miejscu, to jest na pośrednim paśmie, hrabia Woronców, właściciel miejsca, założył pałac i zwierzyńiec, na 8 verst rozciągniony po górach. Pałac otoczony jest zabudowaniami wiejskiego gospodarstwa; wszystkie proste, lecz najgustowniej urządzone; i każdy dziedziniec, ze swemi zabudowaniami, składa najpiękniejszą formę angielską. Dziedzińce ubrane w drzewa i krzewy, mury domów w porozpinane gałęzie akacyi białej i płaczącj; schody, ganki, balustrady, — w kwiaty i różnokolorowe pachnące powoje. Lecz samo położenie piękniejszym jest nad wszystko. Z jednego punktu trochę wyżej za pałacem jest szczególny widok, prawdziwie nieogarniony. Jest-to cypl jednej góry (nienajwyższej jeszcze): pod nogami masz widok pałacu i kwiecistych dziedzińców, schody gór

okrytych lasem; dalej, pierwszym planem obrazu są bagna Irdynia, zarosłe oczeretem, i, gdzieś tam, olchą; za niemi widok miasteczka Moszen; dalej jeszcze rozciąga się Dniepr, jakby siłą wstążką; — a tam, z drugiej strony, niskie, piaszczyste brzegi, wieś, miasteczka i monastypy już połtawskiej gubernii. Oko ma zewsząd otwarty widok na promień siedmiu lub ośmiu mil w około.

30.

. . . ich kurzenia.

Kurzeniami nazywają poziome chaty kozackie, i strażnicze szalasy, z których dym, niemając oddzielnego dla siebie otworu, wychodzi całą powierzchnią słomą krytego dachu.

31.

Wielkie przy Mosznach było krwi rozlanie.

W istocie wojska polskie pierwszy raz doścignęły powstańców w pobliżu Moszen, na Irdyniu. Zdarzyło się autorowi iż, będąc w tej okolicy, slyszal właśnie na miejscu, opowiadanie o tém spotkaniu przez czerńca, dozorecy mlyna należącego do pobliskiego monastypy, naocznego świadka. Tu Irdyń nie jest tak grząski; w suchą porę daje się przejeżdżać; w większej części zarosły olchami niepospolitę wielkości, gdzieś tam tylko biją zdrojowiska i stoją wody. Wszędzie po lasach sosnowych od Śmiły aż do Moszen, były kurzenia hajdamackie, i tradycya pokazuje te miejsca.

Tu właśnie jest miejsce powiedzieć, jak potrzeba żałować, że nie mamy ani dobrej mapy starożytnej, ani szczegółowej jeografii, ani zbiorów żadnych historycznego interesu, choćby historycznej ciekawości. Uczony metropolita kijowski Eugeni za pomocą należącego do siebie duchowieństwa i odezwę do obywateli krajowych zaczął zbierać te drogie zabytki przeszłości, lecz nie wiemy, jaki skutek wezmą jego starania, zależące od osób, po większej części lub obojętnych, lub nie znających ceny tych walających się w pyłe ich nóg pamiątek. Dziś jeszcze za każdym krokiem napotykają się nierozorane do szczytu mogiły, pod trawą i lasem, ostatki zamczysk polowych, i słysząc można ciekawe o miejscowych wypadkach podania. Ale my to puszczamy mimo oka i ucha: tymczasem wiek mija, pług równa dzieło czasów minionych, pokolenie po pokoleniu wymiera, a my tracimy skarby, których nawet nie znamy wartości.

32.

..... *zajęczała płacha.*

Płacha: klinga, lama.

ANNA Z NABRZEŻA.

POWIEŚĆ.

I. Powieść wstępna.

Znane wam Jana Kazimierza lata;
Burza z polskiego nie schodziła świata:
Grom bił po gromie, a ciągnęła nawała
Lała dżdżem krwawym, lub nim zagrażała.
Czasami jednak z téj to owéj strony
Błysnęły niebios wdzięczniejszych zwierciadła,
Jasność pokoju to tu, to tam padła,
I wolniej westchnął naród pokrzepiony.
Takiéj pogody zaświeciły gwiazdy,
Gdy mir z Szwedami zamknął ich najazdy.
Jak po przelocie martwéj mrozów pory
Powietrze wiosny roi się pszczołami,
Tak się roiły wojenne tabory
Na wszystkie strony zbrojnymi mężami.
Leciał syn boju w rodzinne zagrody
Pogrześć się chwilkę przy własném ognisku,
Pokrzepić ducha w kochanym uścisku,
Łzą ócz kochanych opłukać pierś krwawą,

Leciał ku szczęściu, ze szczęściem, ze sławą;
 A leciał szybko z wieściami w zawody,
 Aż skrzydło zbroi wiatrami gwizdało,
 Aż się proporca drzewce podawało;
 Bo krótka chwila tej drogiej swobody,
 A dziki odgłos wojennego rogu
 Może go jeszcze zawróci od progu.

Mieszkańcy zamków bądźcie w gotowości,
 Warowne bramy szeroko otwórzcie,
 Zwodzone mosty zawczasu połóżcie,
 I śpieszcie naprzód z powitaniem gości;
 Ledwie ujrzenie że się ślak zapyli,
 Aby gość drogi nie stracił i chwili,
 Bo dziki odgłos wojennego rogu
 Może go jeszcze zawróci od progu.
 Na długość zamków zastawiajcie stoły,
 A ucza wszemu ludowi niech służy,
 Niechaj lud cały używa wesoly;
 Kto wie czy taka radość się powtórzy?
 I krocie zamków otworem już stoją,
 I biesiadnicy tłumami się roją,
 I usta ogniem pieścizoty goreją,
 I serca w ogniach miłości topnieją,
 I lzy roskoszy z ócz tysiącznych płyną,
 I tchnienie szczęścia nad całą krainą.
 Na jednym tylko zamku nie podziela
 Jedną myśl tego całego wesela:
 Mgła smutku leży na Anusi czole,

A radość wszystkich zaostrza jój bole;
 Cóż tak dolega biednemu dziewczęciu?
 Całe jój szczęście leży w jój objęciu.
 Ojciec, pan zamku i rozległych włości,
 Głośny przed laty dzielnością bułatu,
 Dziś jako wojski, opiekun powiatu,
 Czuwa nad córką okiem opatrności:
 Szczęście jój ceni nad wszystkie dostatki.
 Matka Anusi? — to matka nad matki:
 Z jaką rokoszą poczęła to dziecię,
 Z taką gotowa poświęcić mu życie.
 Czas wiosną jeszcze chucha na ten kwiatek —
 Anusia nie ma siedemnastu latek.
 Jak jedynaczkę przyroda ją kocha;
 Tysiąca dziewięć okrutna macocha,
 Tysiącu dziewięć wyrządziła szkody,
 Aby z niej stworzyć pięścizło urody;
 Cóż bo to za wzrok ze swém niebem modrem!
 Co za płeć jasna, co to za rumieniec!
 Co to za bujny ciemnych włosów wieniec!
 Jaki tam stanik, a nad jakim biodrem!
 Jaka ust pełność, jaki zębów sznurek!
 Jaka tam szyjka, jaki piersi wzgórek!
 Gdzie dotkniesz, czujesz aksamitu pyłek,
 Gdzie okiem rzucisz, dojrzyś wszystkich żyłek.
 Smukłą jój kibić ująłbyś w pierścioneck.
 Z marmuru każdy utoczony członek,
 Kropla bez śladu spłynie ciątkiem gładkiem:

Motyle krążą nad nią jak nad kwiatkiem;
 Głos jój jak miła piosenka gra w uchu;
 Czarami tańca chytyta w każdym ruchu:
 Kto ją zobaczy, ten mówi do siebie:
 Nie! to aniołek ukradziony w niebie!

Czegoż się smuci twa dusza dziewicza?
 Patrzaj! Nabrzeże leży tak uroczo,
 Dokoła taka roskoszna skał dzicza,
 Zbruczowe fale tak wdzięcznie bełkoczą;
 Kraj taki cudny w ich się lustrze pławi,
 Tak cudnie w ogón roztacza się pawi,
 W lasy tak ciemne, w tak zielone pola,
 W tak śmiałe wzgórze, w jary tak zapadłe,
 W wioski bez liku tak gęsto nasiadłe,
 Że masz pod okiem cały wdzięk Podola! . . .
 O! darmo ojciec, darmo matka pieści,
 Darmo ją urok otacza niewieści,
 Darmo świat cały, wesolém obliczem,
 Leży przed okiem i sercem dziewiczem,
 Dla ócz i serca świat cały jest niczem,
 Anusia kocha! —

Słuchajcie powieści.

Anna nie rosła jak kwiatek na puszczy.
 Znane sąsiedztwu Nabrzeże ustronne,
 Jak pszczołom łąki kwieciste i wonne.
 Nie brakło Annie na zalotnej tłuszczy,
 I to od dawna, jeszcze w owe czasy,

Kiedy na dziewczę patrzą jak na dziecię,
 Bo Anna dziwo! dzielnny kwiat jój krasy
 Przed czasem pączka odrzucił zawicie,
 A jój słoneczko zaledwo poranne,
 Skwarem południa suszom dopiekało.
 Tylko jój serce o tém nie wiedziało:
 Z serca i z myśli poznasz dziecko-Annę.
 I czém dla wiatru hołd polnych zapachów,
 Tém dla niej były hołdy wszystkich gachów.
 Byłaż-to płochość? O! nie! lecz do duszy
 Czérstwój i polskiej żaden nie przystawał:
 Ten, jednak, marsem udanym się puszy,
 Tamten mdlącego, bladego udawał,
 Ten ją szturmuje półlokciowym wasem,
 Tamten chce podbić wdzięcznym w tańcu płasem,
 Ten ufny w lice, jak lice dziewczynki,
 Muska się, mizdrzy, stroi czułe minki;
 Ten rwie jój kwiatki, ten motylki chytyta,
 Ten znów poeta, sielanki jój czyta —
 A Anna na to? — o jój dowcip dziarski —
 Choremu swata starą babę wróżbę,
 Tanecznikowi chwali tan tatarski,
 Wymuskanemu ofiaruje muszkę,
 Poecie pilnie nadstawuje ucha,
 A ku kraczącej wronie mruga oczkiem,
 Kwiat oskubała, na motylka dmucha,
 Po pod wąs groźny przesuwają się boczkami,
 Figlarny ukłon śle zalotnej rzeszy,

I z pustym śmiechem popędziła dalej.
W trop za nią jeździec Pegaza choć pieszy;
Zhamuj się, biedny poeto, nie szalęj!

Jeśli ją dziwi na świecie rzecz która,
To bisurmańska w pocie natura:
Nie dosyć jemu na haremie Feba,
Przebiega wiecznie i ziemię i nieba,
Biedne piękności jak korsarz ugania,
I na co? — żeby miał przedmiot wdychania.
O! jakiegokolwiek twoje przedsięwzięcia,
Co cię przykuły do śladów dziewczęcia;
Wróć się, poeto — nie dla niej sielanka.
Goreje, żyje poezją jej dusza,
Lecz ta poezya całkiem nie pastusza.
Popatrz w tę duszę, zobacz tam kochanka,
Co go stworzyły z własnego płomienia,
W kryjówkach serca własne jej natchnienia:
Postać dorodna, gibka, okazała,
W pogodnym oku rycerski żar pała;
A na dnie oka widać duszę nagą,
A duszę silną, wzniosłą, kochającą;
Twarz kwitnie zdrowiem, jaśniej odzwaga;
W każdym oddechu serdeczne gorąco,
Siła i urok w każdym piersi dźwięku,
Każdy ruch pełen i siły i wdzięku;
A na nim zbroja błyszcząca, usarska,
A pod nim konik rwie się, tańczy, parska;
Bystry jak iskra, łagodny jak jagnie,

Do każdej myśli rycerza się nagnie:
Jak małżonkowi uległa niewiasta.

Trzebaż go widzieć śród krwawej gonitwy,
Rycerza Anny! — tam to on podrasta
Całą pięknością, całą zgrozą bitwy.
Tam to duch Anny buja jak poeta.
Widzi go, sunie świetny jak kometa,
Za nim huf jego jak komety miotła:
Wtórzy ich krokom głuchy odgłos kotła.
A z drugiej strony éma wrogów ponura,
Straszna, szumiąca, jak gradowa chmura.
Przez chwilę cichość — zagrzmiały okrzyki —
I w jeden obłok zmieszały się szyki,
W obłok pokryty kurzawy całunem.
On tylko widny swęj duszy ogromem,
Bojową chmurę rozpruwa piorunem,
Wróg się rozpryska gdzie uderzy gromem,
Jak lekka woda pod upadkiem skały;
Gdzie zwróci okiem, gdzie pałaszem skinie,
W tę stronę ogrom jego wojska płynie,
Jak się za wiatrem toczą morskie wały;
Cały bój przy nim, cały bój przez niego,
Jak słup kurzawy koło wichru swego.

Takiego Anna tworzy sobie wiecznie,
Takiego tylko snami serca kocha.
Męża rycerza trzeba jej koniecznie,
Coś jak Czarniecki, gdyby młodszy trocha
I niezonaty! — Ah! co to za szkoda!

Co to za szkoda, że jeszcze tak młoda,
 Że o lat tyle na świat się spóźniła.
 Pewnie już dzisiaj byłaby Czarniecką,
 Ojciecby w córce witał hetmanowę;
 Lecz ufność w Bogu — jest rycerzy siła ...
 Tak sobie marzy lube, puste dziecko,
 Na jednym rękę pochylając głowę,
 A drugą łapiąc w dziecinną zabawie
 Cienie, któremi gałązki brzożowe,
 Za falą wiatru biegają po trawie.

Baw się, o dziecię! przeczuwaj, prorokuj!
 Nikt nie podejrzy, nikt tu nie podsłucha;
 Dokoła ustronń zarosła i głucha:
 Chyba wiatr błędny zamiesza jej spokój.
 Było to miejsce za okopem zamku,
 Nad brzegiem rzeki, na skały ułamku,
 A wystrzelone w szczyt przykry, wysoki:
 Kolczatym krzewem jeżyło swe boki,
 A głowę w brzozy stroiło posępne;
 Miejsce zaledwie dostępne dla kozy,
 A co dla kozy, to Annie dostępne.
 Baw się więc dziecię; przeczuwaj, prorokuj!
 Zniknęłaś światu w cieniach twojej brzozy.
 Nie łatwo w życiu o podobny spokój.
 Kto wie czy spotkasz kiedy taką chwilę,
 W myślach sny takie, w sercu ciszy tyle!
 Coś pieśń podobną szeptać jej musiała,
 Bo tak używa zmysłami wszystkimi

Czarów ustronia, i duszą tak całą,
 Że zapomniała o wszystkim na ziemi.

Na raz od zamku głos hukania leci,
 Za pierwszym idzie i drugi i trzeci,
 A każdy coraz bliżej, silniej dzwoni,
 Wkrótce jednemu kilka towarzyszy,
 A wszystkie błędą dokoła ustroni.
 Anusia słucha, imię swoje słyszy,
 Skała wyraźnym odbija je echem.
 Znane-to głosy, ale w ich rozdźwięku
 Jest coś dziwnego, coś dziko-złowieszcze.
 Sercem Anusi wstrząsły trwogi, dreszcze,
 Zrywa się, zbiega ze skały z pośpiechem,
 I już na służby zamkowej jest rękę.
 A okrzyk wszystkich do zamku co żywo!
 I w zamek zbladli, przestraszeni biegną.
 Zkąd ten strach nagły? Co to jest takiego?
 Czy widzicie tam! tę tłuszcę straszliwą
 Co jak noc czarna wali się ku rzece?
 Widzicie w ogniach całą okolicę?
 To nowe bunty, nowa rzeź dokoła.
 Chmielnicki znowu wzburzył wszystkie sioła;
 Całą Ruś podniósł wicher hajdamaczy.
 Za lada chwilę Nabrzeże osaczy
 Szalonym tłumem rzezi i rabunku.
 Godzina później — Anna bez ratunku
 Mogłaby zginąć — ale dzięki Bogu,
 Już jest bezpieczna, już w zamkowym progu.

Niemarne były słowa wiernej służby:
 Prędko się w pewność zmieniły jej wróżby.
 Za ledwie wojski, żołnierz doświadczony,
 Miał czas przyrzadzić zamek do obrony,
 Już tłum kozacki, jak rój rozdrażniony,
 Snuł się i huczał wkrąg zamkowych szańców.

Nieliczna była załoga zamkowa,
 Lecz bój nierówny, dla niej rzecz nienowa,
 Nieraz dowiodła tego z cną pohańców,
 Zwłaszcza gdy w sprawie wojski ma kierunek,
 On równie dzielny głową i rękoma:
 Zresztą pokrzepi niebieski ratunek;
 A więc na murach jak mur nieruchoma,
 Niema a groźna jak nabite działa,
 Spokojnie chwili napadu czekała.

Cóż tam na wieży i w tym okna brzęku,
 Że wszyscy patrzą przez chwilę w tę stronę,
 A najgroźniejsze lica rozjaśnione?
 Anna, ich dziecię błysnęła w okienku.
 Nad cały zamek podniesiona wieżą,
 Obwiana śnieżną, fałdzistą odzieżą,
 Odmalowana na ciemnym tle ramek,
 W blasku urody, w modłów zachwyceniu,
 Podobna była świętemu zjawieniu,
 Któreby brało w swą opiekę zamek.
 Dąży ku niebu ręką i żrenicą;
 Po chwili oczy i ręce wdół zniza,
 Usta coś szepcą, dłoń robi znak krzyża

Nad służbą zamku! Błogosław dziewico!
 O błogosław im! bo bije godzina
 Straszna, stanowcza — szturm się rozpoczyna.

Dziki, wyjący okrzyk poszedł tłuszcza,
 Spisy pomknęły nieprzejrzaną puszcza,
 Jak jeden człowiek ruszył się tłum cały;
 A w tém go gromy zamku powitały.
 Anna skoczyła, zadrzała, pobladła,
 Zamknęła oczy i na klęczki padła.
 Nie jedno ona zna niebezpieczeństwo,
 Lecz nigdy jeszcze nieprzyjaciół tyle,
 I śmierci w takiej nie widziała sile,
 Nic więc dziwnego, że niewieście męstwo
 Z młodego serca uciekło na chwilę.
 Kiedy na nowo powieki otwarła,
 Bitwa z całego ryczała już garła,
 Szczękiem żelaza, grzmotem samopałów,
 Jękami śmierci, mordu okrzykami:
 Wiła się zmiją na około wałów,
 Zewsząd mur gryzła żelaznemi kłami,
 Ale jej głowa i ciało olbrzymie
 Ukryte oczom w kurzawie i dymie.
 Podobny widok wędrowce ciekawi
 Mają, niekiedy na wysokiej górze,
 Gdy jej wierzchołek w pogodzie się pławi,
 A spód w nawalnej zatopi się chmurze.
 Widok doliny ginie wtedy oku,
 Chyba że piorun przedrze pierś obłoku.

Tak pod nogami Anny bitwa wrzała
 Dymem pokryta — a wrzała już długo,
 Gdy na raz jeden zaryczały działa
 I rozkroili chmurę strzału smuga,
 I pole walki na chwilę odkryły.
 Ten strzał jak wichur w tył wroga odrzucił.
 Ale po chwili urósł w nowe siły
 I z podwojoną wściekłością powrócił:
 Cały się teraz wyteżył ku bramie.
 Dzielne jest wojska zamkowego ramię,
 Ale wróg także równy mu uporem,
 A większy liczbą. Brama pod toporem
 Jęczy, chwieje się, wkrótce się rozłamie.

Szczęściem że Anna niewie o tój trwodze:
 Jój oko, jój myśl, gdzie indziej zwrócone.
 Za wsią, od wschodu, wstaje pył na drodze,
 Toczy się szybko, prosto w zamku stronę:
 Kiedy niekiedy strzelą z niego gwiazdy.
 Zawisł nade wsią, po chwili, opadłszy,
 Odkrywa oku oddział zbrojnej jazdy.
 Duszą niż okiem Anna więcej patrzy,
 I prawie pewna że to oddział braci.
 Dostrzegła nawet wodza ich postaci,
 A na nim zbroja błyszcząca, usarska,
 A pod nim konik tańczy, rwie się, parska.
 W tém wyskoczyło trzech jeźdźców z szeregu,
 Każdy z nich do wsi inną stroną wpada,
 Przebiegli wioskę w całym konia biegu

I powrócili — widać że to zwiada.
 Szyk się natychmiast rozłamał na troje,
 I różną drogę wziął każdy odłamek;
 Lecz bliżej zamku każdy drogę swoją
 Choć z innej strony skierował na zamek.

Anna do wodza oko swe przykuła,
 Jój serce ciągle nad jego oddziałem.
 Póki się droga gęstwiną wsi snuła,
 Ten zastęp lekkim pomykał się czwałem,
 Ciągnął się kosą komety jaskrawą;
 Ale jak tylko na błonię stanęli,
 Co czystym polem wieś od zamku dzieli,
 W jednej się chwili wyprężyli ławą;
 Trąby i piersi wrzasły w przykre tony,
 I miecze spadły w tłum szturmem zjuszony.
 A w tójże chwili w odpowiedź zagrzmiały,
 Z dwóch stron przeciwnych dwa drugie oddziały.

Tutaj zupełna zmiana w bitwy scenie;
 Schwycona zewsząd za karki, z nienacka,
 Struchlała zrazu tłuszcza hajdamacka,
 Wydała głuche, urwane stęknienie,
 Jak człowiek nagłym ciosem ugodzony,
 I od napadu przeszła w stan obrony.
 Obrona trudna — tam! od murów strony
 Rzęsny, piekielny grad postrzałów siecze,
 A tu od pola tną usarskie miecze.
 Obrona trudna — ale jój konieczność
 Zmieniła popłoch w rozpacz waleczność,

A zaufanie w liczebną przewagę
 Skrzepiło jeszcze na chwilę odwagę.
 Bezsilna rozpacz, marne ich nadzieje!
 Bo kędykolwiek tłum w obłok zgęstnieje,
 Wódz polskiej jazdy z piorunem bułata,
 Z wichrem konnicy we środek się ciska,
 A obłok tłumy krwawym deszczem pryska,
 I mgłą na wszystkie strony się rozłata.
 Darmo się koza między góry miecie,
 Kiedy jój orzeł usiadzie na grzbiecie;
 Wszelki tam opór na nic się nie przyda,
 Gdzie raz usarska może dosięgnąć dzida.

Dawno już dawno jak sokoł popłochu
 Nad chwiejącą się okrąża gromadą,
 Upadł nakoniec w pośrodek motłochu
 I rozprószył go, jak gołębie stado,
 I gnał bez ładu, jak stado gołębie,
 Przez lasy, pola i Zbruczowe głębie.
 Na bojowisku tylko martwe ciała,
 Tylko pieśń jęku ponuro stękała.
 Tylko zwycięstwem grzmiała zamku działa.

Anna, co z swego wzniosłego okienka
 Widziała walkę, a teraz gonitwę,
 Podnosi ręce, do modlitwy klęka;
 Ale niepokój miesza jój modlitwę
 Myślą światową — ach! ona się lęka,
 Może ta jazda, zamku zbawicielka,
 Może nie wróci ze swojej pogoni:

A jój ciekawość, jój wdzięczność tak wielka!
 Kto oni tacy? jak tu przyszli oni?
 A ich dowódzca? to coś nadzwyczajne;
 Co coś takiego jak sam święty Jerzy,
 Lub niezwalczony ruski wojewoda,
 Ach! on uścił wszystkie sny jój tajne,
 On jest już dla niej rycerz nad rycerzy.
 I onby od niej miał być niepoznany?
 Niechże ją, Boże! nie spotka ta szkoda,
 Boby z niej w sercu otwarły się rany.

Radość! on wraca, tryumfalnym szykiem,
 Surmy zwycięską pieśnią się ozwały,
 Zamek radośnym odpowiedział krzykiem;
 Pan wojski konno wyjechał przed wały
 Na powitanie swych gości walecznych;
 Krótkie rycerskie było powitanie:
 Ściśnienie ręki, kilka słów serdecznych
 Ze stron obudwuch — a więc i poznanie.
 Jan, imię wodza, Zapłocki, nazwisko:
 Pieczętuje się, od Lecha, Rawiczem;
 Odwieczne jego rodziny siedlisko,
 Wielka włość Zapłot leży nad Smotryczem.
 Ta usarya nieliczna lecz chrobra,
 A która swoim dowódcą go mieni,
 Stała z własnej rodzica kieszeni,
 Dla pospolitej świętej sprawy dobra,
 A przeznaczona panu Stefanowi,
 Który do pułku swojego ją wcieli:

Bo wojewoda znany ich domowi
 I nawet pono jest z nim w parenteli.
 Traf tylko, ale traf błogosławiony,
 Za co niech będzie chwała Najwyższemu —
 O trwodze zamku dał wiadomość jemu
 I w czas go jeszcze przywiódł dla obrony.
 Teraz rad byłby, jak każe powinność,
 Gościńcem swoim puścić się niezwłocznie.
 Wszakże chce uczcić wojskiego gościnność,
 I przez chwil kilka na zamku odpocznie.
 Tém chętniej na to przystaje, że rota
 Po trudnej sprawie wytchnąć trochę musi;
 A może nawet zgromiona hołota,
 Jeszcze się w zemście o zamek pokusi.

Bądź co bądź, w toku podobnej rozmowy,
 Wjechał nasz usarz na dworzec zamkowy.
 Ujrzał kobiety na zamkowym ganku
 I w téjże chwili znalazł się w ich wianku,
 Gdzie słów serdecznych i łez wdzięcznych dęszczem
 Młodego zbawcę oblano na nowo.

Czegoż on zadrzał, jakby trwogi dręszczem?
 Ach! on zobaczył dziewicę zamkową
 Lecz zostawimy co doświadczyć zawsze,
 Co męską myślą wyobrazić snadno,
 Przed twarzą ładną, jak anielska ładną;
 Uczucie Anny jest dla nas ciekawsze,
 Tam! jój własnymi zajrzejmy oczami.
 To on! to ten sam! poznała od razu,

Jak żeby żywcem wyjęły z obrazu,
 Który tworzyła swój duszy barwami.
 Postać dorodna, gibka, okazała,
 W pogodném oku rycerski żar pała,
 A na dnie oka widać duszę nagą,
 A duszę wzniosłą, tkliwą, kochającą;
 Twarz kwitnie zdrowiem, jaśniej odwagą;
 W każdym oddechu serdeczne gorąco,
 Siła i urok w każdym piersi dźwięku,
 Każdy ruch pełen i siły i wdzięku.
 Choć ma na zbroi plamę krwi nie jedną,
 Ta krew rycerskim wdziękiem go upiększa.
 Lecz jego lica to płoną, to bledną;
 Bładość przemaga, coraz, coraz większa,
 Blask oczu zmierzcha, chwieją się kolana . . .
 „Matko! on ranny! on musi być ranny!”
 Szepnęła matce Anna pomieszana.
 Serce prorocze, serce jak u Anny
 Przejrzało, zgadło przez zbroi powłokę;
 On miał ran kilka, a rany głębokie
 Nie czuł ich zrazu na bojowém polu,
 Potém czas jakiś gniótł je ducha siłą,
 Lecz zapal zwolniał, a wnet żądło bolu
 Przedłużyło się, w kółce najeżyło
 Każdą krwi kroplę, i w sercu utkwilo.
 Darmo chciał młodzian boleść taką przemódz!
 Nie znalazł siły — ze krwią upłynęła.
 Już go ku ziemi pochylała niemoc,

Kiedy to Anna postrzegła, krzyknęła,
I bardziej niżli ranny młodzian zbladła,
Na ten krzyk pomoc ze wszech stron przypadła.

Tak się poczęło Anusi kochanie,
W ostrój boleści, lecz razem w otusze
Co pocieszała tą myślą jej duszę:
Przynajmniej dłużej na zamku zostanie!
I wywróżyła, bo przez miesiąc cały,
Rany porzucić zamku mu nie dały.
A przez ten miesiąc cały wiek miłości
Anna przeżyła — i we wzajemności, —
Długie to dzieje i nie łatwa sprawa
Skreślić ich obraz, choćby nawet wiérsem.
Jeśli z was która wiedzieć je ciekawa,
Niechaj kochaniem zakocha się piérwszem,
I niechaj cały miesiąc w niém przeżyje,
A będzie mędrsza niż przez rymy czyje.
Ale niestety! te tygodni kilka
Przeszły kochankom jakby rajska chwilka:
Za tém nastąpił drugi wiek kochania,
Ponury jak noc, przeciągły jak wieczność,
Wiek samotnego płaczu i wzdychania.

Rycerz wyzdrowiał. — Żołnierska konieczność
Na pola boju i chwały go wzywa.
Koń niecierpliwy bije w bruk podworca,
Wiatry igrają warkoczem proporca,
Zabrzmiała w pochód trąba przeraźliwa:
Skoczył na konia, łzą ku miłej błyska,

Zwraca ku bramie, w sto kopyt od razu
O bruk uderza, daje ognia z głazu,
Zadzwonił echem o bramy sklepiska,
Jeszcze raz błysnął włóczniami setnemi,
Strzeliła droga obłokiem kurzawy
Na pożegnanie — za chwilę, za chwilę
Wszystko zagasło! żadnej zniskąd wrzawy,
Nie schwycisz jego śladu nawet w pyle,
Zniknął z przed oczu, jakby wpadł do ziemi.
I odtąd żadnej, żadnej o nim wieści;
Najmniejszej wieści od półtora roku;
I jak tu sercu zabronić boleści!
I jak tu można zatrzymać łzy w oku?
Jak się tu cieszyć? Chociażby jak chciała,
To nie potrafi — czkawka słabość mała,
A nie stłumisz jej, gdy ci piersi naprze,
A zakochanie od czkawki nie słabsze.

II. Modlitwa wieczorna.

Już się zasuwał zmrokiem sklep niebieski:
 Blaskiem zachodu błyszczą Zbrucza fala;
 Wieczorna zorza oczy gwiazd zapala,
 Gwiazdami okien błyszczą dwór Nabrzieski:
 Na głównej sali przed Maryi obrazem,
 Wojski, pan zamku, wojska — zamku matka,
 Anna, ich córka, zamkowa czeladka,
 Według świętego, starego zwyczaj,
 Wieczorne modły odśpiewują razem.
 A w każdej łezka dla niedoli kraju,
 W każdej westchnienie o przytułek w raju
 Tym co poległ z bronią w boju chwili,
 O szczęście w domu tym co bój przeżyli;
 Każda się kończy prośbą najgorętszą
 O prędkiego pokoju trwałość,
 O podźwignienie ojczyzny, jej całość,
 O lepsze czasy, o wiarę najświętszą.
 Jako gruchanie wdowy-gołąbicy
 Śród wrzawy chóru ptaszego niesforniej,

Tak się wznosiła ku Bogarodzicy,
 Śród różnotonnej modlitwy wieczornej,
 Cicha pieśń serca zamkowej dziewicy.
 W ciałku Anusi klęczą dwie postaci,
 I dwie się modlą: Polka i kobieta:
 Ale modlitwa nic na tém nie traci.
 Kwiatek jej serca dwa listki rozkwita;
 Dwa jej uczucia błyszczą w jednej tęczy,
 Dwoma strunami pieśń jej duszy brzęczy;
 Jej prośba we dwa skrzydła się rozwija,
 Jak na dwóch skrzydłach ku niebu się wzbija:
 Kraj i kochanek swój tam udział mają.
 Jedno drugiemu za zgodny wtór służy;
 Za krajem usta głośno przemawiają,
 Tęskny głos serca cichszym dźwiękiem wtórzy.

„Nad ziemią naszą zlituj się, o Panie!”
 Głośno powtarza modlące się koło,
 Anusia także spuszcza w ziemię czoło,
 I sercem szepce: „pamiętaj, o Janie!”
 „Poległym za kraj wieczne, rajskie życie!”
 Woła modlitwa w uroczystym hymnie;
 A w piersiach Anny odzywa się skrycie:
 „Wróc mi go żywym, jego raj jest przy mnie.”
 „Pokój tej ziemi, Panie! pokój błogi!
 Cała już krwawą przesiąkła posoką.”
 I łzą nie jedno zapłynęło oko.
 I wszystkie głowy pod obrazu nogi
 Zgiął wiatr modlitwy. Pod jego powiewem,

Jak osiczyny zadrzało listeczek,
 Serce Anusi, wbiegło do usteczek,
 I rzewnym, dzikim zawołało śpiewem:
 »Przez litość, Panie! mir sercu mojemu.
 Ale bez niego niéma miru jemu — «
 I zwolna, zwolna postawka jej drobna
 Zgięła się czołem aż do zimnej cegły,
 Dwie łzy wyjrzało, wprzód każda z osobna,
 Potem się zlały i strumieniem zbiegły,
 Jak żeby Bogu złożyły na ziemię
 Całe nieznośne jej serduszka brzemię.
 Która łza wtedy którą zagasiła?
 Któż to odgadnie, kto tego dośledzi?
 Cóżby nam wreszcie przyszło z tej spowiedzi;
 Dosyć że każda łzą miłości była.

Ledwo uciechła modlitwa wieczorna,
 Ledwo powstała czeladka nadworna
 By na dzień przyszły wziąć pańskie rozkazy,
 Gdy oto z pismem stanęło pachole,
 Pękła pod palcem pieczętka woskowa.
 Pan wojski przebiegł okiem przez wyrazy,
 Błysnęła radość na zoraném czole,
 Podniósł ku niebu wzrok, ręce i słowa:
 Chwała bądź Tobie nasz Królu przedwieczny!
 Nareszcie mamy pokój ostateczny.
 Przecież odetchnie i Rzeczpospolita!
 Zwracając potem mowę do czeladzi:
 »Teraz na chwilę idźcie w Bogu radzi,

Z wielką robotą jutro nam zawita,
 Bo z łaski Bożej spędzim je w zabawie,
 Co macie robić później wam objawię.«
 Skinął na czeladź by go zostawiono,
 A gdy sam tylko był z córką i żoną,
 Rzekł: »Mamy pokój — i rycerstwo nasze
 Przeciaga tędy na zimowe leże,
 Są tam znajomi, a więc łatwo wierzę,
 Że o Nabrzeskie zawadzą poddasze.
 Łaskawy cześnik uprzedza mnie o tém,
 A w swęj dobroci niektórych wymienia,
 Co nas nie mają wyminąć z powrotem.«
 Pan wojski gadał jakby od niechcienia,
 Chodząc wzdłuż izby krokiem zamyślenia,
 Lecz w jego myślach jest jakaś zagadka,
 Bo na Anusie spozierał z ukradka
 I uśmiechał się jak dobroć na boku.

Wielkie Anusi było pomieszanie:
 Śmiała ciekawość siedziała na oku,
 Już było w ustach śmiałe zapytanie,
 Ale rozważa wstrzymywała biedną,
 O jej miłości nie wiedzą rodzice;
 Gdyby spytała, to pytanie jedno
 Mogłoby zdradzić całą tajemnicę.
 A gdy jej lica płonęły, to bladły,
 Oczy na oczy matczyne upadły
 Mimo swęj wiedzy, widąc że się zgadły,
 Bo dobra matka rozmowę odmyka

I pyta męża: »czy pismo cześnika
 O panu Janie nic w sobie nie mieści?«
 »Nic!« rzekł pan wojski jakby od niechcienia.
 Rzecz jednak dziwna! po chwili milczenia
 Zawołał chodząc: — »żadnej o nim wieści
 I od tak dawna!« I znów się przechadzał
 I siwe wąsy w milczeniu poglądał.
 Kiedy niekiedy błysły w stronę córki
 Uśmiech, spojrzenie z brwi i wąsów chmurki.

Bóg wie co wtedy z Anusią się działo,
 Serce jej biło, a lice pałało.
 Można to pojąć; lecz duszą kobięcą,
 Ona wie co to walka z tajemnicą,
 W której los naszej miłości spoczywa;
 Gdy ją na samém dnie serca trzymamy,
 A ona ciągle wali wszystkie tamy
 I na swą zgubę może się wyrywa.
 Czy wojski widział ten kłopot dziewczyny,
 Czy może nawet dośledził przyczyny,
 Czy może pragnął bardziej ją zasmucić,
 Czy mękę stanu nieznośnego skrócić.
 Nic tego niewiem — lecz z temi słowami
 Staął przed żoną: »Mam wiele jejmości
 Mówić o jutrze — jutro mamy gości,
 Trzeba ich uczcić — więc zostaniem sami.«
 A twarz Anusi ujął w szorstkie ręce,
 Z tkliwą dobrocią w czoło pocałował,
 Patrzył w nią chwilkę, jakby się lubował,

I rzekł ściskając jej rączki dziecięce:
 »Teraz Anusia, choć to trochę wcześniej,
 Da nam dobranoc i spać się układnie.
 A co jej miło, niech z tém igra we śnie,
 Aby nam jutro wyglądała ładnie;
 Pewien kawaler jutro tu przybędzie,
 Rażny i zacny, mam go w wielkim względzie.
 Choć dotąd jeszcze nieznanu Anusi,
 Ani osobą ani też nazwiskiem,
 Ma dla niej wiele czulego respektu
 I wzajemnego pragnąłby affektu.
 Chciałbym żeby się podobał, — i musi«
 Ostatnie słowo wymówił z przyciskiem;
 Lecz je zlagodził natychmiast nawiasem:
 »Bo godzin tego. — Idź córko! tymczasem
 Zdaję cię straży twojego anioła.«
 I znów ją w środek pocałował czoła.

III. Wróżby.

Choć to zuchwale i niemoralnie
 Do drzwi panińskich chyba omackiem,
 I okiem gorzej niż świętokradkiem
 Gwałcić bezpieczne dziewic sypialnie;
 Chociaż to zbrodnia bezbożna śledzić
 Tajnie nagiego całkiem serduszka,
 O których nie ma prawa nikt wiedzieć
 Chyba anioł-stróż, chyba poduszka;
 Że to poety jednak powinność,
 Spełnijmy do dna tę szpetną czynność,
 I wyśpiewajmy przed ziemią całą
 Co się w komnacie Anusi działo,
 Kiedy dobranoc ojca na czole,
 A w sercu ciężkie przyniosła bole.
 Warowny wieniec murów i szanców
 Broni od przygód zamku mieszkańców,
 A więc w komnacie okno otwarte.
 Blżej sad bujny trzyma jej wartę,
 A jeszcze bliżej — tuż przed komnatą
 Krąży nietopérz ruchomą czatą.
 Powietrze ciche, ciężkie i parne;
 Zachód odziany w obłoki czarne,
 Ogromną burzę warzy w swém łonie.
 Tłumem do okna cisną się wonie,

Dusze tych kwiatów które deszcz zniszczy.
 Uśpione wody dziko belkoczą,
 O bliskiej burzy marzą proroczo.
 Esiężyc pół-pełny rajskim dniem błyszczy:
 Wprzódym nim zgaśnie w bałwanach słoty,
 Chce na świat wytrząść wszystkie klejnoty,
 Jak okręt pewny swego rozbicia.
 Wszystko gra tętmem szybszego życia
 Jak przed skonaniem serdeczne bicia.
 Dusza też Anny jak struna zgodna,
 Odgrywa światu. Mowa łagodna
 Rodzica Anny, jak błysk odległy,
 Odkryła naraz jej duszy oku
 Przyszłość w okropnym, czarnym obłoku,
 Jako te chmury co tam zaległy.
 „Jak to? oddać mnie innemu?
 Mnie innemu przeznaczono?
 I ja mam powiedzieć jemu:
 Już nie będę twoją żoną! . . .“
 Tu załamała drobniutkie dłonie;
 Oddech się zapał w ściśnioném łonie,
 Po chwili buchnął łknieniem głębokiem,
 Łzy się sypnęły błękitném okiem;
 Główka na piersi zwiśla bez ruchu; —
 Stoi jak posąg — lecz nie na długo.
 Dziewica ciałem, silny mąż w duchu.
 Ją kołysali wojen kołczugą,
 Wojna nuciła pieśń jej kołyski,

Jéj pączek burze w kwiat rozdmuchały:
 To i sprzecznego losu pociski
 Mogły ją zgłuszyć lecz nie znękały.
 Odważnym rzutem głowę podniosła,
 Sprężystym ruchem zda się podrosła;
 A choć lśnił w oczach klejnot niewieści,
 Na czole jednak wyraz boleści
 W surową marszczkę śród brwi się zmienia
 I dziwne błyski krzesze z spojrzenia:

„Nie! o nie! po tysiąc razy.
 Święte są ojca rozkazy.
 Ale tu to być nie może
 Raczej na wieki w klasztorze!“

Jak zapisano to przedsięwzięcie?
 Czy dyamentem na dyamencie?
 Czy w blasku zorzy piórem motylka?
 Czy śladem twego lotu, jaskółko? . . .
 Któż-to odgadnąć, kto stwierdzić może?
 To tylko pewna, że razy kilka
 W głos powtórzyła: raczej w klasztorze!
 I po komnacie niejedno kółko
 Kreśliła chodem szybkim, zawiłym;
 Może się wymknąć myślom niemiłym,
 Może wdzięczniejszą dogonić chciała.
 Tak być musiało, bo wkrótce stała
 Przy samém oknie i rozważała:

„Po co dzisiaj smutki, płacze?
 Po co się przed czasem dręczyć?

Któż mi teraz może ręczyć
 Że miłego nie zobaczę,
 Jutro, może dzisiaj jeszcze?
 Nie daj, Boże, być mi w błędzie,
 Ale jakieś szeptu wieszczę
 Mówią mi: twój Jaś przybędzie,
 Tylko chwilę bądź cierpliwa.
 I sroka wróży to samo.

Cały dzień skrzeczała sroka
 To w me okno, to nad bramą,
 A sroka ma wzrok proroka.

Cyt! nie onże to przybywa!“ . . .

Lekko, sprężyste w okno skoczyła!
 Siada w niém, głowę o ramy wspiera,
 W oko i ucho cała się zbiera,
 Zmysły i duszę w zwiady wysyła.

A widok z okna szeroki, długi.
 Bo zamek wyrósł w miejscu wysokim
 Nad samą rzeką, brzeg jéj drugi
 Leżał doliną przed zamku okiem.
 A księżyc blaskiem cudnym przyświeca.
 Jak we dnie wszystko co wzrok dosięga.
 Lśni wstęga rzeki, jak ślak księżycy.
 W prawo most leży jak czarna pęga.
 Od mostu drogi snują się jasno,
 W różnych kierunkach, ciemniejszym polem,
 Coraz mniej widne, aż wszystkie zgasną
 W lesie co naprost leży półkolem.

Nie się nie wymknie tutaj spojrzaniu;
Te chatki nawet co w oddaleniu
Świecą jak duchy w białem odzieniu,
Ich światła nawet co z lasów mroku
Tleją jak gwiazdki na dnie obłoku.

A na około takie milczenie,
Że w rzęce słyhać rybki pluśnienie,
W lesie hukanie słyhać zajęcia,
Słyhać jak ziemia oddycha śpiąca.

Ale jest, jest coś między tą głuszą.
Słyszysz je ucho, kochanki duszą.
Tam! w ciemnych lasów bezdenną dali,
Z początku, niby lasów szeptanie,
Znów niby tętęt, niby brzęk stali;
Czasem się wzmaga, czasem ustanie.
Nagle wiatr powiał tłumnym hałasem,
A gwar przeciąga znaną jej drogą,
I coraz, coraz bliżej — tymczasem
Wszystko ucichło — niema nikogo.
Może nie słyszysz, bo serce dzwoni
I pierś wzburzona szeleści w suknie —
Dziwczę się dąsa, serce ofuknie,
Krnąbrne bliźnięta ścisnęła w dłoni,
Daremne dąsy, daremne trudy —
Cicho jak wprzód, pusto jak wprzód;
Może też łezki wzrok przytępiły —
Więc lży ostatnie ściągnęła chustką,
I znów patrzyła — darmo — kraj cały

Jak leżał pustką tak leży pustką.

Nie! to złudzenie ów gwar na drodze.
Przezucie serca skłamało srodze.
Smutnie więc opadł głowy jej pączek.
Splotły się palec bezwładnych rączek,
I dumań rzewnych mglisty obłoczek
Zasepił myśli, zaćmił blask oczek.

„Trawka snem główkę chyłaca
Obok swój trawki spoczywa;
W jasnym promyku miesiąca
Rosa na rosę się zléwa;
Listek całuje się z listkiem
I śpią na jednym konarze;
Miłość i szczęście we wszystkim;
Wszystko przechodzi świat w parze.
A ja! ja tylko, ach! biedna!
Młodość mą sama przechodzę
Zawsze i sama i jedna!
Biada mnie! biada niebodze!
O Jasiu! co ci się stało?
Tylu już popowracało! . . .
Czy go złe spotkało w drodze?
Może koń nogę wywinął? . . .
Lecz tyle koni na świecie,
Mógł zdrowego dostać przecię!
Może jechał i pominął. —
Może już przejechał?
Może mię zaniechał? . . .

Ta myśl przeszła duszę jak strzałem,
Dręcząc mimowolny zatrząśł mdłym ciałem,
Przestrachem serca żrenica błysła,
Stała prosto główka nawisła:

Nie! nie! temu nie uwierzę,
On mię miłował tak szczerze.
On taki dobry jak dziecko.
Onby niemógł tak zdradziecko
Gubić niewinnej dziewczyny;
Bo Bóg wie że nie mam winy.

Chyba że przy pożegnaniu
Bałam się dać mu całunka.

A jednak. . . moja piastunka
Gadała mi że w kochaniu
Można zmienić się czasami,
To przez długie niewidzenie,
To przez wielkie oddalenie.

Zresztą kobiet tysiącami
Stoi w drodze żołnierzowi.
Żołnierza każda się czepi.

Co ja roję? co ja roję?
Lecz jak przegnać troski moje?
Ha! mój poeta najlepiej

Wszystko mi zaraz wypowie.

I sporą książkę dobyła z łóżka*),

Dar pana Jana nieco zużyty,
Widać że często bywała wróżka,

*) Sielanki Zimorowicza.

Przeto starannie podwiązką zwity;
Przycisnęła ją do serca silnie,
I rzekła z prośbą: »mój wieszcu wdzięczny,
Powróz mi dzisiaj, tylko przychylnie.
A ty świeć jasno, blasku miesięczny!« —
W końcu dodała: »dla niego pierwsza.«
Potém przez chwilę ma oko zwarte,
Potém je spuszcza nagle na kartę,
I od takiego zaczyna wiersza:

Już to próżno mój ukochany, przyznać się muszę,
Zraniłeś mi niepomału serce i duszę,
A nie dałeś mi pociechy inściej w chorobie,
Tylko tę że ustawicznie myślę o tobie.

»Kocha mnie, kocha, o! zawsze kocha.«

Woła radośnie, rękami kleszcze;

I taka była radość jej płocha,

Że całowała poezye wieszce.

»A teraz dla mnie,« — rzecze do siebie.

Podnosi oczy, trzyma je w niebie,

Nagle na oślep książkę odmyka,

Spuszcza wzrok i te rymy spotyka:

Do ciebie ja przez morze lez mych nie przybędę,
Choć w okręt zstrzał serdecznych zbudowany wsiędę,
Choć Kupido na żagle da mi skrzydła swoje,
Chociaż Wenus sterować będzie nawet moję.
Bo wiatr mego wzdychania tak poburzył wody,
I żal mój nagły takie wzbudził niepogody,
Że nizeli na drugą nadziei mej stronę

Przyjadę, we łzach własnych nieszczęsna utonę...

Pobladła — czytać dłużej niezdolna,
 Książka się z ręki wysuwa zwolna
 I pada u nóg. Pierś zalem rośnie,
 Płacz ściąga usta, powieki lechce:
 Niechcę ja téj wróżby, niechcę!
 To okrutnie, bezlitośnie
 Straszyc serce taką brednią.
 Zmyślasz, zmyślasz przepowiednio!
 Ale to druga dopiero,
 A między wróżbami dwiema
 Jeszcze żadnej prawdy niema,
 Trzecia zwykle bywa szczera.

Groźne to bóstwo ta losów skrytość,
 A jednak pełne dziwnego wdzięku,
 Może śmierć zadać jego nielitość.
 Ale i życie ma w swoim ręku,
 Z trwogą ku niemu człowiek ogląda,
 Jednak je kocha i pojąć żąda.

Z taką to dziwną trwogą, roskoszą
 Nową cześć jemu Anna gotuje;
 Ręce ku niebu prośbą się wznoszą,
 Spojrzenie w kolej gwiazd zapytuje
 O najlaskawszą dla wróżby chwilę:
 A niebo wielkie, gwiazd na niem tyle,
 Więc przy księżycu jedną wybrała.
 Właśnie szła na nią chmureczka mała;
 Jak ta chmureczka tę gwiazdkę minie,

Wtenczas prorocze karty rozwinie.
 Chmurka nadeszła, gwiazdka zniknęła,
 Zwolna mgły kłębek, zwolna się toczy,
 Pierś mocniej bije, latają oczy, —
 Chmurka przechodzi, gwiazdka błysnęła.
 A oko padło na rym proroczy:

Oto ja dzisiaj śmiertelną zastonę
 Ciała grubego złożywszy na stronę
 Dziwnym a nie ladajakim
 Pójdę na powietrze ptakiem.

Tu Anna w nowéj uwięzła trosce.
 Wróżba tak ciemna, zda się dziwaczy.
 A więc na nowo, głoska po głosce,
 Czyta prorocstwo, bada, tłumaczy.
 I nigdy końca nitki nie schwyci,
 A trzeba gwałtem końca téj nici.
 Wszak-to ostatnie kabały słowa,
 Jasna tu wprawdzie o losie mowa;
 Ale czy można, by ludzkie ciało
 Bez piór, bez skrzydeł, jak ptak latało?
 Czemuż nie? widać że to być może,
 Kiedy aż w książce tak napisano.
 Nieogarnione są sprawy boże.
 Tyle już cudów nieraz widziano,
 Czemuż-by Annie latać nie dano?
 Annie do tego wiele nie trzeba;
 Ona jak tańczy nie czuje nóżki:
 Ona tak lekka, taka niewielka,

Lada skrzydelko choćby wróbelka,
 Choćby nadwodnej babki, choć muszki,
 A jak skowronek pójdzie pod nieba.
 Co to za szczęście! pory dopadłszy,
 Kiedy nikt w zamku na nią nie patrzy,
 Ona na okno i prrr! w powietrze:
 Rzuca za sobą ptaszki najlote,
 Niepostrzeżona świat przepatruje;
 Już wtedy Jasia nie nie zakryje,
 Znajdzie go pewnie — jak raz znajduje,
 Spuszcza się prosto na jego szyję,
 Tysiąc go razy ściska, całuje. —
 Nie, nie całuje — możeby zbliska
 Stał kto i patrzył — przynajmniej ściska.
 Lecz jój gadano, niema w zwyczaju,
 Nawet nieskromnie, samój kobiecie,
 Biegać i szukać gacha po świecie;
 Potem jak znaleźć w tak wielkim kraju?
 A potem nuż się przed ojcem wyda.
 Byłaby biada — a gorsza biada
 Nuż ją w powietrzu jastrzęb' napadnie!
 Nie, tak niemożna — strach i nieładnie.

A jednak trzeba temu poradzić.
 Cóż robić? Oto Jasia sprowadzić.
 Czyż nie słyszała od swój Justyny,
 Jak raz kochanka czary dziewczyny
 Niosły z Warszawy do Ukrainy,
 Ślicznie! dziś jeszcze, tego wieczora,

Jasio rad nierad przylecieć musi,
 Dziś jeszcze musi być przy Anusi!
 Anna w pomysłach i czynach skora
 Co zamarzyła to wnet wykona. —
 A jak wykona, rzecz ułożona.
 Nadzieja w czarach i jój Justynie;
 Teraz o pośpiech idzie jedynie.
 Zwykły więc ubiór odrzuca szybko,
 Tylko spodniczki lotnej tasiemka
 Objęła silnie postawkę gibką;
 Piersi na chwilę błysły z zaciemka
 Faldzistych osłon co nagle spadły,
 Lecz w chmurce gazy wnet się układły.
 Prędko z nóg poszły trzewik, pończoszka,
 Natomiast bucik, szyciem ozdobny,
 Przyłgnął mięciutko do nóżki drobnej.
 Czapeczka w czworgran, na bakier troszka,
 Siadła na głowie, z pod niej obficie
 Fałą kędziorów ciemny włos bije
 Na białe plecy, piersi i szyję.
 Za ostateczne zwierchne pokrycie
 Kontusik ciepły miękkim futerkiem,
 Zawisł na srebrnym z ramion kutasie.
 Cudnie ten ubiór przystał jój krasie,
 Więc chwilkę jeszcze radzi z lusterkiem,
 Chociaż przy tępym księżycu blasku;
 Potem, jak sarna, przez okno śmiga,
 Przemyka, jak blask, po ciemnym lasku,

Z przykrego brzegu, jak kamyk, zbiega,
I już nad Zbruczem — tu chwilę stanie,
Tu krótkie między myślami chwianie:

Czy iść mostem, czy wodą brnąć?

Woda chłodna i zamoczy,

Lecz na moście nuż kto zoczy?

Stańło na tém: bądź co bądź

Lepiej przez wodę znajomym brodem,

A bród pod samym leżał ogrodem.

I w mgnieniu oka buciki w ręku.

Nowa przeciwność! oto potrzeba

Ugiąć spodniczki — więc pomaleńku

To uginała, to w krąg patrzała.

Próżna obawa, śpi ziemia cała.

Oko od ziemi biegło przez nieba,

Waha się chwilę — księżyc na niebie —

Mniejsza o księżyc — co on tam znaczy!

On tak wysoko, nic nie zobaczy.

A choć zobaczy schowa u siebie.

Zatém brnie śmiało bez żadnej szkody,

Chyba że czasem swawolne wody

Zuchwale w białe cmoknęły udka.

Teraz jak pianka prysnęła z rzeki,

Obtarła nóżki, wzuła buciki

I dalej pędzi, jak wiatr leciutka.

O! nieszczędź Anno twój stopki chyzj,

Bo chmura coraz wznosi się wyżej,

A groźne jutro co chwila bliżej.

IV. Chatka na kurzej nóżce.

Pod zachodniem okiem zamku leżało Zazbrucze;
Jego pierwszy wschód kobiercem z łąk i niw zasłany,
A kobierca jedną stronę Zbruczowy nurt płucze,
Drugą lasu rozległego ocieniają ściany.

Na granicznej między lasem i polem krawędzi,
Przy dróg węzle, z których główna w Nabrzeski
most mierzy,

Stary, szczupły, lecz chędogi Justyny dom leży.
O tój chatce i mieszańce gmin dziwa gawędzi.
Rzucić mów tych w twarz Justyny nikt się nie ośmieli,
Ale dla wsi wieść pokątna już wiarą się stała,
Że przedniejszej czarownicy nie znajdzie Ruś cała:
Są świadkowie którzy nawet jój ogon widzieli.
Że jój dotąd nie splawiono, jak innych wiedm tyle,
To opiece pana zamku jest winna jedynie,
Bo piastunką kiedyś była przy jego dziecinie,
A najwięcej pono winna szatańskich sztuk sile.
Że jest w niej coś niedobrego, to świadczy jój chata,
Stoi ona, jak nagrobek wisielca, osobno,

»Babuniu!«

»Kto tam?«

»To ja, babko!

Otwórz mi tylko,«

»W imię i ojca i syna! . . .

Co widzę? a to moja kochana dziecina!

O tój porze — w mój chatce! cóż to za przyczyna?

Jak ty się wzięła tutaj? czy dęszczową żabką

Zleciałaś z jakiej chmurki? czy w rosy kropelce

Spłynęłaś z oczka rosy? w tój porze, w mój chatce?

Mów! czy jakie nieszczęście grozi?»

»O i wielce!«

»O Boże mocny! komu? tobie? ojcu? matce?

Mów, powiedz, ja tymczasem kaganek zapalę.«

»O opowiem, ale, babko, czy sami jesteście?«

»A któżby miał być ze mną? lat temu dwadzieście

Może . . . może! lecz dzisiaj sama, jasny mój kryształ!»

»To nie palcie kaganka.« — »Trzeba jęj, jak widać,

Do otwartych wynurzeń aby było ciemno.»

»Babko! straszne nieszczęście zawisło nademną.

Czy uwierzysz? mój ojciec chce mnie za mąż wydać.«

Justyna się zaśmiała — »Tyleżby nieszczęścia!

Toż my się, moje dziecię, rodzim dla zamęścia.«

»Ale to ma być jutro!« — »Tém lepiej.« — »Tém

gorzej,

Bo nieznam tego pana.« — »Niech cię to nie trwoży.

Twój ojciec człowiek mądry i kocha cię szczerze,

Nie zawiąże ci świata, godnego wybierze.«

»Ah! ja wiem jakim miła rodzicom kochanym,
Lecz pewno ich wybrany nie jest mym wybranym.

Babko moja! jak księdzu tobie się spowiadam.

Ja już kocham innego. Wszystko ci wygadam;

Muszę wszystko wygadać; tyś taka kochana! . . .

Wy znacie pana Jana — kocham pana Jana.«

Nie mogła mówić dłużej — korzysta z zřeczności

Justyna i przemawia: »To źle, moje dziecię.

Znam tego pana Jana, godzien on miłości;

Ale kto ma rodziców, nie kocha się skrycie.«

»To prawda, babko moja, zem bardzo zgrzeszyła,

Nie miłością, ta miłość nie grzesznego nie ma,

Zgrzeszyłam zem ją kryła przed mamy oczyma;

Zgrzeszyłam zem się mojej miłości wstydziła;

Ale jutro, o! jutro wszystko wszystkim powiem,

Choćbym tego przypłacić miała mojem zdrowiem.

I dla tego przybiegam poradzić się ciebie.

Tyś mię wykolysała, tyś mię wypieściła;

Tyś dla mnie drugą matką, jam ci córką była;

Tyś mi nie odmówiła w żadnej mój potrzebie,

Ratuj mię, ach! zlituj się jak nad własną córką.«

»Uspokój się, uspokój, o moja przepiórko!

Wszystko może pójść lepiej, niż się tobie roi;

Powiedz tylko w czem takiem chcesz pomocy mojej?«

»Chcę widzieć mego Jana — ja go widzieć muszę.«

»A cóż ja, moje dziecię, mogę w tém poradzić?«

»Możesz, możesz, Justyno! możesz go sprowadzić.

Ja muszę z nim się widzieć, trzeba go sprowadzić,

Gdziekolwiek jest, jaki jest, choćby jego duszę.
 Jeśli tego nie zrobisz, ja sobie coś zrobię.“
 »Ja nie Bóg, moje dziecię, pomiarkuj to sobie.“
 »Myślałam o tém długo i chcę tego śmieie —
 Justyno! są sposoby — ty wiesz o tém wiele,
 Mówiłaś mi to nieraz, jak oczarowany
 Rad nierad musiał lecieć do swojej kochanej.“
 »Pomyśl mój klejnociku! to są strachy srogie.
 To się nie dzieje świętą chrześcijańską siłą;
 Znajdzie człowieka gdzie jest, choćby pod mogiłą,
 Choćby był na kawałki drobne posiekany,
 Na pół zgniły i Bóg wie gdzie porzrucany,
 Ta moc znajdzie go wszędzie, pozbiera go wszędzie
 I tutaj przed oczami rzucać go nam będzie.“
 »Umrzeć z strachu czy z żalu, mnie to wszystko jedno.
 Jeżeli dzisiaj z niczém odprawisz mię biedną,
 Już mi nie może stać się nic gorszego.“
 »Kiedyż chcesz widzieć kochanka twojego?“
 »Dla mnie śmierć każda godzina bez niego.
 Muszę go mieć przed jutrem, w godzinę, za chwilę.“
 »Kiedy już tak chcesz koniecznie,
 Zrobię co będzie w méj sile,
 Stanie się po twojej woli.“
 Wyrzekła czarownica poważnie, powoli.
 »Ale pamiętaj że to niebezpiecznie.“

Pociemku toczyła się cała ta rozmowa,
 Ciszą równie jak ciemność była tam grobowa,

Tylko niekiedy wiatrów silniejsze podmuchy
 Biły w chatkę jak w duszę czarne pokus duchy;
 Lecz kiedy wróżka słowa ostatnie wyrzekła,
 Błysnęła taka jasna, długa błyskawica,
 Żeś widział przy jój blasku, czy z grobów czy piekła,
 Nie tylko wewnątrz chatki ale wróżki lica,
 A na nich, pod bladeścią zieloną, grobową,
 W taki uśmiech zamarłe ostatnie jój słowo,
 Że Anna drgnęła cała mimowolnym drgnieniem,
 Jakby przed nadzwyczajnym, nieludzkim widzeniem.
 Błyskawica zagasła — a głos czarownicy
 Znow wolny, uroczysty, tak brzmiał do dziewicy:
 »Zostawiam ciebie samą tu na chwilę.
 Ja na mogiłę pójdę, na mogile
 Dobrych znajomych duchów się poradzę,
 Wezwę ich, by nam pomogły, służyły,
 Bo praca ciężka, nad człowiecze siły,
 Kto tego nie ma pilnie na uwadze,
 Może i głową i duszą nałożyć.
 A zamiast dobra, biędę i śmierć pożyć.
 Odchodzę — a ty nie trać na odwadze.“
 Była to chwila ważna, trudna do przebycia
 Ta chwila samotności — próba to niezwykła.
 Odwaga Anny wielka, lecz na chwilę znikła.
 Nie znała Anna nigdy takiego krwi bicia
 W skroniach rozplamionych, w piersi wzdętych
 tętnie.
 Wszystkie myśli, uczucia wzburzyły się mętnie,

Walczą wzajemnie, jedne przez drugie się walą,
 Tu się w dym rozścielają, tam się ogniem palą:
 Wnętrze Anny w tej chwili, jak pole bojowe,
 Gdzie obie strony w jednym pomieszano tłumie,
 A pokonana nie wie jak unieść swą głowę,
 A zwycięska korzystać z wygranej nie umie.
 Jój przedsięwzięcie stoi już w progu ziszczenia.
 Gasną jedne po drugich ponęty, marzenia,
 A rzeczywistość czynu coraz to wyraźniej
 Wysuwa groźną postać przed wzrok wyobraźni;
 Duchową swoją gruzę ubiera jak ciało,
 We wszystko co podówczas Annę otaczało.

Ta gruba gęsta ciemność zamknięta w ścian cztery,
 To obraz wnętrza grobu, obraz trumny szczery;
 Tentam kot co iskrami spojrzeń swych przyswieca,
 Ten świeższy co tak żałobnie ćwierka tam z pod
 pieca,

Są jak światło, jak odgłos z drugiego gdzieś świata.
 Zechce wyjrzyć przez okno, okropność nie mniejsza.
 Niebo coraz chmurniejsze, a ziemia czarniejsza;
 Wicher jak wściekły wyje, w koło ścian obłata.
 Strach już znany powraca, Anna nie wytrzyma,
 Chce wszystkiego zaniechać; — jużby wyszła rada,
 Już się ku drzwiom obraca i siły dość nie ma.
 Nie wie co z sobą robić — na chwilę usiada —
 A w tejże chwili jakaś krzepi ją otucha:
 Jakieś głosy ją doszły, wyteża się, słucha —
 Czy te głosy z mogiły, czy też ze stajenki

Co u spodu mogiły w tyle chatki stoi?
 Bądź jak bądź, one krzepią, są to życia dźwięki.
 Raz niby koń zaparska, znowu jak brzęk zbroi,
 Znow kilka głosów ludzkich — rozmowa niemylnie —
 Zdawało się jój nawet słyszeć głos Justyny,
 A nawet . . . nawet, kiedy wyteży słuch pilnie,
 Słyszy — tak jest — kochanku! O Boże jedyny!
 Prawdaż to czy złudzenie? Gdy tak myśli jeszcze,
 Ozwał się niby chychot, ale tak niemyły,
 Że ją całą przeniknął jakby coś złowieszce.
 Nie słyszy już nic więcej. Głosy jakieś były,
 Ale wiatr nieustanny tak zakłócał lasem,
 Z takim dokoła chatki okrażał hałasem,
 W tak rozmaite głosy brzęczał, gwizdał, szumiał,
 Tak je wzajemnie mieszał i wzajemnie stłumiał,
 Że najbystrzejsze ucho ludzkie nie dociecze,
 Są-li to głosy wichrów, duchów lub człowiecze.

Anna ich nie uważa za czeze przywidzenia.
 Spomniała na ostatnie czarownicy słowa,
 I myśl zrazu wątpliwa w pewność się zamienia,
 Że to jest zasłyszana z duchami rozmowa.
 Taka pewność na chwilę zwiększa wewnętrzną walkę:
 Z jednej strony strach w oczy zaziera natrętniej,
 Z drugiej obraz kochanka stawi się ponętniej
 I ojcowska zapowiedź w duszy groźbą tętni.
 Trzeba tu rzucić wolę stanowczą na szalkę;
 Rzuciła ją nakoniec — postawi na swoim.
 Jak się na to zdobyła? sama tego nie wie:

Jej siła nie jej własna, wszystko w niej rozstrojem;
 Krew zarem się przelewa i wewnątrz zarzewie,
 Które ją chmurzy jakimś dymnym niepokojem,
 Co zwiastuje skończenie na strasznym wybuchu.
 Gorączka w każdej myśli i w każdym jej ruchu.

Niedość postanowienia — ona więcej zrobi,
 Ona spełnienie jego przyspieszy, rozpocznie,
 I do sprawy nieczystej co wie przysposobi;
 Więc do zrobienia ognia bierze się niezwłocznie.
 Wnętrze tej chatki dobrze było jej wiadome,
 Wiedziała gdzie łuczywo do podpału leży;
 W przypiecku pod popiołem znalazła żar świeży,
 Rozdmuchała go lepiej, zawinęła w słomę,
 Którą poprostu z łóżka baby wysmyknęła,
 Węgłem tak obwiniętym tu i tam machnęła,
 Zaiskrzyła się w słomie, wkrótce zadymiała;
 Dym coraz gęstszy, bielszy, coraz zapalało,
 Rumiany połysk oblał ścianę chatki białą,
 Ciemność pierzchnęła — Annie różniej się zrobiło,
 Zapaliła łuczywo, łuczyciem kaganek,
 Z pod pieca kilka suchych dobyła polanek,
 W ognisko je porządne ułożyła szybko,
 Dodała słomy, smolną podpaliła szczepką:
 Trzesczą, piszczą i syczą niedoschle polana,
 Anna je tchem różowych ustek swych poddyma,
 Ognisko się zajęło, gore jak powinno,
 Więc rada, siada spocząć zgrzana i zdyszana.
 Chciałaby już Justyny, a Justyny niema.

Niecierpliwa nie może pozostać bezczynną;
 Więc z kądzieli co tkwiła w ławie u przypiecka,
 Smyka kłaków, dwie ludzkie robi z nich postawki,
 (Znana to u nas wróżba, igraszka dla dziecka;
 Ale Anna robi to nie dla czezej zabawki) —
 Jednej swoje, a drugiej Jana daje miano,
 Stawi je blisko siebie w przypiecku, pod ścianą,
 Skupia myśl, szczerze westchnie zaczął je zapali:
 Jeśli gorejąc jedna na drugą się zwali,
 To ślub małżeński złączy miłosne płomienie;
 Lecz jeśli na przeciwne strony padną obie,
 Zły to znak, zapowiada wieczne rozłączenie. —
 I się płoną, już zwolna chyłą się ku sobie,
 Przeciąg wiatru powionął, kukły się rozbiegły
 I tlejące opodal od siebie poległy:
 Anna stanęła w zasępieniu cichem,
 A za nią w drzwiach otwartych Justyna ze śmiechem.

V. Czary.

Anusia nie ma ni czasu, ni chęci,
 Trapić się smutną kukiel przepowiednią;
 Jój rozwiązanie stanęło tuż przed nią.
 Wkrótce zmysłami dotknie co się święci.
 I czas by wybrnąć z tyłu niepokoi,
 A wprost do tego przystąpić się boi.
 „Kochana babko! długo was nie było.
 Na dworze straszno, tu było tak ciemno,
 Już mi się samój Bóg wie co roiło,
 Zrobiłam ogień.“ — „I nienadaremno,“
 Rzekła Justyna poważnym znów głosem,
 A spozierając badawczym ukosem:
 „Boisz się Anno?“ — „O już się przebałam ..
 Widzenie wasze długo się ciągnęło.“
 „Prawda że długo — bo też ważne dzieło.
 Nie jeden tam był, nie z jednym gadałam.
 Za to pośpieszym — ogień bujny gore ...
 Cały świat czarny w chmurach jak w całunie.

Za chwilę może dészcz jak z wiadra lunie. —
 Będziem się śpieszyć — dobrą mamy porę.“
 „A więc?“ — „Stanie ci się dziecię jak żądasz;
 Nim północ minie, kochanka oglądasz,
 Ujrysz go tutaj i z duszą i z ciałem,
 Z koniem i w jego uzbrojeniu całem,
 Jeśli złe gorsze nie pomiesza sprawy.“

Jeszcze raz wszystkie tłumione obawy
 Ostatnim szturmem w Annę uderzyły,
 Chciała już spytać czy w tém grzechu niema?
 Grzech nie dopuścił, skrępował jój siły;
 Ogień gorączki błyskał jój oczyma.
 Wróżka raz jeszcze — „Boisz się?“ spytała.
 „Rób matko swoje — nie będę się bała.“ —
 „Krzepże się córko! straszno wdać się w czary.
 Czy masz przy sobie jakie miłe dary?“
 Anna splonęła. — „Kilka pamiąteczek.“
 „Pokaż je.“ Anna dobyła woreczek
 Spory, związany tasiemką szkaplerza;
 Wróżka dar każdy widzieć, dotknąć musi,
 Co każdy znaczy, pyta się Anusi.
 „Ten kawał blaszki, to z jego pancerza;
 Z jego proporca, ten kawał kitajki.
 Te kwiatki suche, to niezapominajki.
 Ta rzdawa sprzączka z jego nakolanka.
 Ten strzępek piórka, z jego orlich skrzydeł.
 Ten listek, rzucił raz na mnie tym listkiem.“ ...
 Wróżka zabiera woreczek ze wszystkim,

Bo dary w czarach mają własność sideł,
Nęcą, chwytają i więżą kochanka.

Lecz tego niedość do skutecznych czarów;
Potrzeba jeszcze tych miłosnych darów,
Któreby były żywą częścią ciała.
Anna zapaśna — a więc wydostała
Z pod lewej piersi złoty medalionik.

» To jego włosy, a tę notabenkę
Sam robił, sam mi na palec ją wkładał,
Kiedy pod siodłem rzał już jego konik —
Dotąd w mój ręce czuję jego rękę.
Ażeby o nim, smutnie mi powiadał,
Myśleć dzień i noc, myśleć nieustannie.«
Wróżka pierścioneek oddała znów Annie,
A tylko włosy kochanego wzięła.
» Mamy już wszystko co trzeba do dzieła.

Ja robotę moją zacznę.

A ty przez okno powietrza badaj,
Każdą zmianę zważaj bacznie,
I co zobaczysz powiadaj.«

Anna posłuszna wróżki poleceniu
Idzie do okna, kwaterek uchyla.
Skupia się w myśli, zmysł wzroku wysiła,
Oko jój tonie w powszechném ośmieniu.

» Ciemno, straszno tam! na dworze,
Okropnie szumi po borze.
Do jednej pogasły zorze.
Cały świat jak jedna chmura,

Jak piekło czarna, ponura,
Cały świat jak piekiel morze.«

Podtenczas wróżka bierze nowy garnek,
A dno i boki garnka wyściela
Suchą wiązanką święconej bilicy.

Potém trzy razy po dziewięć ziarenek
Sypnęła nasion nieznanego ziela,
Wkłada woreczek pamiętek dziewicy —
Szepece nad garnkiem, na ziemię spluwa...

A Anna okiem u okna czuwa,
Każdą odmianę powietrza bada,

I jak czuje opowiada:

» Coraz straszniej, coraz gorzej!

Bór chwilę milczy ponuro,
Grzmot daleki jedzie chmurą;
Błyska jak gniewny wzrok Boży.

Światło z okna się wykrada,

Na pobliskie krzaki pada;

Krzak posępnie głową kiwa,

Łza z każdego listka splywa,

Ale stoi jak przykuty,

Jak dusza w miejscu pokuty:

Cheiałby wejść tu i nie może!

Coraz straszniej tam! na dworze.«

A wróżka dzieła swego nie przerywa.

Garnek do wierzchu wodą nalęwa,

Spodnią od chleba skórka go zasklepia,

Cały wierzech szczelnie gliną oblepia...

Dziwnemi słowy z cicha przemawia,
A na głos Anny ucha nadstawia.

»Grzmoty bliższe i groźniejsze,

Błyski częstsze i jaśniejsze.

Ustały — dzikszc milczenie.

I czarniejsze nocy cienie.

Czasem słyżę wicheru świsty

Deszcz poczyna bić kropisty.«

Wróżka w tćj chwili w piecu poprawia,

Rozgarnia żary, drzewek dokłada:

Znowu po cichu do siebie gada:

Szepce nad garkiem i w żar go wstawia.

A w Anny oku i głosie zmiana,

Wzrok przerażony, mowa urywana:

»Wszystkie ślady życia znikły;

Władza śmierci świat osiadła.

Słyżę — słyżę dźwięk niezwykły!

Byćże może? to chrzęst zbroi.

Wzrok trafia w same widziadła —

Mrok burzy marami kłębi!

Coś przesuwą się tam w głębi.

Staje — strzela blaskiem zbroi —

Co to? patrzy tu! wciąż stoi.«

I w tym przestrachu od okna odskoczy,

Zwraca do wróżki przerażone oczy;

Ta doświadczona niczćm się nie stracha,

Pokrzepia zląkłą spokojnym uśmichem:

»To złuda! mara nocnego gacha.

Jak przyszło lichem, tak przejdzie lichem.

On nie przybędzie aż go zawołamy,

Jakąż go drogą przyprowadzić mamy,

Czy bardzo niską, czy bardzo wysoką?

Bo czary, albo tuż przy ziemi wloką,

Albo wpół miary drzewa wysokiego,

Albo tćż niosą wyżej niż wierch jego,

Powoli pójdzie kto idzie najniżej;

Jeśli wpół lasu roztrzaska się czasem.

Po nad las, prawda straszno, lecz najchyczćj.

Jakże ma lecić?« — »Jużci po nad lasem.« —

— »Dobrześ wybrała, moja wiewiórko!

Wzłeci jak piórko i spadnie jak piórko.«

W tćm miejscu wróżka mowę ucina,

Słucha z uwagą — w garku wrćc zaczyna.

»Już siły czarów brać go zaczynają.

Słyszysz te głosy co tam w garku grają?

Ale duch jego trapiiony, palony,

Niewie sam jeszcze co się z nim dzieje.

Trzeba mu wryć przez powietrzne strony

Aż do tćj chatki dróg jego koleje.« —

Wyjęła z bodni wielki nóż święcony,

Jasny, kończasty, w białą kość wprawiony,

(Tćj kości, mówią, dostarczyły trupy),

Stanęła z Anną pośrodku chałupy.

Nożem, zarytym w glinianą podłogę,

Miejsce gdzie stały w okrąg okrcśliła,

Daje nóż Annie i taką przestrogę:

„Zostań w tém kole, a nie bój się, miła!
 Nic w niem nie zrobi, żadna moc nieboża;
 A nadewszystko, pilnuj tego noża.

Teraz wbij w ziemię jego koniuszek;
 Im mocniej będzie klekotał garnuszek,
 Tém głębiej pchaj go, a zwolna, me kocie!
 Można dech zabić żywemu stworzeniu,
 Gdyby je bardzo nagliło się w locie. —

Gdy go raz trzeci wezwę po imieniu,
 Wbij nóż po trzonek — a w tenczas lecający
 Będzie już z nami, chcący — niechcący.
 Pamiętaj! gdybyś zapomniała na to,
 Do dnia sądnego wisiałby nad chatą.“

A burza coraz to groźniej się wzmaga.

Nawalnym dészczem po oknach smaga.

Lecą w ślad wichru snopki ze strzechy.

Gwizdania, grzmoty, wycia, płacze, śmiechy
 W szatańskiej pieśni aż trzęsą lepianką.

Anna poleceń wróżki pamiętna,

Drżąc, na jedno kląklszy kolanko,

Wtyka nóż w ziemię — czeka a słucha.

Ona słyszy puk każdego tętna,

Na klekot garka nie będzie głucha.

Wzrok swój przykuła do czarownicy,

Okiem i uchem czeka jęj hasła.

Dostrzegła uśmiech — a ta twarz zagasła,

W uśmiechu takim jest dla dziewicy
 Straszna jak czarny obłok w błyskawicy.

Dzikie jęj lice, dzika postać cała.
 Stoi przed piecem jak głaz nieruchoma,
 Z założonemi na głowę rękoma,
 Jakby ją walka jakaś łamała;
 Wzrok osłupiały w płomień utkwiony,
 Usta zacięte, w piersiach mruk sflumiony.
 Niekiedy na żar garść soli ciśnie,
 A paszcza pieca silniej zabłyśnie,
 Czerwieńszym blaskiem zalśni ściana biała.
 W zakętym garku klekot gniewniej gada.
 Komin zahuczał dziwniejszą wrzawą.
 Uderzył w skrzydła kogut pod ławą
 I śpiew swój zawiódł. Północ zapowiada.
 Jakby czekała tej chwili Justyna,
 Zmienia się cała licem i postawą,
 Wyciąga głowę ku szyi komina
 I krzyknie imię Jana z całej siły.
 Ledwo umilkła, wnet się słyszeć dało
 Silne, gwałtowne we drzwi uderzenie:
 Pierwsze drzwi jękły — w sieni zatętniało,
 Natychmiast drugie drzwi się otworzyły,
 I zbrojny rycerz, szybko, jak błysnienie,
 Przez próg przeskoczył, zatrzymał się chwilę,
 I jakby nie mógł ustać o swęj sile,
 Upadł na ławę i o wodę woła.
 Z ust Anny wyszło pół-krzyku, pół-jęku;
 Nóż się wysunął z jęj bezwładnych ręku;
 Skoczy, lecz kroku posunąć nie zdoła,

Tylko się w miejscu jak strona wypręza,
 Zdumiała się sama czarownica.
 W tém spadła z głowy rycerza przyłbica,
 I odkryła twarz nieznanego męża.
 Nic w niej straszego, owszem życie młode,
 Tylko wzrok błędny, a wciąż głos o wodę.
 Wróżka téż całkiem przysła już do siebie;
 Czuje konieczność, nim się rzecz rozsunie,
 Pomódz bliźniemu w tak nagłej potrzebie,
 Więc mu podała wody z garnuszkciem:
 Rycerz jak w otchłań wlał ją w siebie duszkiem.
 Ha! teraz lżej mu, więc szczerze dziękuje:
 „Ależ-bo w piersiach,“ powiada, „tak pali
 Jakżeby w serce wbito ostrze stali.“
 Powstaje wreszcie, grzecznie się kłania
 Justynie, jeszcze grzeczniej Annie potem,
 Która już także wyszła z pomieszania,
 Przeprasza bardzo że tak wpadł z loskotem,
 Że je zapewne potrwożył — „Przebaczcie!
 A teraz, matko! powiedzieć mi raczcie
 Gdzie się znajduję?“ — „W Nabrzeżu.“ — „O Boże!
 A noc jak późna?“ — „Północ.“ — „Być-że to może!
 Złoczów! Nabrzeże! przelecieć mil tyle
 W czasie tak krótkim, w jedną prawie chwilę!
 Być-że to może? mil tyle za chwilę!“ —
 „Cóż się to stało Waszej Miłości?“
 Zapyta wróżka. — Rycerz jak ockniony,
 „Przygoda,“ rzecze, „dziw nieodgadniony,

A jednak istny, — opowiem w szczerości,
 Sam ledwo wierząc w prawdę méj przygody.
 A naprzód powiem, zacna matko moja,
 Że służę w pułku pana wojewody
 Ruskiego, jak to świadczy ot! ta zbroja.“
 Wstrzęsła, splonęła Anusię ta wzmianka:
 Ten pułk jój miły, to pułk jój kochanka.
 „Zowię się różnie, Jan z Woli lub Zwolski,
 Mém gniazdem właśnie jest ten kraj podolski,
 Włość ma dziedziczna graniczy z Zapłotem,
 Szeroko głośnym — ale rzecz nie o tém.“
 Tu silniej Anny ciekawość się budzi.
 „Ciągniem gdzie leża pada nam zimowa,
 Mus wypoczęcia dla koni i ludzi
 Wstrzymał nas przez dni kilka u Złoczowa.
 Moją kwaterą jest mała wioseczka
 Tuż pod Złoczowem, a że człek się nudzi,
 Więc do kolegów wpadłem do miasteczka;
 Tam, prawdę mówiąc, przez niejedno zdrowie
 Utraciło się rozumu troszeczka,
 A nawet dobrze zaćmiło się w głowie,
 Kiedy już k'sobie puściłem się nocą,
 Ale w najzdrowszej i myśli i stanie,
 Gdy oto nagle, niespodziewanie
 Czuję że jestem pod jakąś złą mocą:
 Na sercu nudno, w głowie się kręci,
 Nogi nie służą, nie mam pamięci;
 Kraj okoliczny z oczu mi ginie,

Czuję się, widzę w innej krainie.
 Co mi się wtedy nie przeroiło!
 A najdziwniejsza i trudna do wiary,
 Że teraz widzę com brał za mary.
 Jakaś chałupka z jakąś mogiłą.
 Mówię, nie kłamię — wiercie nie wiercie,
 Tak jest! widziałem — dla mnie to pewna —
 Was, dobra matko, i tę piękność wreszcie
 Pewnie to córka wasza? może krewna?«
 »Ani to moja córka, ani krewna,«
 Odrzekła wróżka, rwąc nitkę powieści,
 »Nie mnie przed Bogiem mieć tyle cześci;
 To szlachetnego rodu dziewica,
 Jedyne dziecię tych ziem dziedzica,
 Znanego pana na zamku Nabrzeskim.
 Któż tu nie słyszał o Annie z Nabrzeża?«
 Na te słów kilka postać rycerza
 W całej godności głową się skłania,
 A dłoń na sercu w zbroję podzwania.
 Czołem przed wielkim darem niebieskim!
 I dalej ciągnął opowiadanie:
 »W takim to byłem niezgadnionym stanie,
 Kiedy po myślach dymem powlekło,
 Potem się w piersiach nudno zrobiło,
 Ciężko, boleśnie, a razem miło,
 Potem mię strasznie, strasznie zapiekło
 Gdzieś tam! aż w duszy; potem jedną razą
 Tak mi nieznośnie serce zabolalo,

Jakby kto wepchnął zimne żelazo,
 Potem mi w uchu dziwnie zawrzęszczało:
 Było tam moje imię i Nabrzeża.
 Gdy w uchu ścichło, lekko mi się stało,
 Wydało mi się że porosłem w pierze,
 Aż przypadł wicher, nadał mnie jak żagle,
 I na powietrzu ujrzałem się nagle:
 Czuję że lecę, lecę duszą, ciałem,
 Z mym koniem, w tém ot! uzbrojeniu całym.
 Jak lecę? dokąd? nie wiem — dość że lecę
 Po nad lasami, na równi z chmurami;
 A bardzo szybko musiałem przelecieć.
 Gdym nawet nie miał czasu się polecieć
 Mego świętego patrona opiece —
 W końcu upadłem tu przed temi drzwiami.«

Opowiadanie szczeré rycerza
 Wielkim podziwem Annę uderza.
 Dziwna przygoda! któż ją wytłumaczy?
 Ale daleka jest od niewiary;
 Kluczem zagadki są jój własne czary,
 Dla tego pilnie w myślach wszystkoaczy.
 Rozważyć teraz nie jest jeszcze w stanie,
 Bo oto rycerz zanosí żądanie:
 »Lecz mniejsza o to jak było to było,
 Przynajmniej, dzięki Bogu, nie szkodziło;
 Więcej mi dobra niż złego zrobiło:
 Całe przynajmniej zostały ziobra
 I com tu znalazł« . . . — tu myśl jakąś ważył,

Lecz skrył ją nazad. — „Nie żal mi żem zażył
Takięj przejażdżki. — Teraz, matko dobra,
Pozwolisz że się cokolwiek osuszę
I snem choć krótkim posilę mą duszę;
Bo łatwo wierzyć jak jestem znużony,
A w taką flagę gdzie szukać ochrony?“

I jakby pewny był przyzwolenia,
Jął się rozbierać z swego uzbrojenia.

A w drugim kącie izby na tarczanie,
Odbyto krótkie, ważne pogadanie,
W którym się Anny utrzymało zdanie.

Prawda że ledwo nie omdlała z trwogi,
Kiedy tak dziwnie rycerz wszedł w te progi,
Ale jej przestrach zamienił się w radość,
Skoro na miejscu lękanego dziwa,
Stała postać chrześcijańska, żywa;
Zwykły rumieniec przegnał z lica bladeść,
Kiedy dziw stanął jak piękny młodzieniec.
Żywszym się blaskiem zapalił rumieniec,
Kiedy się rycerz tak szczerze otworzył,
I w tak szlachetny sposób hołd jej złożył.
Mimo to swoich nie puszcza zamiarów.
Wszystkiem jest dla niej ostatni cel czarów:
Ujrzeć kochanka chce jak dotąd chciała.
Tutaj jest węzeł gdzie się wszystko gmatwa,
I rozwikłanie nie jest sprawa łatwa.

Wię z jednej strony że nie bardzo śmiała,
Że strach z czarami idą z sobą w parze:
Już przez jednego mało nie zemdląa,
A drugi może straszniej się pokaże.
Któż to wie? może już umarł, broń Boże!
Na ten przypadek wiele jej pomoże
Żywego przytém rycerza przytomność;
Lecz w drugie ucho szepce znowu skromność,
Wstydlivość, sława ucziwa, kobięca,
Niepokalana duszy tajemnica . . .
Jest nad czém myśleć, — ale czasu nięma;
Trzeba pomiędzy trudnościami dwiema
Wybrać bez zwłoki. — Dziewica nieboga
Wybrała wreszcie co podała trwoga:
Z rycerzem zrobią co zrobić mogą,
A dzieło czarów pójdzie swoją drogą.
Tych myśli wniosek Justynie objawia,
W tę myśl Justyna z rycerzem rozmawia:
„Przebac mi waszmość że nie w mej możności
Być dziś dla jego osoby gościnną,
Z całego serca wszelką razą inną,
Lecz nie dziś, nawet przez wzgląd dla waszmości.
Niech waszmość tego za złe mi nie bierze,
I tegom pewna, gdy mu powiem szczerze,
Że już ta izba na noc zamówiona;
Czekamy właśnie na naszego gościa.
Najuniżeniej przepraszam waszmościa.“ —
»Ależ ta izba, matko, dość przestronna,

Moją osobą całej nie zabiorę.
 Zgodzim się pewno z spodziewanym waszym. —
 »To prawda, ale — bajką was nie straszym —
 Gość to co w nocną tylko jeździ porę.«
 »Choćby w północną, i cóż w tém straszego?
 Jeżeli ot ta pani się nie boi,
 To ja, namiestnik, z pułku Czarnieckiego,
 Z tą wierną szablą, w doświadczonj zbroi,
 Mogę tém bardziej nie bać się niczego.
 Zresztą, w mém życiu, znam już strach wszelaki,
 Szwedy, Moskale, Prusaki, Kozaki,
 Siedmiogrodziany, Turki i Tatarzy,
 Chciałbym znać stracha i tój jeszcze wiary,
 Ciekawym jak tóż wyglądają czarty.« —
 »Nie są to żarty, nie będą to czarty.
 Będę jak waszmość byleś nam otwarty,
 Ani chcę wątpić że wiecznie me słowa
 Ślachetna jego dusza w sobie schowa.
 Gość ten przybędzie znaną i wam drogą.
 Którąście tutaj przybyli z Złoczowa.
 A że przybędzie niema wątpliwości;
 Sam waszec doznał ile czary mogą,
 Przyznasz tém łatwiej kiedy spojrzysz na nie,
 Na ten tam garnek, na tę śliczną panię.
 Zdaje się jasno mówię dla waszmości.«

Usarz te słowa przyjął duchem kornym,
 Uznał że dłużej niewolno być spornym,
 Pojął rzecz całą, przysiągł tajemnicę,

Nie badał więcj, a tylko uprasza
 By mógł przez chwilę skorzystać z poddasza,
 Nim wiatr przepędzi pierwszą nawałnicę;
 Poczém natychmiast o inną gospodę
 Będzie się starał; dodaje zarazem,
 Jeżeli miesza w czém panny swobodę,
 Wnet wyjdzie — słowo jój będzie rozkazem.
 Korność rycerza ślachetna i miła
 Trafia w myśl Anny, bardzo ją niewoli.
 Staęło właśnie jak sobie życzyła.
 W każdym zdarzeniu pójdzie po jój woli.
 Wię on już wszystko, przy podobnym świadku,
 Mogą iść czary, a we złym przypadku
 Jego moc, męstwo będą jój obroną.
 Odejdzie skoro nastąpi konieczność.
 Dalszy bieg rzeczy przeciągnąć zasłoną.

Podziękowała mu Anna za grzeczność,
 Przyjmuje chętnie jego przedstawienie,
 Do pozostania daje przyzwolenie,
 Przy sobie jednak, rozumie się, zawsze,
 Nieokreślona zostawując władzę.

Wróżka, z swj strony, po krótkiej rozwadze
 Dodała nowe warunki łaskawsze:
 Spomniała sobie na swoją stajenkę,
 Jest ona dosyć dobrze opatrzona,
 W największą słotę pewna z nięj osłona,
 A usarzowi będzie dziś na rękę,
 Skoro zobaczy że dla wszystkich lepięj,

Gdy wyjdzie z chaty i snem się pokrzepi.
 Nie szło tak szybko jak się opowiada.
 Powieść rycerza, a później narada,
 Wzięły dość czasu, a przynajmniej tyle,
 Że ogień przygasł i w garku ucichło.
 Widzi to wróżka chociaż już nie rychło,
 Szczęście że czarów niestracone chwile,
 Jój kogut jeszcze nie śpięwa świtania,
 Zresztą robota tylko do odgrzania,
 Ogień nanieć i garnek przystawić:
 Na to nie trzeba wiele czasu strawić;
 Jakoż to wszystko zrobiło się szybko.

Ale tymczasem — „Moja złota rybko!“
 Wróżka do Anny na stronie mówiła:
 „»Starość nie młodość, opuszcza mię siła.
 Trzeba mi przysiąc, bo nogi nie służą,
 Może i zdrzymnę, bo oczy się mrużą.
 Młodsza, silniejsza, serce masz ochocze,
 Będiesz czuwała, ogień podniecała,
 A gdy usłyszysz, że w garku klekocze,
 Zbudź mię natychmiast — jeżelibym spała.“
 To rzekłszy kądziel w przypiecek zatknęła.
 Siadła, wrzecionem kilkakroć furknęła;
 Wkrótce wrzeciono wymknęło się z dłoni,
 Głowa obwisła, tu i tam się kloni
 I w kąć zapadła — już śpi, aż chrapnęła.

VI. Kusiciel.

Burza szaleje w całej swój potędze,
 Sporne żywioły zmieniły się w jedze
 I zagrażały wszystkiego przewrotem:
 Błysk gasł pod błyskiem, grzmot głuchnął pod
 grzmotem.

Czarna pierś burzy, jak burzy bezedno,
 Zajęła cały obszar ziemi stropu;
 Każdy grom walił jój zastawkę jedną,
 Po każdym lunął silniej dęszecz potopu.
 Niekiedy taki wichur się poruszał,
 Że szum ulewy i grzmoty zagłuszał.

Pod ten czas wewnątrz chatki ciche było,
 Jakby zaklętą określone siłą;
 Ciche i straszne, straszniejsze im cichsze:
 Każda tam groźba, co zawyła w wichrze,
 Każda, co w gromie zawarczała z głucha,
 Wstrząsała ciałem, wnikała do ducha.
 I Annę czemuś dziwnie niepokoi,

Spokojnie ona przed ogniskiem stoi,
 Na garku niby wzrok jej i uwaga,
 W twarzy, w postawie pewność niby męstwa,
 Ale od serca daleka odwaga;
 Gdyby też zdolną rozważyć się była,
 Zobaczyłaby że niebezpieczeństwa
 Największe dla niej nie w żywiołów sporze,
 Ale przeszkadza temu złego siła.
 Kto raz jej szeptom ucho swoje poda,
 Kto się raz wciągnąć da w dzieło nieboże,
 Już nie dla niego jasność i swoboda,
 Póki zagona czartu nie doorze,
 Póki w swym czynie sam się nie postrzeże,
 Że nie to zrobił co sobie zakreślił,
 Że nie tam zaszedł dokąd zająć umyślił,
 Dopóki sam się nie wyzwoli szczerze,
 Co bywa czasem śmiertelną boleścią.

W głębi zaś chatki, gdzie kąt drzewom przeciwny,
 Siedział oparty na stole gość dziwny,
 Wciąż z należytą dla Anny częścią.
 Chowając pilnie i ściśle umowę,
 Swe ruchy, nawet wzrok na wzdzy trzymał;
 Był jakby nie był, jak widmo stalowe,
 Przez chwilę nawet zdało się że drzymał,
 Lecz niemógł usnąć — może burzy wina,
 A może inna, wewnętrzna przyczyna —
 Otworzył oczy i długie spojrzenie
 Przykuł do Anny, a w niem naprzód było

Jakby dla tyłu wdzięków uwielbienie,
 Poczém tajemnym ogniem zaiskrzyło,
 W czole błysnęło jakieś umyślenie,
 Wyprostował się, jakby ożył siłą.
 »Niéma,« zawołał, »nie, niéma sposobu!
 Co się tu dzieje, zbudziłoby z grobu.
 Jestem żołnierzem, wielum trwóg świadomy,
 Już pod niejedną burzą bitwy stałem,
 Znam błyski mieczów, znam działowe gromy,
 I, choć śmiertelny, nigdy nie zdrzałem,
 Przynajmniej mógłbym panować strachowi,
 Lecz tu dopiero — muszę być otwarty —
 Przekonałem się że strachy nie żarty.« —
 »A ja . . . ja nie drzę« — Anna mu odpowie.
 Anna zmyśliła, w jej głosie to słyhać,
 Widać to w ustach co się chcą uśmiechać,
 A krnąbrny uśmiech ustom się przeciwi.
 »Właśnie ta śmiałość najwięcej mię dziwi,« —
 Rzekł znowu usarz, — »męstwo nie dziewicze
 W ciele dziewicy; wszakże pragnę, życzę,
 Aby dotrwało aż do końca próby.« —
 »Ja liczę na to, a tém pewniej liczę,
 Że koniec bliski, bo wszystkie rachuby. . . .«
 Grom przy tém słowie uderzył tak blisko,
 Że aż gwałtowniej spłonęło ognisko,
 A bohaterka jednym skokiem prawie
 Jest już przy stole i siedzi na ławie,
 Blisko, choć przez pół tyłem do usarza.

On tego ruchu niby nie uważa,
 Tylko cokolwiek bliżej się podsunie,
 Zawsze jak dotąd i dworsko i grzecznie,
 Rzuci nawiasem słówko o piorunie,
 Że krewny ognia, jak więc niebezpiecznie,
 Kiedy się w piecu podczas grzmotów pali,
 Że jeszcze gorzej stać wtedy u pieca,
 Poczém przerwana rzecz prowadził dalej:
 »Rachuba ludzka rachuba kobięca.
 Robota taka jak robota pani
 Ma różne końce, czasem końca nięma;
 Bo chociaż mogą zbyt wiele szatani,
 Lecz stér wszystkiego wola Boża trzyma.
 Bóg téż człowieka rozumem obdarzył
 Na to by człowiek dobrze wprzód rozważył
 Rzecz przedsiębraną, jęj cele, pobudki,
 Niebezpieczeństwa, przeszkody i skutki,
 Jest-li szkodliwa, albo pożyteczna,
 A nadewszystko czy Bogu nie sprzeczna.«
 Słowa usarza nie były daremne,
 Choć może trochę ogólne i ciemne;
 Dusza dziewicy jest w stanie rozbita,
 Co się ratując każdą falkę chwyta.
 Słowa te z jednéj strony studzą,
 Lecz z drugięj znowu świętą bojaźń budzą,
 Tę bojaźń która ku prawdzie nakłania;
 Anna słuchała słów tych jak kazania,
 Poddaje się ich prawdzie, a z kolei

Zbliża się więcęj i do kaznodziei.
 Nie jest to jeszcze pełność zaufania,
 Ale krok jeden do porozumienia.
 »Tak, piękna pani, końce czarów różne,«
 Począł znów usarz po chwili milczenia,
 »A czasem straszne, kiedy Bóg dopuści
 I usłuchają szatany usługne.
 Nie tylko z grobów lecz z piekiel czeluści
 Przekłętą duszę, zgniłe ciało wyrwą
 I rzucą w oczy ducha albo ścięrwu.«
 Usarz w ogólném nie zamknął się słowie,
 Lecz tu i owdzie jakiś przykład powie
 Z niewyczerpanych to pieśni, to skazek,
 Co mowę jego, jak książkę obrazek,
 Urozmaica, żywym wdziękiem zdobi,
 I zmysłom nawet dotykálną robi.
 Widać że znana mu sztuka malarza,
 Tak obrazami mowę swą przeplata,
 A tak w kolorach zagrobnego świata
 Macza swój pędzel że aż myśl przeraża.
 Jak umiejętnie okropność malował,
 Tak biegle coraz wyżej ją stopniował.
 Poczuc woń trupa, ujrzeć ducha złęgo,
 Już to strach wielki, może mózg przewrócić,
 Może z człowieka duszę precz wyrzucić;
 Ale jest jeszcze coś okropniejszego,
 Gdy ten kościotrup, gdy ten potępieniec
 Staje przed żywym, jako oblubieniec,

I dumnie, groźnie każe łoże grobu
 Podzielać z sobą, i chwyta jak swego,
 I wlecze, niesie gdzieś — może do piekła,
 A wydrżać mu się niema już sposobu.

„Cobyś pani na to rzekła,
 Gdyby posłuszne szatany —
 Przypuścimy, że spodziewany
 W kawalki jest porąbany —
 Zrobiły ci niespodziankę
 I zniosły jego siekankę.
 Widzę co przedstawiam w słowie,
 Aż włosy wstają na głowie.
 Przez okno głowa się tłoczy
 I wytrzęszcza oczy trupie,
 Kadłub pełza po chałupie,
 Przez próg naga sama kroczy,
 Przez komin spuszcza się ręka,
 I w jeden szkielet się wiąza,
 I prosto ku pani dąży;
 A kość o kość głucho szczęka —
 I takie ot! dziwowiszcze
 Bierze ją w kości jak w klęczce. . . .“

Tu, niewiadomo z jakiego powodu,
 Na rękę Anny dłoń swoją położył,
 A chociaż dłoń ta niebyła jak z lodu,
 Tak opowiadaniem swoim ją roztrwożył,
 Że obraz może za istotę wzięła,
 Wstrzęsła się cała, głośném ach! krzyknęła;

Lecz wstyd natychmiast dał jej siłę taką,
 Że się podniosła najspokojniej z ławy,
 I zaśmiała się sama z swęj obawy,
 Choć w głębi wnętrza czuła ją jednaką.
 Usarz z swęj strony uznał za konieczność
 Wyznać, że spełnił srogą niedorzeczność
 Stawiać w ten sposób tak straszne obrazy,
 Chciał przebaczenia — „O! żadnej urazy!
 I owszem wdzięczność oświadczyć mu mogę:
 Przebędę łatwiej rzeczywistość trwogę.“
 I potwierdzając zmyślenie to czynem,
 Zaczęła, według Justyny zlecenia,
 Krzątać się znowu koło płomienia.
 Lecz strach co chwila spuszcza się kominem,
 Dla tego praca idzie jej niesporo.
 Rzuci gałązkę — gałązka nie sucha;
 Dmuchnie w zarzewie — pierś za słabo dmucha;
 Drwa się zajęły — zbytнім ogniem gorą —
 Może się płomień dostać do komina
 I spalić chatkę, więc wodą polała;
 Bo już na rozum brać rzeczy poczyna:
 „Zapłochom, widzę, w te czary się wdała,
 Wszystko być może co usarz powiada,
 Wszystko być może jeśli Jan nieżywy:
 Z trupem choć z miłym przeprawa nielada,
 Obraz usarza straszny lecz prawdziwy.

Sam Bóg mi widać nadarza
 W tak trudnej chwili tego usarza.

Cóżby to się stało ze mną,
 Gdyby mnie samą zeszło takie dziwo?
 Już na myśl o niém, w oczach mi ciemno,
 Czuję się zaledwie żywą.
 Teraz, choć jeszcze puka serce moje,
 Teraz przynajmniej nie tyle się boję.
 Bóg mi prawdziwie nadarza
 Tego dobrego usarza.
 Pamiętam, gadała mama,
 Mama to gadała sama:
 Anusieńku! dary nieba
 Otwartém sercem przyjmować trzeba;
 Niebo mi samo nadarza
 Tego dobrego usarza.“

Garnek w tój chwili głośniej szumieć zacznie —
 Odsunęła go od ognia nieznacznie.
 A myśli jedne za drugimi płyną,
 Chwieją umysłem, jak wiatry mdłą trzcina.
 Dziewica każdą ogląda i bada,
 Może w tój trwodze która się jój nada,
 Może się w którój znajdzie dobra rada.
 Znalazła jedną — zmienia ją w pytanie
 I usarzowi temi słowy poda:
 „Kiedy o czarach tyle wiecie, panie,
 Wiecie zapewne jaka jest przeszkoda,
 Że czarowany, chociaż dusza żywa,
 Jednak nie przybywa?“
 „Może się modli, może u spowiedzi,

Może pod inném zaklęciem już siedzi,
 Może w kim innym mocniej zakochany:
 Przeciwno wszystkim przeszkodom takim,
 Czary bezsilne z całą swoją siłą.“
 Annie na sercu słabo się zrobiło,
 Żadnym się jednak nie zdradziła znakiem,
 Tylko jój ręka, drżąca i niepewna,
 Zburzyła ogień poprawując drewna.
 A raz ujętj myśli się pilnuje
 I nowe ważne pytanie z nięj snuje,
 Jest ono słowem rozmowy potocznej,
 Ale i gwiazdą dla duszy obłocznej,
 A raczej błędnym ognikiem uczucia
 Na polu uczuć niewinnych zepsucia.
 Bo tylko zmienmy swą miłość w powszednią,
 Wnet posądzania, siostry nieodstępne,
 Gwiazdę zazdrości rozpalają przed nią,
 I rój zaczyna wieść Nazłość posępne,
 Które się z czasem w zemstę przeobraża
 I może miłość zamienić w zbrodniarza.
 Anna zapewne nie popełni zbrodni,
 Lecz ją zasępiea tuman tój pochodni.
 „Wszak się niemylę,“ rzece do usarza,
 Że pułk waszmości to ów pułk holzacki?“
 Usarz potwierdził i odgadł gdzie mierzy
 Ten strzał puszczony niejako z zasadzki.
 „On teraz ciągnie ku zimowj leży?“
 Usarz znów zwięzłém twierdzeniem odpowie.

„Dziś jest w Złoczowie?“ — „Tak, pani,
w Złoczowie“ —

„Ztąd do Złoczowa nie tak wiele drogi“ —

„Ha! to zawisło“ — rzekł usarz z uśmiechem —

„W chwili ją zrobi ten kto jedzie lichem,
Lecz na zwyczajne zdrowe końskie nogi,
Kończył poważnie — „dość dwa dni najwięcej.“
Dwa dni, dwa tylko, — i przybyć mu trudno!
Krażyło z żalem po głowie dziewczęcej —
Widać że kochał miłością obłudną.
Tego się trzyma, bo coś każe wierzyć,
Coś szeptu sercu, że nie może nie żyć.
„Teraz zapewne, gdy wojny już niema,
Służba nikogo tak mocno nie trzyma,
By niemał na czas woli zostawionej
Odwiedzić miłych, miłe sobie strony?“ —
Na to jej usarz z przekąsem szyderskim:
„Tak! mir położył kres czynom rycerskim,
Otworzył drogę do miłych, do domu,
Każdy też ruszył gdzie najmilej komu,
Ztąd niejednego dom nieujrzy wprędce“ —
Tu zaczął prawić, na pozór w gawędce,
Jak wielu, wdziękiem Niemek upłątanych,
Już się na zawsze w Niemczech osiedlili;
Jak inni, z pierwszej korzystając chwili,
Zmykają z Polski do swoich kochanych.
I kto już dotąd nie jest między swemi,
Można go znaleźć na niemieckiej ziemi.

„Potrzeba także to wiedzieć“ — powiada —

„Że pułk holzacki, to pułk zwodzicieli;
Lecieli w miłość, jak na bój lecieli.
Niemek też za nim włoczyły się stada.
Jak tu się oprzeć było takiej próbie?
Ja co innego, ja Niemek nie lubię
I nie lubilem od małego dziecka,
Taka już widać moja krew szlachecka.
Ale co innym . . . bardzo trudno innym
Tęsknić przy Niemkach do swych polskich bogiń.“

Po sercu Anny, prostotą niewinnem,
Przemknęła zazdrość jak gromowy ogień,
Zaskliła lekką lezką jasność wejrzeń,
A przez mgłę głowy przewiodła chorowód
Swego orszaku, domysłów, podejrzeń
I podsunęła w jedném oka mgnieniu
Jasny, jak słońce śród pogody, powód
Tak niezwyktemu kochanka spóźnieniu:
Może i jemu, może także padło,
W innych gdzieś krajach związać się miłością!...

To „może“ nie jest stanowczą pewnością,
Lecz w szalce wątpień jest jak jej wahadło
Które się czasem do pewności kłoni;
I „może“ Anny nakłania się do niej.
Długo na strony wahając się obie,
Stanęło w końcu na myśli tej treści:
Dosyć już troski, dosyć już boleści!
Niechaj co chce robi sobie,

To ja przynajmniej tak zrobię
 Jak mi mój rozum doradza.
 Czy mię kocha, czy mię zdradza,
 Moc moja nic w tém nie może.
 Lecz albo żyje, albo już w grobie.
 Jeśli nie żyje, — śmierć łatwa w boju —
 I trupem tutaj stanął, broń Boże,
 Toby mię pewno zabiła trwoga,
 Najlepiej przeto zdać się na Boga
 I zostawić go w wiecznym pokoju.
 Jeżeli żywy i zdrowy,
 Choćbym go ujrzała rada,
 To tak źle być wśród powietrza,
 Jak ten ot! usarz powiada.
 Taki tam strach koło głowy,
 Że lotu jego przyspieszać nietrze,
 Możeby się rozchorował.
 Jeśli ma przybyć, przybędzie bez tego;
 A nawet, myślę, najlepiej dla niego,
 Ażebym drogą zwyczajną wędrował,
 Powoli prawda lecz za to bezpiecznie.
 Zresztą niechaj się podróżą nacieszy,
 Miła mu widać kiedy się nie spieszy.
 I raz na drodze zdrowego rozsądku,
 Podobnych myśli trzymając się wątku,
 Ujrzała jasno, jak to niedorzecznie,
 A nawet z grzechem przeciw Bogu było,
 Przyciągać tego jakichś guseł siłą,

Który albo sam o nas się nie troska,
 Albo go wola zatrzymuje Boska.
 Cała ta praca spełnia się głęboko,
 Nie dostrzeże jej lada ludzkie oko.
 Poprawowane ognisko
 I pali się i nie pali;
 Garnek jest raz przy nim blisko,
 To nieznacznie się oddali;
 Nóż, tkwiący dotąd w podłodze,
 Znalazł się jakoś na drodze,
 I padł, przypadkiem niby potrącony;
 Anna nie zważa na noża przypadek.
 Ale przy stole siedzi baczny świadek,
 Dla niego żaden ruch jej nie strącony;
 Bystrém spojrzeniem każdą myśl nurtuje,
 Czasami rzuci wyważone słowo;
 A z twarzy widać że się już gotuje
 Puszczzone dzieło popchnąć w kolej nową.

VII. Oświadczyńy.

Anna siedziała na ławie,
 W miejscu zkąd niedawno wstała:
 Znużenie w całej postawie,
 W zamęcie myśl rozbijała;
 W oczach to błysnie gorączka,
 To mgława przebija śpiączka.
 Wprawdzie moc jej niepowszedna,
 Ale pora tak spóźniona,
 Ale ona przeszła, biedna,
 Tyle burz głowy i łona,
 Tyle zbiegła życia drogi,
 A w krótkim ducha przewiewie,
 Że mdleje ciało niebogi,
 I co dalej robić? nie wie.
 A na dworze cichnie burza.
 Czoło się nocy rozchmurza.
 Ułagadza się powietrze,
 Jęk wichru słabiej się zali,
 Błyskawice coraz bledsze,
 Grom pogrzmiewa coraz dalej;

Dzwoniąc w okna coraz słabiej,
 Dészcz coraz drobniej pokrapiał,
 Z kapiącego rosą listka
 Słychać skrzekot pieśni żabięj.

Nagle kur z za pieca zapiał,
 Pierzasta drużyna wszystka
 Odgdała mu z pod strycha,
 Anna jakby się ocknęła,
 »Północ!« rzekła przez pół z cicha.
 »Nie! północ dawno minęła.«
 Usarz z swęj strony zawoła,
 Podnosząc się z po za stoła.
 »To pieśń przedświtnej pobudki!
 Czary zrobiły swe skutki;
 Stało się co stać się miało.«
 Postąpił przed Annę śmiało,
 Z wejrzeniem tkliwém lecz pewném,
 Ze słowem pełném a rzewném;
 Zatrzyma się przed siedzącą,
 A miał postać okazałą
 I zarazem błagającą.
 »Tak, piękna pani!« — rzekł znowu —
 »Stało się co stać się miało,
 Możesz wierzyć memu słowu;
 Nie jest zdradliwe ni płoché.
 Znam się ja na guślach trochę,
 Pilniem baczył co się dzieje
 I mówię w całej pewności,

Że próżne w czarach nadzieje;
 Bezsilny już duch ciemności,
 Przemineła chwila jego,
 Nie czekaj spodziewanego.
 Uczucia pani szanuję,
 Jój tajemnica mnie święta.
 Kto on? co go zatrzymuje?
 Niewiem — ale coś dziwnego
 Wziąć go musiało w swe pęta,
 Gdy urok czarów za słaby
 Sprowadzić go swoją siłą,
 Gdy takie nawet powaby . . .
 Tylu bez czarów wróciło
 Do wdzięków które nie mogą,
 Iść z twojemi w porównanie!
 Lecz nie posądzam nikogo.
 Ja mam jasne rozwiązanie
 Tój całej niby zagadki.
 Prawda że dziwne wypadki!
 Bo się najczęściej przez dziwa
 Wola Boża wykonywa.
 W owój dziwów płataninie,
 Co nas zwiiodły do tój chatki,
 Widzę sąd Boży jedynie,
 Który, połączywszy w niebie
 Losy nasze, dziś na dole
 Zbliża nas wzajem do siebie.
 Jakbym czytał ową wolę

W przeznaczeń statucie wiecznym:
 Ty, Janie, masz być Annie
 Druchem i sługą statecznym,
 A ty, Anno, nieustannie
 Świecić masz gwiazdą Janowi.
 Tak wola Boża stanowi.
 Serce sąd ten przeczytało
 I poddało mu się snadnie,
 Jego siłą mię porwało,
 Przy tobie się zatrzymało
 I u stóp się twoich kładnie;
 A w pokorze swojej tuszy,
 Że nie pogardzisz niem biédnym,
 Bo pełni wyższe rozkazy.“
 Wymawiając te wyrazy
 Usarz kląkł kolanem jedném.
 Anna pół śpiąca, rozbita
 I na ciele i na duchu,
 Siedziała z razu bez ruchu,
 Pomieszana, jakby wryta.
 Skoro poczuła gdzie zmierza,
 Nim skończył, mowa rycerza,
 Silną się wolą uderza,
 Splonęła wnętrzném gorącym;
 W sercu pośpieszniej bijącym
 Otwiera się źródło siły,
 Oczy życiem zaiskrzyły,
 Postawa duchem podраста:

Ocknęła się w niej niewiasta,
 Córka Polek nieśmiertelnych,
 Siostra, żona, matka dzielnych.
 Tak z miejsca swojego wstała,
 W takiej postawie słuchała.
 Rzekłbyś patrząc: »to królowa,
 Sercem otwarta miłości,
 Lecz ujmę swojej godności
 Surowo skarcić gotowa.
 Gdy usarz ugiął kolana,
 Cofnęła się niez mieszana
 I przemówiła w te słowa:

»Wstań waszmość. Bijmy kolanem
 Tylko przed stworzenia Panem,
 Nie przed mdłym jego obrazem:
 Ja mam stworzenia pokorę,
 Kobięta, Polka, nie biorę
 Serca co się czolga płazem:
 Moje serce, z łaski nieba,
 Bije wysoko, krwią zacną,
 Podobnego jemu trzeba;
 Nie wątpię że będzie łącno
 Mężowi jak wy godnemu,
 (Bo mi was takim wydaje
 Wasz stan, postać, obyczaje)
 Odpowiedzieć sercu memu.
 Także w mój prostocie wierzę,
 Że co mówicie to szczerze.

Rzecz wasza silna prawdami;
 I istotnie, co w tym czasie
 Zaszło, to tak dziwnem zda się,
 Że wszystko mówi za wami.
 Wypowiedziałam najszczerzej
 Ile odemnie zależy;
 Reszta w mych rodziców woli
 I u Pana wszelkiej doli.«

Ośmielony słowy temi,
 Usarz w wielkiej swój radości
 Zaledwie pojąć się zdołał;
 Powstał na jęj rozkaz z ziemi,
 A cały w ogniu miłości,
 Głosem zachwycenia wołał:
 »O Aniele, nie kobięto!
 Urok twęj postaci tylko
 Oczarował mię przed chwilką,
 Teraz znam twą piękność skrytą,
 Twoją duszę widzę, czuję;
 Teraz duszy twęj ponęta
 Porywa mię w takie pęta,
 Że z nich nie mię nie rozkuje.«
 I schwycił drobną jęj rączkę,
 I w tém samém oka mgnięniu,
 W pocałunku, w uściśnieniu,
 Złożył na nięj swą gorączkę
 Serca w miłośnym płomieniu.
 Poczém jakby więcej ożył,

Jakby miłosnej wymowy
 Nowy źródł się w nim otworzył,
 Wylał z siebie potok nowy
 Oświadczeń, ślubów wieczystych,
 Przymiareń, przysięg ognistych,
 Holdów, uwielbień kwiecistych
 W słowach obfitych, doborych;
 Nie zaniedbał w więcej kornych
 Napomknąć o swoim rodzie,
 O jego dawniej zacności,
 O swym rycerskim zawodzie,
 O pochlebnej w nim przyszłości,
 O ziemskim z przodków dostatku,
 O wszystkiem czem go obdarzył
 Bóg w swych łaskach nieustanny;
 Tylko, dodał na ostatku,
 By łask nieba pełno zażył,
 Brakło mu jednego datku
 Nad wszystkie, spółniczki — Anny.

A ona przez pół go słucha,
 Przez pół puszcza mimo ucha,
 Niespokojna, rozszargniona;
 Przez chwilę nawet się mieni
 Twarz jej dotąd wyjaśniona.
 Oto jakiś szelest w sieni
 Dał się słyszeć — i westchnienie.
 Słucha pilno — już nie słyszy
 Nad chwilowy gwar z kurnika;

Po chwili wszystko znów w ciszy,
 Niepokój dziewicy znika.
 Było to snadź przywidzenie.

Rzuciła oknem spojrzenie:
 Burza całkiem ustąpiła,
 I pogoda pełna, miła
 Zatarła wszystkie jej ślady.
 Całe niebo bez obłoczka;
 W całym blasku księżyc bładny;
 Kropelki dżdżowe, jak oczka,
 Traw i kwiatków a bez liku,
 Igrają w jego promyku.
 Cisza zaległa powietrze;
 Czasem tylko wiatr pierzeliwy
 Swawolnie lekkim skrzydełkiem
 O lepiankę się obetrze,
 Lub głucho zagwarzy zgiełkiem
 Potoków przeszłej ulęwy.

Anna, tej odmianie rada,
 Czuje że już jej wypada
 Dłuższy pobyt w chatce skrócić
 I co prędzej do dom wrócić;
 Zwraca się ku usarzowi,
 Dotknięciem jego ramienia
 Prosi o chwilę milczenia
 I z śmiałą pewnością powie:
 „Niebo błednieje świtanem,
 Czas mi już do domu mego,

Ale, zacznę się rozstaniem,
 Mam jedno słowo do niego.
 Wołaj nieba czy przypadkiem
 Byliście takich spraw świadkiem,
 Że łatwo dostrzedz mogliście
 Wielkiej mojej tajemnicy,
 Która czem jest dla dziewicy?
 To wam widno oczywiście.
 Słowu jego ufam przecię,
 Ufam jego ślachetności,
 Że nigdy tej wiadomości
 Z mą szkodą nie użyjecie.
 Ale co dziwnym obrotem
 Zaszło między nami potem,
 To mu podszeptać jest w stanie
 Niepochlebne o mnie zdanie.
 A tymczasem ja nie płocha.
 Tak! serce moje kochało,
 Może nawet jeszcze kocha;
 Byłam ślubom sercom stałą,
 Śród przeszkód niezrachowanych.
 Bogu jednemu wiadomo,
 (Bom tę miłość skryła skałą
 Oku rodziców kochanych),
 Bogu samemu wiadomo,
 Com dla niej zniosła kryjomo:
 Ile bólów nieleczonych,
 Smutków z nikim niedzielonych,

Ile z sobą, z światem bitew,
 Czystych i grzesznych modlitew,
 Ile westchnień uwięzionych,
 Ile łez sercem połknionych! . . .
 Tu jej dusza zaniemogła:
 Piersi zaparł żal głęboki;
 Drgnęły koralowe wargi
 Drzeniem najrzewniejszej skargi,
 Trysnęły dwa łez potoki;
 Lecz się natychmiast przemogła.
 „Uczuciu mojemu stała,
 Ja słaba, trwożna dziewica,
 Byłabym się świata zrzekła,
 Ja wówczas byłabym śmiała
 Pójść przeciw woli rodzica,
 Wejść choćby na drogę piekła,
 Gdzieście mnie właśnie spotkali . . .
 I gdzie już nie pójde dalej.

A przez ten czas z strony drugiej
 Żeby słówko pocieszenia,
 Żeby jakabądź oznaka
 Spółuczucia, spółcierpienia,
 Żeby choć wiadomość jaka,
 Nic! — żadnego zasilenia! . . .
 W takiej przerwie czasu długiej . . .
 Nie mamże prawa do myśli
 Że takie serce ostygło,
 A nawet zagasło może?

Albo rozrządzenie Boże,
Co nam losy nasze kręśli,
Samo związek ten rozstrzygło?

Być tak dłużej jam niezdolna.
Odtąd ja czuję żem wolna.
Odtąd nie puszcę się już toru,
Gdzie wola mego wyboru,
Wola rodziców i Boga,
Pójdą razem w wiecznej zgodzie.
Taka mego serca droga,
Takie serce w obec Boga.
Kto go pragnie, niech ogląda,
Niech zważy w całej swobodzie,
Czy jest jakim je mieć żąda.“

Usarz miał wyrzec swe słowo,
Gdy, z obojga zadumieniem,
Niby w sieniach coś na nowo
Westchnęło silném westchnieniem;
I garnek téż opuszczony
Mocniejszém wrzeniem zagwarzył,
Pod ogniem, co niezgaszony
Znów się sam z siebie rozżarzył.
Usarz który wzrokiem szpiega
Wszystko zważa i dostrzega,
Wylumaczył wnet zdarzenie:
„Próżna,“ rzekł, „nasza obawa,
To tylko słuchu złudzenie
A ostatnia czartów sprawa.

Te westchnienia z garka idą;
Gdybyśmy z nim nie skończyli,
Kto wie? w najważniejszej chwili
Mógłby rzygnąć jaką biędą.
A jak skończyć? zbić go trzeba.
Naprzód zasługa u nieba
Skruszyć złych duchów narzędzie,
Potém mnie samemu będzie
Choćby jeden jego szczątek
Najbezczenniejszą z pamiątek
Téj chwili nad wszelkie chwile
Co mię uszczęśliwia tyle.“

Anna zgodna najzupelniej;
Zastanawia ją jedynie,
W jaki sposób to się spełni,
I co powiedzieć Justynie?
Lecz usarz i w téj potrzebie
Przyjmuje wszystko na siebie.
Garnek zbyt był zasklepiony,
Płomień zbyt był rozniecony,
Tak mocno nagle zawrzało,
Że aż garnek roztrzaskało —
A strzaskanie on wykona.
I cała sprawa skończona.
Annie dobrém się to zdało.
Więc za chwilę rzecz skończona.

VIII. Zjawienie się kochanka.

Z okiem na śpiącą wróżkę skierowaném,
 Zaledwie ziemi palcami tykając,
 Skrada się usarz ze sporém polanem;
 Jego krok koci, oko czujny zając.
 Staje po cichu przed pieca ogniskiem,
 Uderza w garnek, z góry, z siły całej,
 Garnek zazgrzytał, prysnął wrzątku tryskiem
 Na wszystkie strony i runął w kawały.
 Syknęły przykro obryzgame głownie,
 Płomień, jak wściekły, z paszczy pieca buchnął,
 Na całą chatkę popiołami dmuchnął;
 Drzwi się od sieni otwarły gwałtownie,
 Jakby wiatr nagły wyrwał je z zawiasów.
 Wróżka, zbudzona tą burzą hałasów,
 Zrywa się z ławy, poleca się Bogu.
 Lecz większy przestrach schwycił wszystkich społem,
 Kiedy mgła pary opadła z popiołem:
 Bo oto nowy mąż zbrojny stał w progu.
 Twarzy nie widać — przyłbica spuszczone,

Stoi chwil kilka posagiem stalowym,
 Robi krok wreszcie i głosem grobowym,
 Przemawia groźnie: »nie! rzecz nie skończona!
 »»Wszelki duch« — woła wróżka — »»Pana
 chwali.«

»I ja go chwałę» — odpowiada dziwo.
 »»Jak tu przychodzisz? czy trupem, czy żywo?«
 »Niewiem» — i dalej wolnym krokiem zmierza.
 »»Po co przychodzisz?« — »Po Annę z Nabrzeża.« —
 I ku nięj kroczy widziadło ze stali.

Lecz Anna sama oszczędza mu drogi.
 Strwożona, prędko ochłonęła z trwogi;
 Ona niemylném kochanki pocuciem
 Dostrzegła prawdy pod zbroi okuciem,
 Ani ją głosy udane zmyliły,
 Prędko w nich ona poznała głos miły.
 I jak poznała, wnet z radością dziecka
 Klasnęła w dłonie, skoczyła z zapiecka
 Gdzie się schroniła w przerażeniu pierwszym.
 »To on! on.« — woła — »to własny głos jego!
 Chwyta dłoń jego ściśnieniem najszczęśliwszém,
 A drugiej ręki badawczém dotknięciem
 Pyta o serce puklerza zimnego.
 I wnet pewniejsza, woła z uniesieniem:
 »Nie wiercie jemu — on nie duch — on żyje!
 Jego dłoń pała, jego serce bije!
 On na to zimny jak cały ze stali,
 Przemawia tylko powoli, surowo,

Głosem wyrzutu co się razem żali,
 A jako strzałę puszcza każde słowo:
 »Niemasz-że prawa do myśli,
 Że takie serce ostygło,
 Albo nawet zgasło może?
 Lub że rozrządzenie Boże,
 Co nam losy nasze kryśli,
 Samo związek ten rozstrzygło?
 A więc wtedy serce wolne;
 A że próżnym być niezdolne,
 Więc się innemu odmyka.«

Gorzki to wyrzut! jeżeli nie zabił
 Uniesień Anny — wszakże je osłabił.
 Lecz ona staje w pokorze grzesznika,
 Blednieje żalem, wnet się wstydem płoni,
 Ona nie przeczy, ona się nie broni,
 Obiema dłońmi twarz sobie zakrywa,
 I woła słowem co się wciąż urywa:
 »Tak, zawiniłam! . . . cała wstydem pałam . . .
 Ja to odpłacę . . . odpłacę mem zdrowiem . . .
 Tak jest . . . uwieść się szatanowi dałam . . .
 Wszakżem niewinna! — sama później powiem . . .
 I łzy obfite z pod rąk jej kropiły,
 A duszą smutną, lecz czystą świeciły. —
 Gdy po tych słowach ręka z ocz opadła,
 W miejscu zimnego, groźnego widziadła
 Stał przed nią miły w swjej postaci własnej,
 Z odkrytą głową, z obliczem wesołym,

Z uśmiechem w twarzy od wesela jasnej,
 Skłonił się Annie ukorzonem czołem,
 Wziął jej dłoń, złożył pocałunek na niej,
 I rzekł z uśmiechem: »uspokój się pani!
 Co mi masz mówić, sam wszystko słyszałem,
 A co się stało może wprzód wiedziałem;
 Bo co się stało, dzieje się zwyczajnie,
 Czas już i ciebie wprowadzić w tę tajnię.
 A naprzód pozwól, że przedstawię tobie
 W znanej już pana Wolskiego osobie,
 Który grał tutaj rolę kusiciela,
 Doświadczonego mego przyjaciela;
 Od dziecka z nim się znamy i kochamy,
 Dzisiaj służymy w chorągwi tej samej.
 Myśmy wieczorem jeszcze tu przybyli,
 O dzień komendę naszą wyprzedziwszy,
 I wczoraj jeszcze byłbym najszczęśliwszy
 Mój hołd ci złożyć, nie tracąc i chwili,
 Gdyby nas pora nie wstrzymała późna.
 Widzę tę chatkę, dawna to znajomość —
 Więc do Justyny — stajenka jej luźna —
 Chętnie nas zagna przyjął staruszka.
 Jużeśmy właśnie brali się do łózka,
 Gdy nam Justyna przyniosła wiadomość
 O twém przybyciu i dziwném żądaniu.
 W owęjto chwili coś mi podszeptnęło,
 Doświadczyć serca kobiety w kochaniu.
 Wnet w myśli całe złożyło się dzieło,

I z myśli zaraz wylało się w słowa:
 Przyjęto pomysł — stanęła umowa.
 Wolski nadwszystko był uradowany;
 Jego to pomysł, że garnka strzaskanie
 Będzie jak salwa stanowczej wygranej.
 Reszta ci znana — znane wykonanie —
 Mnie równie — ile słuch sędzić jest w stanie
 Co oczy widzieć byłyby wołały —
 Bom stał za drzwiami w sieniach czas ten cały.

Oto masz nagą tajemnicę całą
 Tego co zaszło, serca mego pani!
 Ufam, że wszystko co się tutaj stało,
 Nie pozostanie jak igraszką dla niej;
 Że ją policzysz między krotofile,
 Których wyprawia miłość codzien tyle,
 Twa wina pani, jest ci odpuszczona.
 Możem już wyrzec: teraz rzecz skończona. “ —

Nie z tém uczuciem słuchała dziewica,
 Z jakim kochanek mówił, w jakie mierzył.
 Już wstęp powieści gromem ją uderzył.
 Po nim ślepiąca, długa błyskawica
 Całą ją w wszystkich jęj władzach olśniwa
 W miarę jak naga prawda się odkrywa
 Wszystkiego co ją spotkało tej nocy.
 Aż przywołała całej swojej mocy,
 I z zawstydzonej, zebrzącej przed chwilką,
 Stanęła raczej w obrażonej dumie:
 Zdrętwiałą leżkę trzyma w oku tylko;

Oko w dół spadło, lub zwraca się w stronę;
 Za to ku słowom ucho natężone,
 Widać że każde chwyta i rozumie,
 Że je gdzieś spuszcza, jak w przepaść bezdenną,
 Ale co z niemi robi się tam na dnie,
 Tego patrzący nie dojrzy, nie zgadnie,
 Taką się korą pokryła kamienną.
 Słowem ni ruchem nie miesza powieści;
 Pytań nie robi — powieść ta choć zwięzła, —
 Jest rozwiązaniem każdego jęj węzła;
 Dla siebie samęj ma téz dosyć cześci,
 Aby się duch jęj do wyrzutów zniżył,
 Wyrzut tytkoby jęj czuciom ubliżył.
 Do końca przeto słuchała cierpliwa;
 Lecz kiedy umilkł: — ”rzecz ma być skończona,
 Waszmość powiadasz? — z wolna się odzywa
 Głębokiej skargi i bolu wyrazem,
 W którym słyhać dźwięk rozbitego łona.
 Umilkła, chwilę głową ruch robiła,
 Ruch gdzie wątpienie i przeczenie razem;
 Znowu bezwładnie głowę pochyliła,
 Lecz ją natychmiast jak ockniona dźwignie:
 ”Ha! zobaczymy! — jutro się rozstrzygnie.“ —
 Wnet się postrzegła; że czas biegł z pośpiechem,
 Co było jutrem w dzisiaj się zmieniło.
 ”Zapomniałam się“ — rzecze z pół-uśmiechem.
 Z którego w duszy źródło płaczu biło.
 ”Miałam powiedzieć, dzisiaj się rozstrzygnie.

Cóż robić? niech się wola Boża dzieje!
 A mnie na teraz, zaczm rozednieje,
 Nie pozostaje jak do domu śpieszyć.
 Dobranoc, babko! Żegnam was, panowie.“ —
 »Jako? tak krótko« — Jan błagając powie,
 Miałbym się pani obecnością cieszyć? —
 Chwileczka jeszcze« — Anna w progu staje,
 Patrzy w kochanka błyskiem jednej chwili,
 »» Krótko?«« pyta go — »»mnie się owszem zdaje,
 Żesmy zadługo może tutaj byli.
 Zadługo może żyliśmy ukradkiem.
 Wszak się dziś ujrzym, a ujrzym przed świadkiem
 Co ma do tego prawo — przed rodzicem.“ —
 »Pozwól przynajmniej w tej chwili rozstania,
 Że na twój ręce pożegnanie złożę.«
 Dziewica ani zezwała, ni wzbrania;
 Opuszcza rękę z odwróconém licem,
 Łzę mimowolną chciała ukryć może.
 Pierwsza za długie pożegnanie zrywa,
 Wymknąwszy rękę z cisnących ją dłoni;
 Kilku krokami próg i sien przebywa —
 I już jęj niema — tylko pustka po niej,
 A w pozostałych milcząca tęsknota;
 Gdybyż tęsknota tylko, lecz zgryzota.
 Każdy przez chwilę stał w miejscu jak wkuty,
 Niepokojony silnemi wyrzuty.
 Pierwszy Jan przerwał to przykre milczenie:
 Jego w tej sprawie najcięższe sumienie,

Pierwszy się ozwał: »Anna obrażona!
 Prawda że żart nasz był zbyt obozowy,
 A co najgorsza, że wyszedł z mej głowy...
 Może i zgadła że rzecz nieskończona.«

Justyna wszystko przypisuje czartu,
 Który nie lubi aby jego sprawki
 Człowiek obracał na swoje zabawki,
 Który się darmo nie wmiecha do żartu.

Wolski, choć zbity jak inni na razie,
 Powraca prędko na pole usara
 I filozofią usarską się stara
 Całą rzecz w miłszym przedstawić obrazie:
 »Niebo miłości chmurzy się czasami,
 Równie jak niebo które jest nad nami,
 Aby pogodą zaświeciło jaśniej.
 Gorętsza zgoda wyjdzie nieraz z waśni;
 Często jęj Kupid używa, jak mieszka,
 Ażeby serca rozżarzyć goręcej;
 Na niego, radzi, spuścić się najwięcej,
 A ów co zwadził, zgodzić nie omieszka.
 I tém mniej złego obawia się skutku,
 Że, on przynajmniej, widzi w Anny smutku
 Inne uczucie niżli zagniewanie.
 Tutaj przypomniał własne jęj wyznanie,
 Jako jęj wola ojcowska narzuca
 Postanowienie sercu wręcz przeciwne.
 Owóz w tej chwili (ani mu to dziwne)
 Myśl ją ta więcej niż kiedy zasmuca.

Bliższe spełnienie pogrózki ojcowskiej
Rzuca ją w większe obawy i troski.

Te i podobne Wolskiego uwagi,
Rzeczywistości mające pozory,
Dodały panu Janowi odwagi,
Spokojniej czekać tej stanowczej pory,
Gdzie i los jego stanie przed nim nagi.

IX. Rozwiązanie.

Co pan Nabrzeski wczoraj przewidywał
I zapowiedział, to się dziś ziściło:
Łaskawym gościom liczby już nie było.
Dawno most zamku tyle postękiwał
Pod kuciem kopyt i kolas ciężarem;
Dawno pył taki z dróg zamku się zrywał,
Dawno w nim tyle luda się roiło,
Dawno te mury grały takim gwarem,
Bo od poranku aż nim zorza błysnie,
Coraz to nowy gość w bramę się ciśnie;
Już-to ciągnące dalej poczty zbrojne,
Już to sąsiedzi sprosznieni umyślnie,
A wszystko zacne, dostojne i strojne.

Aż serce rosło, kiedy tłum ten cały
Stół uczył żywą otoczył koroną.
A w środku błyszczą srebra i kryształy,
A w całej sali jasność, jak dzień biały.
Takiem ją licznem światłem oświecono.
Ale nad przepych godowej wystawy

Więcej chwytają i serce i oczy
 Mężów ślachtetne, rycerskie postawy,
 Niewiast wdzięk cudny, co jak kwiat uroczy,
 Przetyka wianek tój bratniej zabawy.

Świetne w nim miejsce Jan Zapłocki trzyma.
 W męskiej urodzie równego tu niema,
 Nikt też w ochocie przodku mu nie bierze;
 Pan wojski bowiem, śród tak zacnych gości,
 Z nikim się bardziej nie obchodzi szczerze,
 Nikomu większych nie świadczy grzeczności.

Pan wojski płaci dotąd dług wdzięczności,
 Za ową świetną usługę rycerza,
 Kiedy do zamku szturmowały chłopcy,
 Bez której może te oto okopy
 Byłyby tylko mogiłą Nabrzeża. —
 Pan wojski w obec wszystkich to powtarza,
 I słów swych szczerłość we wszystkiem wyraża;
 Kiedy więc taka obecność się śmieje,
 Nie dziw że przykre zeszlęj nocy dzieje
 Zgasły bez śladu w obliczu usarza.
 Zamyśla nawet, przyjęciem tém śmiały,
 Skoro po temu nadarzy się pora,
 Odkryć wojskiemu kryte swe zapaly; —
 Chociażby jeszcze i tego wieczora:
 A wielbionego przedmiotu przytomność
 Myśl tę podsycą, zbroi ją w niezłomność.
 Nigdy też Anna nie była piękniejsza,
 Nigdy tak piękna — lecz jakimś urokiem

Nieodgadnionym, wewnętrznym, głębokim,
 Który jaskrawość wdzięków ciała zmniejsza,
 Łagodzi wyższej piękności obłokiem.
 Białość jej lica bledsza i przejrzystsza;
 Rumieniec skrywszy pała wdzięczniej, silniej;
 Żywość ocz cichsza, ale wpatrz się pilniej,
 A wnet dostrzeżesz, że większa i czystsza
 A w duszę wpada i bystrzej i głębiej.
 Jest tam i smutek, tak spokojny, miły
 Że nic nie szpeci słodczy gołębiej,
 Któręj znów miękkość nie zaciera siły
 Wybijającej poważniejsze życie
 Z ogniska duszy w każdym ruchu ciała.
 Jeszcze tój nocy pół-dziwczę, pół-dziecię,
 Anna przez ten czas w niewiastę dojrzała.
 To pod zwyczajny wzrok nawet podpada,
 Ale kto głębszém spojrzeniem ją zbada,
 Ten może pozna że to duch zbolały,
 Świętą modlitwą w niebie oczyszczony,
 Spadł tu dla jakiejś ofiary niemalej,
 I gdy ją spełni, uleci w swe strony,

Dawno już było po zachodzie słońca,
 A zamek jeszcze grzmiał gwarem radości,
 Kiedy pan wojski dał hasło jej końca:
 Naprzód szczeremi słowami wdzięczności
 Dla zgromadzonych spółobywateli,
 Że swą bytnością zaszczycić go chcieli;
 Na końcu prosząc dzisiejszych swych gości,

By jutro jego uprzejmość przyjęli:
 Dzisiaj, powiada, jak Polak swój braci
 Dług narodowy weselem swém płaci;
 Jutro jak ojciec będzie się radował,
 A z łaską Bożą będzie usiłował,
 By nikt przez »jutro« »dzisiaj« nie żałował.

Braterskiem sercem przyjęto wezwanie;
 Wnet nastąpiło wzajemne żegnanie,
 Potém rozstanie. Komu droga bliska,
 Ten wraca na noc do swego ogniska;
 Kto dalej mieszka, albo jest w pochodzie,
 Jako wojskowi, ten w zamku zostanie,
 Gdzie mu nie zbędzie na żadnej wygodzie.
 Znajdzie jak w domu, na to liczyć może,
 On i koń jego i strzechę i łoże.

Za chwilę cisza na zamku panuje:
 Tylko czeladka zamkowa się krząta,
 Ostatki uczty dzisiejszej uprzęta
 I do jutrzejszej co trzeba gotuje.
 Ogromne rygle bramę już zatrasły,
 I wszystkie prawie okna już pogasły;
 Jedna komnata mocniej oświetlona,
 A w téj komnacie siedzi wojski, żona,
 Anna, Zapłocki i przyjaciel jego.

Pierwszy Jan prosił o rozmowy chwilę,
 W obec, gdy można, Anny i jej matki,
 A że w tém tylko uprzedził wojskiego,
 Żądanie jego przyjęte jest mile.

Jan więc w przemowie i czulej i gładkiej
 Przed zebranymi rzecz całą zagaił:
 Wyznał otwarcie swe uczucia dla Anny;
 Jak je w nim wzbudził pierwszy widok panny,
 Jak miłość swoją bardzo długo tail;
 Jak z nią rodzicom nie śmiał się wynurzyć,
 Bo czuł że trzeba mu było wysłużyć
 Szczęście tak wielkie, przez ofiarę siebie
 Na polu bojów w ojezyny potrzebie.
 Lecz dzisiaj czuje, mówi to bez chluby,
 Czuje sumiennie, że ma pełną wolę,
 Wstąpić na miłszych obowiązków pole,
 W życie rodzinne przez małżeńskie śluby.
 A ta nagroda, wartości niebieskiej,
 Za wszystkie lata i trudy pod bronią,
 Jest dziś dla niego dłoń panny Nabrzejskiej,
 Dla tego kornie śmie upraszać o nią.
 Prosi tém śmieliej, dodał na ostatku,
 I w tém, zda mu się, serce go nie zwodzi,
 Że ma jej uczucie wzajemne w zadatku,
 Więc o rodziców słowo głównie chodzi;
 O te ich słowo wznosi dziś błaganie.

Taki był koniec Jana oświadczeniu.
 Pan wojski słuchał w poważnym milczeniu,
 Jak przyzwoita w podobnym zdarzeniu,
 Ale je przyjął dobrze nadspodzianie,
 Twarz jego zrazu zadziwiona nieco,
 Surowa nawet powagą ciekawą,

Zmienia się w coraz to bardziej łaskawą;
 Oczy uśmiechem uprzejmości świecą.
 Wszakęę cierpliwie aż do końca siedział,
 Po zakończeniu wstał i tak powiedział;
 A w słów powadze, ojcu przyzwoitej,
 Grało wzruszenie radości ukrytej:

»Uczucia twoje, ślachtetny rycerzu,
 Dla mojej córy do serca mi wchodzą;
 Żądania twoje z mojemu się godzą.
 Oddawna jesteś ceniony w Nabrzeżu.
 Ratunek, któryś nam przyniósł w przygodzie,
 Dostatek, zacość dziedziczne w twym rodzie,
 Przymioty serca, dworskość obcowania,
 I czego sam się dorobiłeś krwawo,
 Niezaprzeczone dają tobie prawo
 Do odkrytego nam dzisiaj żądania;
 Ojciec najchętniej ku niemu się skłania,
 Matka i ojciec są jedno, to samo,
 A córka? — córka nie stanie też tamą,
 Mam powód wierzyć« — po lekkim uśmiechu
 Ciągnął rzecz dalej — »Serdeczny wasz związek
 Nie był nam tajny. Mój mi obowiązek,
 Urząd wojskiego, w chacie jak za chatą,
 Kazał to widzieć, kazał baczyć na to,
 A zem go widział bez żadnego grzechu
 I wierzę w mojej córki posłuszeństwo,
 Jestem mu gotów dać błogosławieństwo.«
 To wymówiwszy, schwycił rozjaśniony

Rękę swęj córki w serdeczném ściśnieniu,
 »Oto jest, córko moja, narzeczony,
 Któregom wczoraj zwiastował przybycie.
 Nie wymieniłem jego po imieniu,
 By dziś tém więcj ucieszyć me dziecię;
 Teraz twojego tylko braknie słowa,
 A dłoń rodziców połączyć gotowa,
 Co już przed Bogiem, nie wątpię, złączone.
 Reszta rzecz księdza i wszystko skończone.«
 Umilkł i czeka; w córkę się wpatruje,
 A z oczu jego niecierpliwosć strzela,
 Która nieśmiałe słowo wywołuje,
 To znowu dobroć która je ośmiela.

Dziewica w całym téj rozmowy ciągu
 Siedziała pełna godności, powagi;
 Nie był to nieruch, lecz urok posagu
 Ożywionego napięciem uwagi.
 Spojrzyj w to lice a uznasz od razu,
 Że nie puściła żadnego wyrazu,
 Że ta postawa cała nie jest z głazu,
 Chociaż w niej żadnej nie dostrzegasz zmiany.
 Raz tylko pobladł policzek rumiany,
 Gdy usłyszała że zapowiedziany
 Wczoraj przez ojca, był właśnie jęj miły.
 Chwilkę to trwało — rumieńce odżyły.
 Teraz dopiero na ojca wezwanie
 Powstała, jakby podrosła, złożyła
 Na rękę ojca szczere całowanie,

Poczém do dawnéj postawy wróciła
I rzekła kornym ale pewnym głosem:
»Dzięki ci ojcze! za twą rodzicielską
Miłość i czujność nad mym biędnym losem.
Opieka twoja jest dla mnie anielską,
Twojej się woli jam poddać gotowa;
Lecz kiedy żądasz mojej woli słowa,
Więc odpowiadam: że dla związku tego
Błogosławieństwa nie widzę Bożego.«

Wojski tak mało był w przygotowaniu
Do téj odmowy, że ją wnet policza
W wybiegi które ma na zawołaniu
Złośliwość albo lęklivość dziewicza;
Przeto z uśmiechem łagodności rzecze:
»Co się odwlecze to nie uciecze.
Nic nas nie nagli — To za dni kilka,
Za kilka niedziel, za miesięcy kilka...«
»Nigdy« — odrzekła, a głosem tak usilnym
Że nastąpiła uciszenia chwilka.
»Ja nie poznaję dzisiaj mego dziecka« —
Zawołał wojski nieco nadąsany —
»Już w dzień dostrzegłem w tobie dziwnej zmiany.
Czy w nocy jaka pokusa zdradziecka?« . . . —
»Tak, ojcze drogi! Dusza twa odgadła« . . .
Tu Anna we łzach ojcu do nóg padła.
»Tak jest! téj nocy pokusa zdradziecka
A nieodparta, dopuszczeniem Bożem
Związek serc dwojga rozcięła, jak nożem.

Jak na spowiedzi opowiem rzecz całą.
Niechęć nikogo winnić, siebie bronić,
Jam głównie winna w tém co mię spotkało,
Racz tylko ucho ojcowskie mi skłonić.«
Tu w słowach jasnych, choć głosem wzruszenia,
Z religijnego szczerością wyznania,
Kreśli koleje swojego kochania,
Oskarża siebie o grzech zatajenia;
Z równą szczerością i prawdą odsłania
Wszystkie ostatniej nocy wydarzenia;
A nie opuszcza żadnego wypadku,
Na żadną skrytość nie rzuca zasłony,
Aż do oporu w duszy oburzonej
Woli przez ojca wczoraj objawionej;
Aż do skłonięcia serca na ostatku
Ku oświadczeniom Wolskiego udanym;
Dotąd jej winy — dotąd ma dość mocy
Prowadzić spowiedź ciągiem nieprzerwanym;
Ale przychodzi do téj chwili w nocy,
Kiedy się wszystko rozstrzygło z kochanym;
Gdy, wierna prawdzie, powinna powtórzyć
Jak się podstępny wyjaśniło dzieło:
Tutaj musiała wszystkich sił swych użyć,
Oddała wszakże Zapłockiego słowa.
Lecz ją chwil owych tchnienie obwionęło;
Oblicze błądź pokryła grobowa;
Głos jak ucięty zapadł w głębię garła;
Serce konwulsją rzuca się śród łona.

O! widać że się na nowo rozdarła
 Rana jej duszy świeżo zabliźniona;
 Że w straszną chwilę dziewica znów weszła.
 Ale na krótko — lzy sypnęły gradem;
 Życie lśni w licu przed chwilą tak bładem;
 Zmora przeszłości jak sen z piersi zesła;
 Anna wróciła do głosu, do siły;
 A słowa wyznań ostatnich te były:

»Więc miłość moja niemogła mieć wiary,
 Miłość tak czysta, taka niezmiernona!
 Miłość tak stała — i razem szalona —
 Bóg też dla tego piorunem swęj kary
 Strzelił w nią — jeśli nie zmarła to kona.
 Wskrzесиć jej nie mam nadziei ni chęci

Przyszłam do domu bez sił, bez pamięci,
 Omdlała prawie. Upadłam na ziemię,
 W prochu, w modlitwie, zalana łez strugą —
 I tak przetrwałam, już nie wiem jak długo,
 Żebrząc aby Bóg zdjął ze mnie to brzemię.
 Bóg mię wysłuchał. Jego to wszechmocne
 Światło rozbiło cienie duszy nocne,
 Żem się ujrzała winną, głównie winną.
 Złożyłam Bogu pokorę dziecinna,
 A wnet głos Jego niebieski, ojcowski
 Uciszył ducha boleści i troski,
 I dał mi radę ku życiu nowemu.
 Iść mi już odtąd pokazaną drogą.
 I w tej ot! chwili nie winię nikogo,

Jam przebaczyła, przebaczam każdemu,
 Kto w jakikolwiek sposób mi zawinił;
 Wiem że pomimo swęj wiedzy uczynił.
 Nie mam niechęci, ale także nie mam
 I tej miłości którą dotąd żyła.
 Jedną i drugą Bogum poświęciła,
 I w tej ofierze do śmierci wytrzymam.
 A na stwierdzenie ślubów mych szczerości,
 Oddaję długu mojego ostatek.
 Oto pierścionek, najpierwszy zadatek
 Mojej najpierwszej, ostatniej miłości.
 Odkąd się czuję być do niej niezdolną,
 I jej oznaki chować mi niewolno. «
 To mówiąc, pierścień oddała Janowi,
 Który przez ciąg tej sceny niespodzianęj
 Stał krociem wzruszeń wewnętrznie miotany,
 Ale z pozoru podobny głazowi;
 Poczém przed ojcem padłszy na kolana
 I obejmując, całując mu nogi,
 »Przebacz, « wołała, »przebacz ojcze drogi!
 Wielka ci boleść przez córkę zadana.
 Czuję to; ale wysłuchaj jej głosu,
 Spójrz mi w duszę, a twój wzrok zobaczy,
 Że córka, dziecię twoje nie dziwaczy
 Z chwilowych dąsów lub głupiej rozpaczy,
 I nie wydzięra ci z rąk swego losu.
 Poddam się i dzisiaj kornie twojej woli.
 Jeżeli trzeba przez te ot! zameścić

Twojemu szczęściu poświęcić me szczęście,
 Przyjmę nie szemrząc jarzmo méj niedoli,
 Ale choć u stóp ołtarza złączona,
 Mężowi memu nie będę ja żona.
 Ślub nie uleczy rany co tu! boli.
 Miłość mojego serca pogrzebiona;
 Nasz tutaj związek już nienawiazany.
 Przebac mi, przebac, ojczy mój kochany.
 Przebac mi matko! przebaccie panowie!
 Jeślim wam boleść podała w mém słowie « —
 » Wstań dziecię moje! « — Pan wojski zawołał
 Silném objęciem podnosząc ją z ziemi,
 Z oczami od łez krytych nabrzmiałemi,
 Które swém męstwem ledwo wstrzymać zdołał,
 Chociaż z początku pozierał z surowa,
 I usta słowem zagrażały gniewném,
 Zaczém, stopniami, powieści osnowa
 Nie napelniła go uczuciem rzewném:
 Wtedy ją porwał w ojcowskie ramiona
 I długo trzymał tuloną do łona,
 Jakby w pierś swoję brał jój piersi bole.
 Bądź dobrej myśli! Masz twą całą wolę.
 Ty skarb lat moich, jedynaczko droga!
 Idź, idź za głosem dodanym przez Boga,
 A ojciec tylko błogosławić będzie,
 Wspierać w potrzebie, towarzyszyć wszędzie.
 O przebaczenie jego głos twój próżny.
 On tobie, córce przebaczeniem dłużny.

Jeżeli w tobie znalazła się wina,
 Jeżeli inni zawinili tobie,
 To ze mnie może najpierwsza przyczyna.
 Ja nazbyt lekko postąpiłem sobie,
 Ja pierwszy wziąłem twe czucie jak fraszkę,
 I postawiłem losom na igraszkę,
 Chociem go lekce nieważył, Bóg świadkiem.
 Ale skłamałem, Bóg nie błogosławił.
 Ja pierwszy dzieło fałszu rozpocząłem,
 Czarł był w swém prawie, zakręcił ostatkiem,
 I całe dzieło poszło jego kołem.
 Nie wygrał jednak, sam Bóg nam naprawił;
 Tak, ufam Bogu, szczęście niestrawne,
 Będzie przez Boga z lichwą nagrodzone,
 Skoro odboli każdy w miarę winy.
 Trzeba odboleć. Dla mojęj dzieciny
 Dola już odtąd rozkwitnąć powinna;
 Ona z nas wszystkich jedna najmniej winna,
 A przeszła biędna przez największą karę,
 Wzięła na siebie najcięższą ofiarę:
 Ona za jedno przewinienie małe
 Kładnie w pokucie swoje życie całe,
 Wszystko dla czego reszta kobiet żyje.
 Słuszna, że ojciec wolę swoję skorzy
 Przed wolą twoję, sływszy w niej głos Boży;
 Przed wolą wyższą w tobie czołem bije.
 Dość spojrzeć na nią, — czyż nie godna tego?
 I w rzeczy samej, coś tak nadziemskiego

Było w jej słodkiem a czystym spojrzeniu,
 W twarzy dobrocią rzewną oświetloną,
 W całej postawie kornej a wzniezionej,
 Że się widziało, jak w uosobieniu,
 Piękność tryumfu ofiary spełnionej.

I pan Jan wreszcie powoli, powoli
 Przyszedł do siebie, poddał się swój doli,
 A wtedy usta mu się odemknęły,
 I w słowach szczerych, rzewnych a niewielu,
 Jak zasłużonej przystoi pokucie,
 Chociaż mu wszystkie nadzieje zniknęły,
 I życie jego jest dziś jak bez celu,
 Oświadczył jednak że jego uczucie
 Zostanie wiecznie do Anny przykute,
 I to mu jego osłodzi pokutę.

Z równą szczerością i wewnętrznym płaczem
 Wolski u Anny zebrał przebaczenia.
 On złego ducha był głównym działaczem,
 Przez jego płochość, z jego zawinienia
 Poszły te wszystkie tylu serc cierpienia.

Pan wojski zamknął rzecz: „Bracia kochani!
 Wszyscyśmy winni, wszyscyśmy skarani.
 Nie pozostaje nam jak wytrzczyć z pamięci
 Wszelką urazę, wszelki ślad niechęci;
 Wzór tego daje nam słaba dziewczyna,
 Mężów rzecz teraz przeddeptać jej ślady.
 Ojciec, jak słuszna, pracę tę poczyna,
 I dłonią bratniej zgody przypomina,

Że dzień jutrzejszy będzie dniem biesiady,
 Na nią o waszą obecność uprasza
 Niezmiennem sercem brata – przyjaciela.
 Dzień ten nie może nam być dniem wesela,
 Jakem układał a co Bóg rozprasza —
 Niechże go święci polska zgoda nasza.“

I ręką obu po kolei ścisnął,
 A kiedy obu przyzwolenie zyskał,
 Dał poczuć wszystkim, słówkiem napomknienia,
 Porę spoczynku nim rano nadbieży.
 Było to w myśli i naszych rycerzy,
 Chociaż nie w obu z potrzeby uśnienia.

Na wychodzących trzymał wojski oko
 Łagodne, tkliwe, zadumą omglone;
 Już krok ich uciekł, on patrzył w ich stronę,
 I z żalem wyrzekł, westchnąwszy głęboko:
 A jednak wielka to radość starości
 Mieć swoje wnuki, przeżyć w wnuków gronie,
 Błogosławić im, mieć ich łzy przy skonie!
 I jam się takiej spodziewał radości! „ . . .
 I smutne oczy skierował ku żonie;
 Lecz gdy na Annę przeniósł je od żony,
 Naprzód wymierzył policzek sam sobie,
 „O nędzny starcze! myśl szemrania w tobie!“
 I już po smutku ni śladu na twarzy.
 „O! nie,“ zawołał, „Bóg bądź pochwalony!
 Komu twa łaska taką córkę zdarzy,
 O! taka córka za wnuki mu stanie.

Szczęśliwe życie, szczęśliwe skonanie!
Nieprawdaż Anno! nieprawdaż me dziecię? —
I rozrzewnieni rodzice oboje,
Tak ją tulili w uściśnienia swoje,
Że ledwie mogła przemawiać ze Izami,
Śród tych uścisków: „Zawsze, zawsze z wami!
Wam moja miłość, dla was całe życie.“



509748

82

kol. z biblioteki
R i W Śliwowskich

Książnica Podlaska

im. Ł. Górnickiego w Białymstoku



KP-BG-0517780